

ZESZYT STO JEDENASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1995

ZESZYT STO JEDENASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1995

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 488

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0156-8

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Andrzej PACZKOWSKI

„WIELKI HISTORYCZNY EKSPERYMENT” CZYLI KONIEC REALNEGO SOCJALIZMU (W POLSCE)

Dla opisywania i analizowania serii wydarzeń, które miały miejsce w Polsce w latach 1988-1989, mija już – jak się wydaje – czas socjologów i politologów, a nadchodzi historyków. Wynika to z nabierania dystansu, jak i z faktu, że mamy coraz lepszy dostęp do źródeł archiwalnych, które są naturalnym terenem penetracji badawczej osób zajmujących się przeszłością. Oczywiście, nie należy popadać w przesadę: każda seria wydarzeń ma swoją własną, „bieżącą” dynamikę, a „uwarunkowania genetyczne” stanowią ramy, w których się ona rozgrywa oraz oferują instrumentarium, którym posługują się aktorzy politycznej sceny. Serię tę można traktować jako wchodzenie w nową formację ustrojową (w okres transformacji). Tym właśnie zajmują się politolodzy, których mniej interesuje odpowiedź na pytanie „jak doszło do...?”, a bardziej „jak ‘stare’ wpływa (dziś) na ‘nowe?’”. Można na te wydarzenia patrzeć jak na koniec (schyłek) poprzedniej formacji. To domena historyka, który ogranicza się do prób odpowiedzi na pierwsze z tych pytań.

Podkreślam tę odmienność horyzontu badawczego, gdyż zamierzam „zasłaniać oczy” na to, co wydarzyło się po przekroczeniu punktu, za którym schyłek przemienił się w począ-

tek¹. Historyk ma zapewne prawo zatrzymać czas i starać się opisać wydarzenia w takiej perspektywie, w jakiej widzieli (i planowali) je ich uczestnicy. Tym bardziej, iż głównym bohaterem tego szkicu jest ekipa gen. Jaruzelskiego, a więc – można powiedzieć – „ekipa zamknięcia”, a nie środowiska skupione wokół Lecha Wałęsy, które sformowały „ekipę otwarcia”.

Z racji objętości tego tekstu pomijam omówienie i ocenę niezwykle obfitej literatury, której część skwapliwie wykorzystywałem. Wypada jednak wspomnieć o bazie źródłowej. Stanowią ją przede wszystkim ogłoszone już dokumenty najwyższych instancji hegemonistycznie rządzącej partii², informacje zaczerpnięte w toku kwerendy w archiwum KC PZPR, która objęła lata 1980-1989³, zapisy poufnych rozmów między przedstawicielami władzy a opozycją⁴ oraz protokoły spotkań Komisji Wspólnej rządu i episkopatu⁵. Uważnie przestudiowałem także wspomnienia (niektóre w postaci tzw. wywiadów-rzek) kilku czołowych uczestników wydarzeń⁶. Nie zdołałem natomiast dotrzeć do dokumentów kremlofskich, co w istotny sposób utrudnia odczytanie stosunku Moskwy wobec tego co działo się w Polsce.



Istnieje kilka szeroko upowszechnionych hipotez co do

1. Nieco arbitralnie, ale w zgodzie z większością piszących, za punkt ów przyjmuję wybory parlamentarne z 4 (18) czerwca 1989 r.

2. „Ostatni rok władzy 1988-1989. Tajne dokumenty Biura Politycznego i Sekretariatu KC” (Londyn 1994).

3. Materiały te znajdują się w potężnym zespole oznaczonym jako „KC PZPR” w państwowym Archiwum Akt Nowych w Warszawie; kwerendą objąłem około 100 tomów akt.

4. Krzysztof Dubiński „Magdalenka. Transakcja epoki” (Warszawa 1990).

5. „Państwo – Kościół 1980-1989. Tajne dokumenty” (Londyn 1993).

6. Wśród nich na szczególną uwagę zasługują: Mieczysław F. Rakowski „Jak to się stało” (Warszawa 1991), „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko” (Warszawa 1991), Zbigniew Messner „Kuglarze i księgowi” (Warszawa 1993), „Jajakobyły. Spowiedź życia Jerzego Urbana” (Warszawa bd.), Wiesław Górnicki „Teraz już można” (Wrocław 1994).

głównego czynnika sprawczego, który wyzwolił bieg wydarzeń. Pomijając – z braku miejsca – ustalanie ich ojcostwa i z zastrzeżeniem, że przedstawiam je tutaj w sposób nie tylko uproszczony, ale i skrajny, wyglądałyby one następująco:

1. zrewoltowane społeczeństwo, zorganizowane w „Solidarności” i opierające się na strategii *non-violence*, pozbawiło realny socjalizm wszystkich legitymacji poza „geopolityczną” i wymusiło w ten sposób jego kapitulację;

2. myśląca kategoriami zarazem narodowymi (państwowymi), jak i marksistowskimi część elity władzy (czy szerzej partii komunistycznej) podjęła dzieło przekształcenia realnego socjalizmu w system demokratyczny i uwolnienia kraju od dominacji ZSSR, a były to zamierzenia ponawiane od 1956 r.;

3. w obliczu nadciągającej implozji systemu w skali – co najmniej – europejskiej, część elity komunistycznej myśląca kategoriami interesu grupowego (i indywidualnego) podjęła operację przekształcenia dotychczasowego trójmonopolu władzy (żeby posłużyć się schematem Leszka Nowaka) we władzę finansową w przyszłej strukturze ustrojowej, której charakteru nie precyzowano poza tym, iż ma być ona oparta na zasadach gospodarki wolnorynkowej⁷.

Przedmiotem analizy będzie, jak można się domyśleć, druga z powyższych hipotez, którą spróbuję sklasyfikować.

Zwraca uwagę, iż wszystkie przyjmują pewne założenia, takie mianowicie, że imperialne Centrum nie chciało lub nie mogło – co mniej więcej (ale tylko mniej więcej!) na jedno wychodzi – korzystać z siły i podjąć skuteczną interwencję w obronie *status quo*. Zapewne bez obawy o większą pomyłkę można przyjąć, iż neutralność (a raczej: przychylna neutralność) kremłowskiego przywództwa była warunkiem koniecznym. Nie była jednak warunkiem wystarczającym – ani decydującym – co można skonstatować przez porównanie sytuacji w Polsce (oraz na Węgrzech) z sytuacją w pozostałych krajach Obozu. Trudno mi ocenić kiedy ów „warunek konieczny” zaczynał się ziszczać a także – choć nieco łatwiej – kiedy ekipa

7. Pod- (nad-) wariantem tej hipotezy jest opinia, iż manewr ten został wykonany w skali całego obozu sowieckiego i był reżyserowany w jego Centrum.

gen. Jaruzelskiego uświadomiła sobie ten fakt. Chyba nie można doszukać się abdykacji Moskwy w wypowiedzi Michaiła Gorbaczowa na X Zjeździe PZPR (26 VI – 3 VII 1986) podkreślającej, iż „socjalistyczna Polska wytrwała” i „obroniła rewolucyjne zdobycze”. Jednak w połowie następnego roku wśród osób należących do najbliższego otoczenia gen. Jaruzelskiego zaczęły pojawiać się znaki zapytania⁸, a nawet obawy, że kierownictwo partyjne zostanie wyprzedzone nie tylko przez gwałtowny przyrost niezadowolenia społecznego, ale także przez tempo reform w ZSSR⁹. Było to wynikiem przyspieszania biegu *pieriestrojki*, która wchodziła w kolejne, „wyższe”, fazy w 1987 r. Jakkolwiek można było mieć wciąż wątpliwości co do trwałości „nowej linii” sowieckiego przywództwa, wola przeprowadzenia reform była wyraźna, a uosabiał ją coraz widoczniej nie kto inny niż sam Sekretarz Generalny, co nadawało jej wiarygodności.

Pierwsze sygnały z warszawskiego Białego Domu popłynęły u schyłku lata 1986 r., gdy ogłoszono powszechną amnestię dla więźniów politycznych. Gest ten był elementem w nowej „polityce salami” prowadzonej – bez rezultatów – wobec opozycji, której nie udawało się zniszczyć bez powrotu do masowego terroru epoki stalinowskiej. W połączeniu z następnym przyniósł ograniczone skutki. Do powołanej w grudniu 1986 r. Rady Konsultacyjnej zgodziło się wejść parę osób związanych z opozycją, w czerwcu 1987 r., po dłuższych pertraktacjach ukazała się *Res Publica* pismo wydawane ongiś w podziemiu. Można traktować je jako początek realizacji koncepcji „opozycji konstruktywnej”. Cytowane wyżej memoriały sugerowały dalsze posunięcia w tym samym

8 Co będzie „jeśli pewnego dnia dojdzie do wybuchu (...) i przypomnimy, że przecież ktoś może się wtrącić w nasze wewnętrzne sprawy, a jeśli ten ktoś biorąc pod uwagę swoje interesy, wcale nie zechce się wtrącać?” – pisał M.F. Rakowski w memorandum złożonym Generałowi (op.cit. s. 101).

9. „Polityka Gorbaczowa (...) stawia w trudnej sytuacji polskie kierownictwo. Zwiększa ona wymagania wobec władz (...) stopniowo zmniejsza się oddziaływanie ‘straszaka radzieckiego’ będącego w Polsce istotnym zaworem bezpieczeństwa” – pisali w opracowaniu dla Jaruzelskiego Stanisław Ciosek, Władysław Pożoga i Jerzy Urban („Nastroje przed bitwą”, w: *Zeszyty Historyczne*, t. 100., Paryż 1992, s. 67).

kierunku, a ich autorzy zgodnie i jednoznacznie stwierdzali, iż „wyczerpały się dotychczasowe sposoby opanowywania sytuacji”¹⁰, a nawet, że „dotychczasowy model socjalizmu jest przestarzały”¹¹.

„Konserwatywno-biurokratyczna” reforma – jej „drugi etap” proklamował rząd Zbigniewa Messnera powołany jeszcze jesienią 1985 r. – nie dawała żadnych efektów. Czas mijał, a ekipa gen. Jaruzelskiego wciąż nie mogła podjąć decyzji, co do wejścia na ścieżkę jednoczesnych zmian politycznych i ekonomicznych, choć coraz jaśniej zdawano sobie sprawę, iż stają się one nierozdzielne. Reforma ekonomiczna, o głębokości pozwalającej zakładać jej efektywność, nie mogła zostać podjęta bez osłony politycznej. Osłona wojskowa okazała się już raz nieskuteczna, a w istocie przeciwnie skuteczna, jako że zahamowała poprzednie próby. Cierpliwość społeczna wyczerpywała się, próg strachu obniżał, a Lech Wałęsa i jego najbliższe otoczenie – najmocniejszy filar opozycji – sygnalizowali stosunkowo wyraźnie gotowość rozpoczęcia negocjacji. Ofertą z ich strony stał się koncept „paktu antykrzysowego” zgłaszany w końcu 1987 r.

Po wiosennej fali strajkowej (marzec-maj 1988), którą stłumiono siłą – ale bez impetu z grudnia 1981 r. – raz jeszcze zastanawiano się nad „krojeniem opozycji”, co oznaczało po prostu trzymanie się znanego schematu. Podczas lipcowych rozmów z Gorbaczowem, który zaakceptował dotychczasową linię, gen. Jaruzelski obiecał, że „pójdziemy dalej”¹². Z następnych słów wynikało jednak, że owo „dalej” było bardzo blisko: „dwóch granic nie przekroczymy – mówił Generał – nie pójdziemy na pluralizm związkowy (...) i nie pójdziemy na tworzenie partii opozycyjnych”. Dopuszczał tylko „udział w organach przedstawicielskich i społecznych [poszczególnych] osób”.

Z kolejnej fali strajkowej, która rozpoczęła się w sierpniu, kierownictwo PZPR wyszło w sposób spektakularny i skuteczny. 26 sierpnia posiedzenie plenarne KC zaakcepto-

10. „Nastroje...”, s. 70.

11. M.F. Rakowski, op.cit. s. 101.

12. „Ostatni rok władzy...”, s. 8 (liczby w nawiasach po cytatach oznaczać będą powołanie na tę właśnie publikację).

wało decyzję Biura Politycznego o zaoferowaniu rozmów, utworzeniu Rady Porozumienia Narodowego i przedyskutowaniu zmian instytucjonalnych (nowelizacja ordynacji wyborczej, druga izba parlamentu, urząd prezydenta). Gen. Czesław Kiszcak, najbliższy podwładny Jaruzelskiego i minister spraw wewnętrznych w efektywnym wystąpieniu telewizyjnym zwrócił się z propozycją odbycia spotkania „okrągłego stołu”. Termin ten wszedł od tej chwili do słownika politycznego nadciągającej epoki.

Było to posunięcie zręczne: skupiało uwagę opinii, która była już zmęczona zarówno trwającym od 10 lat kryzysem gospodarczym, jak i ponawianymi napięciami politycznymi. Miąższ tej inicjatywy był jednak mniej świeży niż błyszcząca skórka: „nie ma miejsca dla „Solidarności” – mówił Jaruzelski – ale jest miejsce dla ludzi b. „Solidarności”, którzy chcą konstruktywnie współpracować” (38). Przez kilka tygodni prowadzono kampanię propagandową: m.in. *Trybuna Ludu*, organ centralny PZPR, otworzyła na pierwszej kolumnie stałą rubrykę „Przed spotkaniem ‘okrągłego stołu’” zaś telewizja pokazywała stolarzy pracujących nad jego wybudowaniem. Analityczne zaplecze KC PZPR formułowało dokumenty, których osią był nieomal nieodmiennie projekt włączenia opozycji w system i uczynienie z tego trwałej konstrukcji ustrojowej. Ale praktycy z najwyższych instancji koncentrowali się bardziej na socjotechnice szukając raczej skutecznych sposobów, aby „przyśpieszyć procesy różnicowania się wewnętrznego opozycji” (47).

Opozycja, od dawna zresztą, była rzeczywiście zróżnicowana, ale być może ważniejsze było, iż zróżnicowanie obejmowało także partię komunistyczną. Obok „klasycznego” już niejako podziału na „liberałów”, „centrum” i „beton”, ujawniła swoją obecność nowa grupa skupiona wokół Alfreda Miodowicza, członka Biura Politycznego i przewodniczącego Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych (OPZZ). Aczkolwiek trudno mówić o suwerenności OPZZ, stało się ono wyraźnie autonomiczne, a także – w pewnym przynajmniej stopniu – dysfunkcjonalne wobec zarysu reform gospodarczych. Rywalizując z nielegalną „Solidarnością” przesuwało się na pozycje rewindykacyjne, a przede wszystkim

zdecydowanie przeciwstawiało się nawet najmniej śmiałym głosom o ewentualnej konieczności uznania związku Lecha Wałęsy. W kierownictwie PZPR głosy takie były zresztą rzadkie. Przeważała obawa przed skutkami legalizacji „Solidarności”. Będzie to – przewidywał na posiedzeniu Sekretariatu 4 października gen. Kiszczak – „pierwszym stosunkowo łagodnym etapem walki opozycji o władzę. Następne etapy [których nie precyzował] będą o wiele dla nas trudniejsze” (63).

Gen. Jaruzelski nie zgadzał się też z argumentami tych, którzy sugerowali, iż wypełnienie żądań Zachodu w sprawie „Solidarności” przyczyni się do zaakceptowania polskich postulatów finansowych: „Wszystkie demokracje, które my im obiecujemy – mówił Jaruzelski 10 października – drugie izby itp., to oni wiedzą, że to im by spadło z drzewa samo, kiedy będzie „Solidarność”. Bo „Solidarność” wszystko załatwi, z komuną [sic!] i socjalizmem włącznie” (155). Aczkolwiek ostateczna decyzja o odroczeniu obrad Okrągłego Stołu jeszcze nie zapadła kierownictwo PZPR nieomal otwarcie odtrąbiło już odwrót. Nie udało mi się znaleźć jednoznacznych materiałów dotyczących właściwych motywów tego zwrotu. Być może był on po prostu wpisany w samą koncepcję „otwarcia”, które miało być przede wszystkim posunięciem propagandowym. Najwyraźniej jednak w ekipie Jaruzelskiego przeważała opinia, aby raz jeszcze spróbować reform bez udziału opozycji i zyskać akceptację społeczną przez zmiany personalne. 19 września złożył dymisję (m.in. w związku z licznymi atakami OPZZ) rząd Z. Messnera, a 27 września powołano na premiera M.F. Rakowskiego, uważanego za zwolennika reform.

Deklaracja premiera, że Polacy wolą „stół pełny” od „okrągłego” mogła być sygnałem, iż reforma gospodarcza będzie przeprowadzana bez istotnej reformy politycznej. Ale wola zmian ekonomicznych była wyraźna. Jej kierunek ku wprowadzeniu pewnych zasad rynkowych, a przede wszystkim otwarcie drogi dla inicjatywy gospodarczej – poświadczyło objęcie stanowiska ministra przemysłu przez Mieczysława Wilczka. Był on „szeregowym” członkiem PZPR i jednym z najbogatszych prywatnych przed-

siębiorców, umiejętnie wykorzystując (jak tysiące innych) styk między wytwórczością prywatną a sektorem państwowym, w czym niemałą rolę odgrywała – na ogół lokalna – nomenklatura.

Można zwrócić uwagę, iż „manewr Rakowskiego” pod względem strategicznym mieścił się w logice dotychczasowego modelu „ulepszania socjalizmu”: reformy gospodarcze bez reform politycznych. Zamierzano podjęcie ich nie tylko bez opozycji, ale nawet przeciwko niej. Należy, oczywiście, unikać wniosków zbyt daleko idących i porównanie poniższe traktując jako nader drastyczne i leżące właściwie poza obszarem uprawnionym przez dokumenty. Można zaryzykować hipotezę, iż możliwa była sytuacja bliska tego, by „droga do reform przez Plac Tien Anmen” nosiła nazwę „drogi przez Stocznię”. Gdy rząd podejmował decyzję o postawieniu w stan likwidacji Stoczni Gdańskiej (1 listopada) – kolebki „Solidarności” – musiano brać pod uwagę, że może ona wywołać gwałtowną reakcję. Włącznie z wystąpieniami ulicznymi, które trzeba będzie tłumić siłą.

Analitycy i eksperci partyjni, wśród których przeważali wyraźnie zwolennicy reform, mieli w zapasie wiele formułek, które miały osłonić niechęć do zbyt daleko idących zmian. Za takimi terminami jak „pluralizm socjalistyczny” czy „personalizm marksistowski” stało w istocie przekonanie, że „socjalistyczne reformy (...) oznaczać nie mogą odejścia od zasady przewodniej i kierowniczej roli partii marksistowsko-leninowskiej w społeczeństwie” (173). „Pluralizm, ale z przywództwem [sic!] partii” (174) – tak brzmiało credo zwolenników reformy. Jak się wydaje gen. Jaruzelski całkowicie z nim się utożsamiał. Podczas dyskusji nad projektem referatu, który miał wygłosić na przygotowywanym posiedzeniu plenarnym KC, zdecydowanie zdystansował się od pomysłów zmian w instytucjach państwa: urząd prezydenta? „niech się tym bawią” w Stronnictwie Demokratycznym (185). Struktura przyszłej koalicji jawiła mu się w postaci trzech kręgów: koalicja podstawowa (PZPR, ZSL, SD), koalicja szeroka (PRON) i ta „najszersza”, z udziałem „konstruktywnej opozycji” (187). Chęć włączenia „konstruktywnej opozycji” była maksimum tego co można uznać za „nową jakość” w trady-

cyjnej koncepcji hegemonistycznej roli partii komunistycznej.

To że w ogóle rozważano jakieś subwarianty realnego socjalizmu stało i tak w sprzeczności z opinią zawodowego aparatu partyjnego. Sondaż wśród „partyjnych liderów szczebla wojewódzkiego” przeprowadzony w listopadzie wykazał, iż 85% opowiadało się za „akceptacją i nieprzekraczaniem granic fundamentalnych cech systemu (...) jakie leżą u jego podstaw od 1948 r. do chwili obecnej¹³”. Organizatorzy badania określili blisko 60% respondentów jako „zwolenników totalitarnych metod sprawowania władzy¹⁴”. Musiało to niewątpliwie hamować zwolenników zmian, nawet najbardziej zdecydowanych.

Bywają – a może nawet są regułą – takie sytuacje, iż zwrot (lub przyspieszenie) następuje w rezultacie pojedynczego, pozornie nawet drugorzędного, wydarzenia. Jak się wydaje tak stało się u schyłku jesieni 1988 r., gdy koncepcja Okrągłego Stołu od wielu tygodni była w zawieszeniu. 30 listopada, w czasie najlepszej oglądalności, telewizja nadała „na żywo” transmisję z debaty między A. Miodowiczem a L. Wałęsą. Pomysł wyszedł od Miodowicza, ale został zaakceptowany przez Biuro Polityczne. Zwiad badawczy przeprowadzony następnego dnia na reprezentatywnej próbie dorosłych mieszkańców Warszawy wykazał, iż wyraźna – „kwalifikowana” – większość uznała, że pojedynek ten wygrał przewodniczący nielegalnej „Solidarności”¹⁵. To samo badanie dowodziło, iż w porównaniu z sierpniem 1988 r. nastąpiło mocne (z 42% na 62%) przesunięcie na korzyść zwolenników zalegalizowania tego związku.

Trzeba powiedzieć, że gen. Jaruzelski szybko wyciągnął wnioski. 5 grudnia, na posiedzeniu Sekretariatu, uznał, iż „zmienił się wizerunek Wałęsy i zmieniło się podejście do „Solidarności”” (196). Jednoznacznie stwierdził, że konieczna jest „ucieczka do przodu” (197). Zdając sobie sprawę iż „dla niektórych naszych towarzyszy to będzie działanie dezin-

13. AAN, KC PZPR, sygn. p. 451, t. 41, s. 175.

14. Tamże, s. 214.

15. „Społeczeństwo i władza lat osiemdziesiątych w badaniach CBOS”, Warszawa 1994, s. 383-385.

tegrujące partię” pocieszał się, że „dla innych towarzyszy to jest jedyna szansa, żeby partia zachowała swoją rolę spełnianą inaczej” (198). Sam najwyraźniej zaliczał się do tych drugich. W stanowisku takim zapewne podtrzymywała go ekspertyza przygotowana w połowie grudnia przez Międzywydziałowy Zespół Prognoz KC. Anonimowi autorzy stwierdzali, że przebieg debaty Miodowicz-Wałęsa „zburzył misternie i z trudem tkaną konstrukcję” osłabiania oczekiwań i nadziei związanych z Okrągłym Stołem (216). Ważniejsze było wszakże uznanie, iż „nie widzimy możliwości uniknięcia legalizacji „Solidarności”. Albo „Solidarność” ujmemy w normy prawne, albo pozostawimy ją jako siłę pozaprawną, lecz realną, nie skrępowaną zatem wymogami prawa” (220). Przypominano też, że „zastosowanie stalinowskich metod – jako alternatywy – byłoby tragedią” (221).

W tej sytuacji ekipa podjęła ostateczną decyzję wejścia na ścieżkę rozmów. Pierwszą batalię stoczyła jednak nie z opozycją, ale z aparatem partyjnym. Jej kluczowa faza trwała około miesiąca, a rozpoczęła się 20 grudnia na X Plenum KC. Głównym przedmiotem starcia był stosunek do legalizacji „Solidarności”. Najpierw jednak Jaruzelski dokonał generalnej wymiany w kierownictwie PZPR: 8 na 15 członków Biura Politycznego, 4 na 11 sekretarzy KC. Potem nastąpił propagandowy nacisk na cały aktyw partyjny, który zresztą ewoluował już w kierunku pożądanym przez „reformatorskie centrum”¹⁶. Finał nastąpił podczas drugiej części plenum (16-18 I 1989), kiedy dramatycznym szantażem kryzysu przywództwa (wniosek o votum zaufania dla Biura Politycznego) wymuszono na członkach KC zaakceptowanie uchwały o pluralizmie politycznym i związkowym. Jednym ze źródeł sukcesu Jaruzelskiego był – jak się wydaje – fakt, iż przeciwnicy zmian (= „zwolennicy totalitarnych metod”) nie mieli lidera o odpowiednim autorytecie i osobowości. „Czystka” przeprowadzona w 1985 r., kiedy to na margines odsunięto najbardziej głośnych reprezentantów „betonu” (m.in. Stanisława Kociołka, Mirosława Milewskiego i

16. Wynika to z „Analizy wewnątrzpartyjnej konsultacji tez Biura Politycznego”, które przeprowadzono w 47 województwach (na 49) – patrz. AAN, KC PZPR, sygn. p. 452 t. 2, s. 142-148.

najsprawniejszego z nich Stefana Olszowskiego, który w ogóle wyjechał z Polski), przyniosła owoce. Swoje zrobiła także dyscyplina partyjna, a zapewne przede wszystkim przekonanie, że odejście Jaruzelskiego – który cieszył się wyraźnym poparciem Gorbaczowa – może pogрузić partię w chaosie i to w obliczu nabierającego pewności siebie przeciwnika.

Na konferencji prasowej po zakończeniu wojny z aparatem, gen. Jaruzelski próbował zadowolić wszystkich: najpierw zastrzegł się, że „nie dokonaliśmy (...) żadnego karkołomnego zwrotu”, aby zaraz stwierdzić, iż „dokonaliśmy swego rodzaju przewrotu” i uściślić, że chodzi o „bardzo ważny, milowy krok naprzód”¹⁷. W istocie interpretacja tego, co się stało nie była łatwa ani w języku publicznych deklaracji, ani w dyskursie wewnętrznym na najwyższych szczeblach władzy.

W czasie rozmowy z przywódcą czechosłowackich komunistów, Milanem Jakeszem, Jaruzelski wyraźnie stwierdził, iż „gra toczy się o wchłonięcie jej [opozycji] przez nasz system” (262). I nie chodziło tu z pewnością o „mydlenie oczu” człowiekowi, który uchodził za jednego z najbardziej ortodoksyjnych polityków komunistycznych. Także towarzyszom z Sekretariatu przypominał, że „doszliśmy do ściany” (235). Najbardziej jednoznacznie swoje stanowisko uzasadniał autor stanu wojennego podczas pełnej napięcia debaty z przedstawicielami OPZZ 9 lutego, już po rozpoczęciu obrad Okrągłego Stołu: „podjęliśmy tę decyzję wobec narastającej groźby strajków, wobec możliwości wyprzedzenia nas przez Wałęsę, wobec konieczności wygrania na czasie” (275). Gdzie indziej dorzucał, że „mamy świadomość, że bez zmian w naszej polityce wewnętrznej nie ma szans na zmianę stosunku Zachodu do naszego kraju” (261). Tezę o „ratunkowym” charakterze tej – w istocie odważnej – decyzji potwierdzał też Władysław Baka, odpowiedzialny w ekipie za sprawy gospodarcze. 16 lutego, gdy stało się jasne, że w debatach „okrągłostołowych” inicjatywa należy do opozycji, mówił: „Odnoszę wrażenie, że zaczynamy mieć wątpliwości czy

17. Cyt. wg. Piotr Majer „Polska i świat 1989-1992”, Warszawa 1993, s. 12.

słusznie zrobiliśmy uruchamiając 'OS'. Zmusiła nas do tego prognoza rozwoju sytuacji gospodarczej, która się potwierdza w najgorszym wariantcie" (282).

Na użytek wewnętrzny podkreślano przymusowy niejako charakter postanowień legalizacji „Solidarności” i podjęcia sformalizowanych negocjacji z opozycją. Na zewnątrz eksponowano nie tylko dobrą wolę, ale wywodzono ją z własnej tradycji: „Obecne porozumienia – deklarowało Biuro Polityczne – sięgają swą naczelną ideą początków Polski Ludowej, polskiej drogi do socjalizmu, a także przemian październikowych roku 1956” (320). Tak to z konieczności powstawała cnota.

Już w pierwszych debatach po X plenum pojawiły się ostrzegawcze głosy. Najbardziej pesymistycznie oceniający szanse gen. Kiszczak zwracał m.in. uwagę, że „sytuacja w szeregach sojuszników [tj. ZSL i SD] skłania do wniosku, że w Sejmie może powstać układ dla nas niekorzystny” (234). W połowie lutego Kazimierz Cypryński uświadamiał towarzyszy, że Okrągły Stół „dał początek procesom, których nie zahamujemy już. Pozostało kontrolować je i nimi sterować” (283). Nie bardzo wiedziano jednak jak to zrobić. Opozycja osiągała niemal wszystko z czym przystąpiła do negocjacji i groziło, że nie tylko sterowanie, ale i kontrola będą trudne lub niemożliwe. Już w połowie lutego gen. Kiszczak proponował wmontowanie w umowę mocnego bezpiecznika : „Prezydenta powinien wybrać Sejm tej kadencji na 7 lat” (283). „Dla nas – kontynuował – najważniejsze jest wygranie wyborów, a nie styl w jakim je wygramy” (284). I puentował: „Nie możemy stracić władzy przy pomocy kartki wyborczej” (284). Dokładnie to samo wielokrotnie mówił Gomułka w latach 1945-1947 i powtarzał w 1956 r.

A jednak, mimo że koncepcje wspólnej listy wyborczej i wspólnej deklaracji zostały przez opozycję stanowczo odrzucone, chociaż zdawano sobie sprawę, że sytuacja nie rozwija się korzystnie dla nas” (348), nie znalazłem w dokumentach śladów przygotowywania „rozwiązania siłowego”. Gen. Jaruzelski liczył na możliwość pozyskania „wielkiego środka społeczeństwa, który się waha” (349) i tuż przed wyborami

uważał, że uzyskanie przez stronę rządową mniej niż 40% miejsc w Senacie – w wyborach do którego nie obowiązywał kontrakt o podziale mandatów – będzie „bardzo złe” (371). 4 czerwiec rozwiął te nadzieje: opozycja wygrała bezapelacyjnie, a w Senacie obsadziła 99% miejsc. Tak „wygrywano” wybory w realnym socjalizmie. Wahanie – być może ostatnie – miało miejsce przed drugą turą. 16 czerwca, na posiedzeniu Sekretariatu, gen. Jaruzelski nieoczekiwanie skonstatował: „Mamy dylemat – czy żyć w tym stanie czy też zdecydować się na drastyczne decyzje, które mogą wywołać groźne reperkusje” (409). Decyzje takie jednak nie zapadły. Kierownictwo PZPR pogodziło się z zaistniałą sytuacją.

Na podstawie dokumentów i wypowiedzi, do których miałem dostęp i które stały się podstawą wywodu, można stwierdzić, co następuje:

Ekipa gen. Jaruzelskiego nie zdołała zapanować nad manewrem, który miał na celu rozładowanie społecznego napięcia i rozłożenie odpowiedzialności za istniejące – a przede wszystkim: spodziewane – trudności gospodarcze. Zdawała sobie sprawę, że dokonuje – jak powiedział Jaruzelski Jakeszowi – „wielkiego historycznego eksperymentu”. Nic nie wskazuje jednak na to, aby eksperyment ów miał wyjść poza takie – i tylko takie – zmodyfikowanie struktur realnego socjalizmu, które pozwoliłoby na wchłonięcie w ich obręb opozycji. Z faktu, iż opozycji tej nie zdołano zatomizować wynikały rozmiary modyfikacji, większe niż kiedykolwiek przedtem. Powrót do logiki stanu wojennego mógł oznaczać przejęcie władzy przez inną ekipę, tym bardziej, że tym razem sama operacja militarno-porządkowa zapewne byłaby niewystarczająca. Musiałoby jej towarzyszyć odtworzenie stalinowskich mechanizmów zarówno terroru, jak i „rewolucji kulturalnej”. Po przekroczeniu masy krytycznej „wszyscy ludzie Generała” i sam Jaruzelski skazywali się na ucieczkę do przodu – nie tylko przed Wałęsą, ale także przed swoimi towarzyszami. Mimo ostrzegawczych sygnałów biegu już nie przerywali: „sami sobie zakładamy pętlę, idziemy na rzeź jak barany” mówił w lutym gen. Kiszczak (284). Nie ma jednak dowodu, aby

determinacja ta miała uzasadnienie ideowe, tak chętnie podkreślane *post factum*. To co zaczęło się jako polityczna gra, do której przystępowano z pozycji silniejszego, zakończyło jako generalna batalia, którą rozstrzygnęli wyborcy.

Andrzej PACZKOWSKI

Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

RAPORT O PRACACH ODDZIAŁU II SZTABU GŁÓWNEGO W ZAKRESIE DYPLOMACJI WOJSKOWEJ

Jest powszechnie znanym faktem, iż Oddział II polskiego Sztabu Generalnego (28 XII 1928 r. nastąpiła zmiana nazwy na Sztab Główny; obie nazwy stosuję zamiennie, tym bardziej, że obie widnieją w prezentowanym dokumencie) w okresie międzywojennym zajmował się wywiadem i kontrwywiadem. Mniej znanym jest podległość mu ataszatów wojskowych usytuowanych przy polskich placówkach dyplomatycznych. Attaché wojskowi swoje raporty przesyłali właśnie do tego Oddziału, a nie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, choć formalnie stanowili część personelu dyplomatycznego. Szczegóły prac dyplomatów wojskowych są więc z natury rzeczy mało znane, ich tajemnice głęboko skrywane, choć często wiele szczegółów jest już znanych historykom, stanowią bowiem zawsze część określonej polityki danego MSZ-tu.

Prezentowany poniżej dokument przedstawia założenia pracy dyplomacji wojskowej w 1928 r. Obrazuje on, kogo w tym czasie uważano za sojuszników, kogo za przeciwników, a kogo wreszcie za państwa neutralne w ewentualnym konflikcie, przy jednoczesnym wykorzystaniu dla polskich celów wojennych tej neutralności. Przedstawia on również główne

zadania stawiane przed Oddziałem II w kwestii dyplomacji wojskowej. O ile powszechnie znane są fakty sojuszu z Francją i Rumunią, to starania i spekulacje co do możliwości wykorzystania dla polskich potrzeb wojennych tak egzotycznych państw jak Japonia czy Turcja nie wzbudzały do tej pory szerszego zainteresowania historyków. Warto też pamiętać o znamienym fakcie, że za głównych przeciwników uważano Rosję i Niemcy; Litwy, choć były to lata ostrego konfliktu, nie uważano za groźnego przeciwnika i żywiono przekonanie, że nie będzie ona brała udziału w wojnie przeciwko Polsce.

Dokument ten przechowywany w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie, sygn. 1775/89/224 (akta Oddziału II Sztabu Generalnego). Publikujemy go w całości, opatrując tylko niezbędnymi przypisami objaśniającymi.



Sztab Generalny 1928¹ Oddział II

Treść:²

Do kogo: Raport o służbie zagranicz[nej] wojsk[owej].

P. Szef Sztabu Głównego³ - w Warszawie

Szef Oddz.: 31/I.⁴

Z-ca Szefa Szt.: Czyt.⁵

Szef Sztabu: 31/I.⁶

Przedkładam Panu Generałowi raport o stanie prac O.II. w aspekcie wojskowych stosunków zagranicznych.

1. Odręcznie, na druku wpisano cyfrę „8”, choć z uwagi na widniejącą poniżej datę „31 I” i tytułaturę („szef Sztabu Głównego”) prawdopodobny wydaje się rok 1929; jak już wcześniej była mowa, nazwę zmieniono w grudniu 1928 r. (*Zarys dziejów wojskowości polskiej w latach 1864-1939*, W-wa 1990, s. 514).

2. W tym miejscu nieczytelna odręczna adnotacja.

3. W owym czasie szefem Sztabu Głównego był gen. dyw. Ludwik Tadeusz Piskor.

4. W owym czasie szefem Oddziału II był ppłk dypl. Tadeusz Schätzel, obok daty nieczytelna paraafa.

5. Nie udało się ustalić, o kogo chodzi, obok daty nieczytelna paraafa.

6. Obok daty nieczytelna paraafa.

Zarys wojskowej polityki zagranicznej.

Zadania

Wojskowa polityka zagraniczna dyktowana jest potrzebami przypuszczalnych frontów wojennych. Toteż polityka wojskowa dzielić musi Państwa na 3 kategorie:

1) ewentualnych nieprzyjaciół wojennych, w stosunku do których zadaniem zasadniczym jest szczegółowa ich znajomość; poza tym jest działanie w kierunku osłabiania tych wrogów;

2) państwa sprzymierzone, z którymi już za czasów pokojowych trzeba możliwie ściśle współdziałać, dążąc równocześnie do dobrego orientowania się w możliwościach sojusznika;

3) cała reszta państw, na które trzeba patrzeć przede wszystkim jako na drogi tranzytowe dla materiałów wojennych, względnie jako na źródła tych materiałów.

Poza tym, polityka wojskowa jest jednym z elementów ogólnej polityki zagranicznej Państwa czasu pokojowego i dlatego czynniki wojskowe muszą ściśle współdziałać z MSZ.

Prace na poszczególnych terenach

Rosja. Studium Rosji sowieckiej jest najistotniejszą pracą z zakresu zagadnień zewnętrznych. Operacyjną część tego studium przeprowadza Inspektorat Generalny⁷ wzgl. Oddział III na podstawie materiałów zebranych przez Oddział II; Oddział II prowadzi ogólne studium Rosji. Opiera się przy tym na materiałach zdobytych przez wywiad, przez attaché wojskowych, współpracuje z innymi sztabami, posługuje się materiałem innych resortów państwowych, a w dziedzinie ekonomicznej pracami Ośrodka Badań Gospodarczych zagadnień Rosji Sowieckiej.

W celu stworzenia najdogodniejszych warunków dla

7. Chodzi o GISZ.

ewentualnej walki – prowadzi Oddział II akcję przygotowawczą do dywersji na terenie obecnej Rosji. Rolę tę odegrać mają niepodległościowe ruchy narodów nie-rosyjskich. Ruch ukraiński ma znaczenie ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo ziem ukraińskich z Polską oraz ze względu na tradycje współpracy bojowej w r. 1920. Znaczenie ruchu kozackiego polega na roli, jaką te tereny odgrywają w organizacji kawalerii rosyjskiej. Kaukaz jest najbardziej dojrzałym politycznie i gra wybitną rolę w gospodarczym życiu Rosji. Tatarzy i inne narody turańskie⁸, odmiennej rasy i religii niż Rosjanie, stanowią świat związany z resztą Islamu silniej niż z Moskwą i przez to wykazują silne ciężenia odśrodkowe. U wszystkich rozwój świadomości narodowej i dążenie do własnych form państwowych postępuje bardzo silnie. Potęgowanie tych dążeń paraliżuje swobodę ruchów wschodniego sąsiada i osłabia podwójnie jego siłę.

Na północ od Prypeci jak i w centrum Rosji akcja dywersyjna musi mieć charakter działań czysto technicznych przeciw obiektom wojskowym i gospodarczym.

Normalne stosunki czasu pokojowego utrzymywane są za pośrednictwem oficjalnych przedstawicieli sztabów w Warszawie i Moskwie. Sowietki attaché wojskowy traktowany jest pod względem towarzyskim na równi z innymi attaché wojskowymi. W dziedzinie wymiany wiadomości i zwiedzań przestrzegana jest zasada wzajemności. Stosunki personalne ograniczane są do koniecznego minimum, lecz podkreślana jest całkowita poprawność i tendencja do stabilizowania tego stanu. Kontaktowanie się attaché wojskowego z szerszymi kołami wojskowymi jest hamowane.

W akcji prasowej (*Polska Zbrojna*) propagowana jest atmosfera gotowości bojowej wobec wschodniego sąsiada, ale bez odcieni alarmistycznych ani tonów, które mogłyby dawać podstawę do interwencji.

Niemcy. Studium Niemiec prowadzone jest tymi samymi metodami co studium Rosji.

Obok prac kierowanych potrzebami Generalnego Inspektora, główny wysiłek nastawiony jest na opanowanie dwu

8. Winno być: tureckie.

dziedzin życia wojskowego i technicznego Niemiec: – lotnictwa i prac chemicznych. W tym celu rozszerzana jest praca attaché wojskowego w Berlinie na tereny Hiszpanii i Szwecji.

W bezpośrednich stosunkach ze sferami niemieckimi pożyteczna okazuje się rozbudowa stosunków personalnych naszego attaché wojskowego w Berlinie. Są one poważnym i cennym źródłem informacji. Niemcy okazują dużą, czasem wręcz niezrozumiałą łatwość jednostronnego wypowiedzania się w rozmowach na interesujące tematy wojskowe.

Akcja dywersyjna dąży do organizowania polskiego elementu na terenie Niemiec jako podstawy dla wszelkich ewentualnych działań technicznych, oraz do podtrzymywania ruchów pacyfistycznych, jako czynnika rozkładowego dla ideologii militarystyki niemieckiej.

Akcja prasowa zmierza do demaskowania na gruncie prasy zagranicznej przygotowań wojennych Niemiec i [ich] współdziałania militarnego z Rosją sowiecką.

Opierając bezpieczeństwo państwa na pomnażaniu własnych sił oraz na znajomości i osłabianiu sił nieprzyjaciela dążymy do wzmacniania się przez sojusze i współpracę z państwami, których interes wiąże się ściśle z naszym interesem obronnym na poszczególnych frontach.

Z tych przesłanek wypływają nasze sojusze z Rumunią i Francją.

Rumunia. Prace operacyjne oraz związane z nimi prace pomocnicze prowadzi Oddział III. Ocena sytuacji wspólnego nieprzyjaciela⁹ opracowywana jest przez Oddział II.

Punkt ciężkości studium armii rumuńskiej i rumuńskich możliwości wojennych przerzucony jest na attaché wojskowego, który do tego celu musi się posługiwać oficerami desygnowanymi na stage.

Zadaniem Oddziału II wspólnie z innymi Oddziałami Sztabu jest rozbudowywanie bezpośrednich stosunków między wojskami przez przejazdy poszczególnych oficerów, wycieczki, współpracę informacyjną, materiałową itp.

Bezpośredni, ścisły kontakt z armią rumuńską jest najistotniejszą pracą wobec naszego południowego sojusznika.

9. Zagrożeniem dla Polski i Rumunii był ZSSR, stąd charakter obronny polsko-rumuńskiego sojuszu z 3 III 1921 r.

Armia nasza może i powinna wywierać wpływ na poprawę wewnętrznych wartości armii rumuńskiej. Praca ta może dać pozytywne wyniki w dwu kierunkach – przez oddziaływanie na sfery kierownicze, w celu poprawy materialnego i administracyjnego stanu armii, oraz przez wpływ na szersze koła oficerów młodszych dla poprawy morale korpusu oficerskiego i stosunku oficera do żołnierza.

Temu celowi musi również służyć kontakt *Polski Zbrojnej* z prasą rumuńską poruszającą zagadnienia wojskowe.

Zadania wojskowo-polityczne sprowadzają się do wyrabiania w wojskowej i cywilnej opinii rumuńskiej przeświadczenia o tym, że najistotniejsze niebezpieczeństwo dla pokojowego rozwoju Rumunii stanowi jej obecny sąsiad wschodni. Prowadzi to w konsekwencji do oddziaływania na normalizację stosunków rumuńsko-węgierskich oraz zainteresowywania (!) Rumunów problemami narodowościowymi Rosji. Rumuni posiadają na swym terenie emigrację ukraińską i starą emigrację tatarską w Dobrudży. Obie one mogą się stać elementem aktywnego stosunku do problemu przyszłej Rosji. Dotychczas miarodajne sfery rumuńskie nie okazują żadnego zrozumienia dla tych zagadnień i nie orientują się w procesach, które się dokonują na terenie Rosji sowieckiej.

Francja. Prace operacyjne i studium armii prowadzone są przez te same organa pracy Pana Inspektora Generalnego i tymi samymi metodami co i w stosunku do Rumunii.

W dziedzinie stosunków ogólnych jest wiele do zrobienia. Nie ułożyły się one jeszcze w sposób właściwy. Francuzi nie odzwyczaili się od traktowania Polski jako państwa protegowanego, leżącego w orbicie jej kontynentalnej polityki. W dziedzinie wojskowej idą jeszcze chwilami rozpędem dawnej misji wojskowej. Stąd potrzebna jest praca, by w rzeczach dużych, jak zobowiązania sojusznicze, zarówno jak małych, jak np. sposób nadawania orderów, stosunek stawał się normalny; jednakże unikać trzeba rzeczy, które mogłyby być tłumaczone jako zmiana istotnego stosunku Polski do Francji. Stosunek sojuszniczy, który wynika z obustronnego interesu, przede wszystkim wojskowego, powinien zyskiwać na normalizacji stosunków.

Francja żyje pod wrażeniem ciężarów wojny. Dlatego skłonna jest nawet do ofiar w zakresie bezpieczeństwa. W tym tkwi źródło niechęci do zobowiązań sojuszniczych wobec nas i uległość w sprawach koncepcji pacyfistycznych na rynku międzynarodowym. Reasekuracji bezpieczeństwa poszukują raczej na zachodzie niż w sojuszu z nami.

Jednakże Francja posiada lojalność w stosunku do przyjętych zobowiązań; można na nią liczyć. Dlatego trzeba pracować nad tym by zobowiązania jej utrzymać i rozszerzyć. Droga do tego jest uświadamianie roli i znaczenia Polski oraz militarnego rozwoju Niemiec. Z tego względu aktywność stosunków personalnych i informacyjnych jest potrzebna.

Żądając od sojuszników wypełnienia przyjętych zobowiązań musimy być wobec nich w całkowitym porządku. Nasze zobowiązania nie mogą przekraczać naszych możliwości, a cały stosunek musi być zawsze nacechowany istotną lojalnością.

Państwa bałtyckie. Leżą one na drodze współdziałania niemiecko-rosyjskiego. Stanowią one północne skrzydło naszego frontu wschodniego i mogą również zaważyć na wartości Bałtyku jako drogi dowozowej materiału wojennego. Z tych względów muszą być przedmiotem stałego zainteresowania ze strony czynników wojskowych.

Państwa bałtyckie, nawet jako neutralne w wypadku naszego konfliktu zbrojnego z Rosją, odciągają będą część sił rosyjskich i dawać możność zasięgu informacyjnego. Zaangażowane dobrowolnie lub zmuszone do akcji przez samą Rosję będą mogły odegrać tym większą rolę jako skrzydło naszego frontu, im bardziej będą miały zabezpieczone tyły od strony morza. W tym celu muszą być wody Bałtyku zneutralizowane lub opanowane. Zagadnienie to wiąże się również z problemem zabezpieczenia dróg wodnych prowadzących do Gdyni i Gdańska.

Podstawą dla rozwiązania zagadnienia współpracy militarnej państw bałtyckich z Polską jest rozwiązanie kwestii litewskiej. Zadaniem obecnym jest przygotowywanie podstaw do współpracy operacyjnej lądowej i morskiej. Podróże, wycieczki, stage – obok stałej pracy attaché wojskowych sprzęgają już w czasie pokoju wojskową myśl państwową

państw bałtyckich z Polską. Realnym czynnikiem jest ścisła współpraca w zakresie Oddziału II.

Zachodzi pytanie, do czego dążyć musimy, jako ostatecznej formy stosunków z państwami bałtyckimi.

Niepodległość państw bałtyckich jest potrzebą wojskową Polski. Zachodzi zatem konieczność jej gwarantowania i zabezpieczania.

Finlandia z wszystkich państw bałtyckich jest najmniej zagrożona. Narażona może być raczej neutralność jej wód przez flotę rosyjską.

Natomiast łatwo może być zagrożony byt polityczny Estonii i Łotwy. Oba te państwa są narażone na atak ze strony rosyjskiej. Czy atak rosyjski na te państwa musi się stać *casus belli* dla Polski? Z całą pewnością można stwierdzić, że utrata niepodległości przez Estonię i Łotwę stawia nasz front wschodni w położenie trudniejsze, że zatem napad Rosji na te kraje musi się spotkać z reakcją ze strony polskiej. Jaką? Przede wszystkim prewencyjną – uniemożliwianie względnie utrudnianie przez pakt o nieagresji, interwencję bezpośrednią, przez mocarstwa lub Ligę Narodów, mobilizację częściową lub całkowitą. Czy i ostateczne konsekwencje, rozstrzygną niewątpliwie warunki ogólnopaństwowe w danej chwili.

Pytanie, czy w razie naszego konfliktu z Rosją bardziej pożądana jest neutralność czy też aktywność państw bałtyckich? Ze względów lądowych przypuszczalnie neutralność, ze względów morskich raczej aktywność odpowiadały naszym interesom wojskowym. Stan neutralności państw bałtyckich miałby szczególniejszą wartość przed rozstrzygnięciem sprawy litewskiej.

W konsekwencji nie należałoby dążyć do konwencji wojskowej z państwami bałtyckimi. Natomiast należy dojść do stanu teoretycznej kolaboracji w studiach operacyjnych lądowych i morskich oraz doprowadzić do stanu współpracy pokojowej w różnych dziedzinach życia wojskowego, przez którą ewentualna współpraca wojenna byłaby najlepiej przygotowaną.

Za dalekiego sprzymierzeńca wojennego uważać można Japonię. Obecnie punkt ciężkości zainteresowań wojennych

Japonii przeniesiony jest na Pacyfik i Chiny. Granica z Rosją sowiecką nie jest uważana za zagrożoną. Zainteresowanie Związkiem sowieckim jednakże istnieje i jest bezpośrednią przyczyną aktywnego stosunku do Polski. Japończycy oceniają należycie wojskowe wartości Polski, i to podnosi w wyższym jeszcze stopniu ich aktywność wobec nas. Można niemal powiedzieć, że w przekonaniu Japonii Polska gwarantuje jej spokój ze strony Rosji. Dlatego też można liczyć na to, że w razie naszego konfliktu zbrojnego z Rosją, stosunek Japonii będzie aktywny. Możemy mianowicie liczyć na współpracę informacyjną czyli korzystanie za pośrednictwem naszego attaché wojskowego w Tokio z pracy japońskiego attaché w Moskwie; możemy liczyć na ewentualną pomoc w akcji dywersyjnej na kolei syberyjskiej; możemy również liczyć na aktywny stosunek Japonii do ruchów separatystycznych na Syberii.

Te zadania przygotowywać ma nasz attaché wojskowy w Tokio, a równolegle attaché wojskowy w Moskwie oraz Centrala Oddz. II. Znaczny krok naprzód został już dokonany dzięki ppłk. Jędrzejewiczowi¹⁰, a także mjr.owi Kowalewskiemu¹¹.

Na *Turcję* możemy liczyć na razie jedynie jako na teren dający nam ukrytą pomoc w pracy wywiadowczej oraz w kontaktowaniu się działaczy niepodległościowych z krajem. Na działalność aktywną, więc pomoc transportów broni, oddziałów powstańczych czy dywersyjnych na Ukrainę czy Kaukaz itp. można by liczyć dopiero przy wyraźnym zaawansowaniu się problemu rozkładowego Rosji sow[ieckiej].

Obecnie może być tylko pogłębiana tajna współpraca informacyjna na Rosję ze sztabem tureckim.

Z sąsiadów Niemiec możemy liczyć poza Francją, na współpracę ze sztabem belgijskim. Rozszerzenie attachatu paryskiego na Brukselę ma tę współpracę przygotować. Poza tym potrzebne dla studium Niemiec okazały się Szwecja i

10. Mowa o Wacławie Jędrzejewiczu, który w latach 1925-1928 był attaché wojskowym w Tokio.

11. Najprawdopodobniej chodzi o mjr. Jana Kowalewskiego, w 1928 r. pracownika Oddziału III Sztabu Głównego, na jego kontakty z Japonią wskazywałby fakt, że odznaczony był japońskim Orderem Wschodzącego Słońca IV klasy.

Hiszpania. Rozszerzanie terenu działania attachatu w Helsingforsie rozwiązuje pierwsze zagadnienie. Dla Hiszpanii trzeba szukać rozwiązania przez wojskowego sekretarza w Poselstwie w Madrycie.

Na *Czechosłowację* nie można liczyć jako na ewentualnego sprzymierzeńca na froncie zachodnim, natomiast Czechosłowacja powinna być traktowana jako źródło materiału wojennego, zwłaszcza wobec bliskiego jej sąsiedztwa, które ułatwia problem transportowy. Dlatego rozbudowa stosunków wojskowo-gospodarczych już w czasie pokojowym musi być głównym kierunkiem pracy wojskowej. Inne dziedziny współpracy mogą mieć znaczenie jedynie drugorzędne i pomocnicze.

Współpraca informacyjna oparta o zasadę wzajemności może dać dodatnie rezultaty. Jest ona obecnie rozwijana.

W dziedzinie wojskowo-politycznej nie ma zagadnień wspólnych; istnieją natomiast sprzeczne. Odmienny stosunek do Rosji sprawia, iż Czesi popierają te elementy emigracyjne, które my zwalczamy i na odwrót. Popieranie przez nich Rusinów z Małopolski wschodniej przyczynia nam stale trudności.

Przez nas utrzymywane są stosunki z irredentą słowacką. Ruch niepodległościowo-bojowy na Słowaczczyźnie nie istnieje ani w sile ani w formie tak poważnej, aby można było uważać za realną koncepcję niepodległej Słowaczczyzny. Stosunek Słowaków do Węgrów nie jest również pozytywny, tak aby przyłączenie Słowaczczyzny do Węgier było rozwiązaniem problemu słowackiego. Ruch irredentystyczny ma wyraźny charakter organicznikowski – dość silny by się przeciwstawić czechizacji, ale za słaby by się stać podstawą politycznej samodzielności.

Wpływ Polski, zwłaszcza polskiej kultury jest na Słowaczczyźnie poważny. Wpływ ten powinien być wyzyskany dla wprowadzenia w Czechosłowacji równowagi między elementem czeskim i słowackim. Odbija się to dodatnio na stosunku Czech do Polski także w dziedzinie zagadnień wojskowych.

Wszystkie państwa, które nie są zaliczone albo do wrogów albo do sprzymierzonych, są dla wojska przedmiotem zainteresowania przede wszystkim pod kątem widzenia

tranzytowym. Pod tym kątem widzenia muszą być studiowane i muszą być przedmiotem aktywnego ustosunkowania się naszej polityki zagranicznej. Jest to teren bezpośredniego współdziałania Sztabu z MSZ.

Zagadnienie tranzytowe nie jest jeszcze rozpracowane pod względem technicznym tak dalece, by już teraz można było sprecyzować ściśle zadania naszej polityki zagranicznej pod tym kątem widzenia. Ogólnym wskazaniem jest, iż we wszystkich umowach handlowych z państwami środkowo- i południowoeuropejskimi muszą być potrzeby tranzytu wojennego wzięte pod uwagę i zagwarantowane.

Przy realizowaniu zagadnienia tranzytowego polityka polska nie może się krępować wzajemnymi stosunkami państw trzecich jak np. Grecji z Jugosławią, Czechosłowacji z Węgrami. Wszystkie drogi południowe powinny być równomiernie przepracowane.

Tranzyt przez drogi północne jest głównie zagadnieniem militarnym, gdyż rozstrzygać będzie o ich wartości wojskowe panowanie na Bałtyku przez nas, przez nas wspólnie z Bałtami lub naszymi sprzymierzeńcami, względnie przez naszych nieprzyjaciół.

W problemie tranzytowym bardzo poważną rolę odgrywa *Gdańsk*. Wobec *Gdańska* musi być zachowana pełna swoboda całkowitego wyzyskania techniczno-tranzytowych możliwości *Westerplatte* oraz wszelkich warunków do tego, aby użytkowość *Westerplatte* mogła być w razie potrzeby na *Gdańsku* wymuszona.

Problem *materiałowy* jako element zagranicznej polityki wojskowej wymaga specjalnego opracowania. Jest on w pierwszym rzędzie zależny od zagadnienia tranzytowego.

Anglia i Ameryka należą do specjalnej grupy państw. Nasz stosunek wojskowy do Anglii jest elementem ogólnego stosunku naszej państwowej polityki zagranicznej; nie wypływa on z bezpośredniego interesu wojskowego. Na politykę państwową Anglii duży wpływ ma wojskowy komitet imperialny. Wpływ jego jest poważny zwłaszcza na urabianie się poglądów i ocenę stosunków międzynarodowych. Za pośrednictwem czynników wojskowych można zatem oddziaływać na kształtowanie się poglądów miarodajnych kół angielskich. Odnosi się to w

pierwszym rządzie do oceny sytuacji w Rosji. Opinia angielskich kół oficjalnych poważnie liczy się z polską oceną sytuacji rosyjskiej. Tą drogą mogą być także utrzymywane z pożytkiem kontakty dla informowania się w sprawach polityki międzynarodowej pośrednio interesujących Polskę, jak zagadnienia rozbrojenia, systemów bezpieczeństwa itp.

Anglia jest zainteresowana stosunkiem wojskowych sił na Bałtyku zbieżnie z naszymi interesami. Można to wykorzystać przy realizowaniu problemów transportowych dróg północnych, m.in. w sprawach gdańskich oraz morskich zagadnień operacyjnych.

Ameryka jest krajem, który daje możliwości materialne także w dziedzinie wojskowej. Szczególnie interesujące jest zagadnienie gazowe¹².

Liga Narodów i prace rozbrojeniowe są ważkim czynnikiem w kształtowaniu się światowej opinii. Udział nasz w pracach rozbrojeniowych powinien się przyczynić do prawidłowego kształtowania się poglądów co do pokojowości naszej polityki państwowej.

Istotą jednak zadań naszej polityki w sprawach rozbrojeniowych musi być to, byśmy nie byli krępowani w swobodach kształtowania naszej siły obronnej zgodnie z naszymi koniecznościami. Opieramy nasze bezpieczeństwo przede wszystkim na naszych siłach. Swoboda rozwijania posiadanych sił w chwili potrzeby musi być całkowicie zachowana. Pomnożeniem sił własnych są sojusze wojskowe. System gwarancyjny tworzony przez Ligę Narodów nie może krępować naszych sojuszków i osłabiać stopień bezpieczeństwa tą drogą osiągnięty. Jedynie pomocniczą wartość dla bezpieczeństwa państwa posiadać mogą te gwarancje, które uzyskać możemy przez zrealizowanie się jakiegoś systemu bezpieczeństwa na terenie ogólnych¹³ prac międzynarodowych.

*opracowali Andrzej GRZYWACZ,
Grzegorz MAZUR*

12. Polityka izolacjonizmu, prowadzona w tym czasie przez USA, doprowadziła do tego, że widziano w tym państwie pod względem wojskowym tylko osiągnięcia w zaopatrzeniu w gazy bojowe.

13. Przekreślono słowo „ogólnych” i na to miejsce wpisano: „pacyfistycznych”.

Władysław ZAJEWSKI

TRADYCJA I WSPÓŁCZESNOŚĆ W SPORACH O MODEL USTROJOWY

W Polsce rozgorzał spór konstytucjonalny, w tym również o formę przyszłych rządów. System prezydencki czy gabinetowo-parlamentarny? Czy może w tym wypadku być przydatny głos historyka? Nie dlatego, że posiada ukryte jakieś szczególnie interesujące lub przydatne rozwiązanie tego ustrojowego konfliktu, lecz raczej z tego tytułu, że może i powinien przypomnieć politykom współczesnym, że nie jest to bynajmniej spór nowy.

Jego załączki tkwią w tradycji politycznej Polski w tym sensie, iż w czasach wielkich przełomów i wiraży w losach Polski dylemat ten wyłaniał się tak przed elitą polityczną, jak też i przed całym świadomym politycznie społeczeństwem. W dobie Sejmu Czteroletniego istniała już w Polsce ukształtowana wręcz legenda o tym, że za Atlantykiem istnieje ogromny kraj Ameryka, dokąd może się udać każdy człowiek pragnący „oddychać powietrzem wolności”. Zarówno w całej Europie, jak i naturalnie w Polsce, a może nawet szczególnie w Polsce – jak pisała prof. Zofia Libiszowska – „narodził się miraż amerykański, mieszanek rzeczywistości i legendy, uskrzydłona wiarą w ogólnoludzkie ideały¹”. Ziemia

1. Por. Z. Libiszowska, *Opinia polska wobec rewolucji amerykańskiej*, Łódź 1962, s. 78; J. Jedlicki, *Obecność Ameryki* [w:] *Sąsiedzi i inni*, Warszawa 1978, Czytelnik, s. 208.

Washingtona, Jeffersona i Franklina przedstawiana była jako kraina wolności i nieskrępowanej inicjatywy każdej jednostki, „gdzie się przed uciskiem – pisał ksiądz Hugo Kołłątaj – może schronić każdy, do ziemi Franklina i Waszyngtona²”. Jednakże w swoim końcowym projekcie konstytucji majowej z 1791, ks. Hugo Kołłątaj był ostrożniejszy i nie widział możliwości zastosowania ustroju amerykańskiego dla Polski. Jako wzór dla Polaków stawiał ustrój Anglii z jej klasycznym wówczas trójpodziałem władz. „Czemu trzy oddzielne władze w Anglii przemóc nad sobą nie mogą – pisał ksiądz H. Kołłątaj – bo równowaga między nimi jest doskonale utrzymana; żadna z nich nie posiada całej władzy, a wszystkie nawzajem siebie potrzebują. Ja w tej mierze radziłbym iść za doświadczeniem Anglii³”.

W odróżnieniu od marszałka litewskiego Ignacego Potockiego, Kołłątaj był zwolennikiem zwiększania atrybucji władzy monarszej, bowiem jego zdaniem „lepiej jest dać egzekucję silną królowi z ministrami, jak zostawać pod anarchią lub oligarchią, która równie do anarchii prowadzi”. Gdy przeto przeciwnik Konstytucji 3-go maja – poseł Jan Suchorzewski – zwrócił na znak protestu królewskie orderzy i publicznie zapowiedział swój wyjazd do Ameryki, wówczas Ignacy Potocki sarkastycznie mu odpowiedział: „Nie radzimy JW Panu tam jechać, bo tam zastaniesz moc wykonawczą władzy większą, niżesmy dali królowi⁴”. Model amerykański został przez elitę polityczną Sejmu Wielkiego odrzucony jako nie do zastosowania w Polsce. Nie dlatego, że nie było w kraju entuzjastów *Bill of Rights*, ile po prostu z powodu zupełnie odmiennych tradycji politycznych Rzeczypospolitej.

Wszak wybitny prawnik i działacz Konfederacji Barskiej, Józef Wybicki, choć pochwalał gorąco amerykańskie umiowanie wolności i ustanowioną tam „republikę w duchu oby-

2. H. Kołłątaj, *Do Prześwietej Deputacji dla ułożenia projektu konstytucji rządu polskiego* [w:] *Wybór pism politycznych*. Opracował Bogusław Leśnodorski, Wrocław 1952, s. 170.

3. M. Pasztor, *Hugo Kołłątaj na Sejmie Wielkim w latach 1791-1792*, Warszawa 1991, Wydawnictwo Sejmowe, s. 163.

4. Z. Janeczek, *Zmagania Ignacego Potockiego z opozycją prorosyjską*, „Studia Historyczne” 1994, zeszyt 1, s. 39.

watelstwa”, to rodakom zalecał sięgać do tradycji Jagiello-nów⁵.

Spór o kształt prawno-polityczny Polski odżył ponownie w trakcie powstania listopadowego. Rozważano w prasie i w sejmie czy Polska ma przyjąć ustrój monarchiczny czy ewentualnie republikański, jeżeli monarchiczny – to jaki: monarchii konstytucyjnej czy konstytucyjno-reprezentacyjnej? Innymi słowy czy Polska chce naśladować wzory ustrojowe Francji po rewolucji lipcowej 1830 roku, czy też naśladować Anglię? I jak to pogodzić z własnymi tradycjami narodowymi, bo jak pisało konserwatywne *Zjednoczenie* z 15-go lipca 1831 roku „narodowością polską nie jest tylko mówić po polsku, ale w tym duchu myśleć i działać, jak działali i myśleli przodkowie”. Nie ulega wątpliwości, zdaniem tegoż dziennika *Zjednoczenie*, że motorem postępu w Europie była Francja od przeszło 40-tu lat, tam właśnie „toczył się wielki proces ludzkości, stamtąd wychodzi hasło do zmian w innych krajach”. To we Francji szlachta 14 sierpnia 1789 zniósła „korzystne przywileje, jak i marne tytuły poświęciła na ołtarzu ojczyzny i odtąd aż do Napoleona wszystkie dziedziczne dystynkcje były zniesione”. Jednakże wypadki potoczyły się inaczej i gorzej niż przypuszczali to najwięksi francuscy filozofowie i twórcy. Pod rządami jakobinów Francuzi „wpadli w odmet nieszczęścia, pod gilotyną utracili swych najznakomitszych ludzi”. Francja odtąd bardziej widziana w Europie jako kraj burzący niż konstruujący rozwój. Europa obecnie jest bardziej zapatrzona na Anglię, słabnie natomiast prymat Francji. „Anglia jest narodem, gdzie wszystkie zmiany nie tylko wypływają z rozumu, z zastanowienia się nad położeniem kraju, ale zarazem są wypadkiem głębokiego uczucia narodowego (...) Anglicy mają religię, prawa i ustawy polityczne, do których są szczerze przywiązani, których naruszać i zmieniać niełatwo im przychodzi. Ale Anglicy nie są zdolni przekonać inne narody o zaletach swego

5. J. Wybicki, *Uwagi polityczne i krytyczne nad stanem dawnym i dzisiejszym narodu polskiego* [w:] *Archiwum Wybickiego*, t. 1 (1768-1801). Zebrał i wydał A.M. Skałkowski, Gdańsk 1948, s. 113-114 (broszura Wybickiego z 1784 r.).

postępowania⁶". To, co dzieje się obecnie w Anglii, tzn. reforma życia parlamentarnego, jest i dla Polski niezwykle ważnym wydarzeniem z tej prostej racji, że Polska jest w Europie, zdaniem dziennika *Zjednoczenie*, trzecim mocarstwem konstytucyjnym (sic!). Polska w chwili obecnej stoi na rozdrożu, musi wybrać albo model francuski, albo model angielski. Redakcja *Zjednoczenia* zdecydowanie wypowiedziała się za modelem angielskim: „Pomocą naszą musi być naród najoświecieńszy, najwolniejszy, ten sam naród, który już dwakroć Europę za Ludwika XIV i Napoleona wyzwolił z despotyzmu, naród którego przeznaczeniem jest i Rosję cofnąć w karby politycznej równowagi⁷". Dziennik *Zjednoczenie* zaatakował także model republiki francuskiej lansowany na łamach radykalnego pisma *Nowa Polska*, gdzie znajdowano szczególne wyrazy uznania dla twórców rewolucji francuskiej 1789 roku⁸. Naciągając nieco w ferworze polemiki ścisłość i rzeczowość wypowiedzi *Nowej Polski*, dziennik *Zjednoczenie*, sympatyzujący z ugrupowaniem księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, twierdził, że *Nowa Polska* dąży do francuskiego modelu ustrojowego, do francuskiej republiki gdzie urzęduje kat z toporem w ręku. Organ konserwatystów warszawskich następnie dodawał: „i my uwielbiamy Rzeczpospolitą! Słodkie to dla nas imię. Nosiła je dawna ziemia ojców naszych. Lecz pewno nie do takiej dąży *Nowa Polska*. Były rzeczpospolite, które mordami, uciskiem, nędzą słyną, a zgrozą serce człowieka przenikają⁹".

Ale lewicowy, radykalny dziennik *Nowa Polska* wyszedł już poza rozważania czy lepszy model republiki francuskiej czy monarchii angielskiej. Dn. 5-go lipca 1831 *Nowa Polska*

6. *Zjednoczenie* nr 3 z 3 lipca 1831, s. 12. W swoich pamiętnikach Romuald Hube twierdzi, że *Zjednoczeniu* patronował z cicha książę Adam Jerzy Czartoryski i miał to być dziennik pozostający w opozycji do pism radykalno-lewicowych. Głównym wydawcą był początkowo Jan Nachtman i publicystą prawnik Cyprian Zaborowski. Zob. *Pamiętniki Romualda Hube*, Biblioteka Jagiellońska rkps nr 6687, k. 65. Po upadku powstania 1831 zarówno Romuald Hube jak i Cyprian Zaborowski współpracowali z carem Mikołajem nad nową strukturą prawną Królestwa Polskiego.

7. *Zjednoczenie* nr 7 z 7 lipca 1831, s. 27.

8. *Zjednoczenie* nr 33 z 2 sierpnia 1831.

9. *Zjednoczenie* nr 7 z 7 lipca 1831, s. 28.

ogłosiła bulwersujący Warszawę artykuł pt. „Zdrowy rozsądek”, w którym porównała finanse i stan zamożności obywateli amerykańskiego stanu Ohio z sytuacją obywateli angielskich i wydatków jakie oni łożą na utrzymanie monarchii. *Nowa Polska* pisała, że stan Ohio jest stanem bogatym, kwitującym naukami i handlem, stanem w którym nie ma żebraków. System amerykański jest sprawniejszy, lepszy i nade wszystko jest systemem tańszym. Rząd amerykański na utrzymanie swego prezydenta płaci bowiem 180 tys. złp., natomiast Anglicy na utrzymanie korony wydają rocznie 40 mln złp. i w rezultacie „Ameryka nie ma żebraków, Anglia ma szpitale, ubogich, nędzę”. Dziennik wyciągał wniosek, iż „ten rząd jest najlepszy, który największej liczbie obywateli daje największe szczęście”. *Nowa Polska* proponowała Polakom: „zaprowadźmy rząd obywatelski – prosty, tani, jak można najtańszy”. Tak więc kryterium „lepszości” ustroju miał być budżet i statystyka, nie zaś argumentacja słowna.

Bardzo ziryutował się na to konserwatywny dziennik *Zjednoczenie* i zarzucił redakcji *Nowej Polski*, że pod pozorem troski o zwykłego obywatela, lansuje model nie tyle amerykański, co francuski, czyli dyktatury jakiegoś nowego Konwentu¹⁰.

Ale sprawa „modelu amerykańskiego” pojawiła się również i w sejmie 1831 roku. W trakcie niezwykle ostrej debaty w czerwcu nad reformą rządu, gdzie konserwatystom chodziło o obalenie Rządu Narodowego ks. Adama Jerzego Czartoryskiego i wprowadzenie urzędu namiestnika, obdarzonego niezwykle silną władzą – pojawiły się wypowiedzi, że Polska mogłaby pójść wzorem amerykańskim, ustanawiając silną prezydenturę. Taki był sens wypowiedzi poważanego w izbie poselskiej marszałka hrabiego Władysława Ostrowskiego. Niezwykle też silnie replikował mu lider „kaliszan” w sejmie poseł Bonawentura Niemojowski, cieszący się dużym autorytetem w izbie:

„Powoływanie się marszałka na rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki z jednego prezydenta złożony, dla usprawiedliwienia wniosku względem oddania i u nas jednej osobie

10. *Zjednoczenie* nr 7 z 7 lipca i nr 33 z 2 sierpnia 1831.

tej części władzy królewskiej, którą teraz Rząd Narodowy sprawuje, jest niestosowne. W Ameryce, gdzie naprzód nikt żadnego gruntowego, ani osobistego nie płaci podatku, gdzie przeto administracja jest symplikowana, gdzie każda prowincja swoje osobne co do interesów ma rządy, a tylko wspólne w Kongresie rozbierane bywają, gdzie każda gmina sama także się rządzi; gdzie przeto władza rządząca jest więcej tylko władzą czuwającą nad wykonaniem praw, nad obroną kraju i stosunkami jego zewnętrznymi, tam władza może być w ręku jednego, zwłaszcza dla narodu nowego, żadnych przesądów europejskich nie mającego. Lecz u nas, oddając losy nasze w ręce jednego, wystawilibyśmy się na wszystkie złe skutki z ułomności ludzkich wypływające¹¹.

Gdy dziś odczytujemy z zakurzonych diariuszy sejmowych oraz łamów czasopism ówczesne spory konstytucyjne i polityczne zarazem, pełne namiętności szukanie wzorców i modeli dla Polski najlepszych, budzi się jednocześnie podziw dla wielkiej w sumie kultury politycznej minionych pokoleń. Wszak senator kasztelan Franciszek Ksawery Lewiński powie w czasie debaty nad dyktaturą gen. Józefa Chłopickiego, że „dyktatura w świecie cywilizowanym jest niedopuszczalna i z wszelką teorią nawet despotyzmu okazuje się niezgodna, a dla sprawy naszej żadnych nie przedstawia korzyści¹²”. Naturalnie od owych sporów minęło już wiele dziesięcioleci. Europa po drugiej wojnie światowej, u schyłku wieku XX stoi przed nowym i niezupełnie nowym wyborem, a mianowicie, czy nastąpi amerykanizacja europejskiego, w tym i polskiego systemu politycznego wraz z dokonującą się już dekompozycją europejskich partii politycznych, czy też Europa pójdzie własną, tradycyjną drogą swego rozwoju życia politycznego, którego cechą immanentną jest bogaty pluralizm? To także konflikt rozgrywający się na naszych oczach między Centrum i peryferium¹³. Czy

11. Wystąpienie pośła Bonawentury Niemojowskiego na sesji 10 czerwca 1831 [w:] *Diariusz sejmu z r. 1830-1831*. Wydał Michał Rostworowski, t. IV, Kraków 1910, s. 363.

12. Wł. Zajewski, *Sejm powstania listopadowego wobec tradycji rewolucji francuskiej 1789* [w:] *Pamiętnik XIV Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich*, Toruń 1994, Wydawnictwo Adam Marszałek, s. 118.

13. Gianfranco Pasquino, *Rozdźwięki pomiędzy politologią i historią*, „Przegląd Humanistyczny” 1994, nr 2, s. 28.

dokona się dekompozycja europejskiego życia politycznego pod wpływem potęgującej się amerykanizacji, szczególnie ryzykownej w tej środkowo-wschodniej części Europy, gdzie nie ma ukształtowanych od dziesięcioleci partii i struktur politycznych, czy też Europa oprze się temu naciskowi i choć utraciła swoją centralną pozycję jaką miała w XIX stuleciu, to jednak ocali swoją tradycję i styl?

Władysław ZAJEWSKI

WSPOMNIENIA

Jerzy Paweł HORZELSKI

NOTATKI Z 1939 R.

Dziennik wydarzeń i ważniejszych spotkań prowadzony przeze mnie, mniej lub więcej regularnie, od roku 1920, a zawarty w siedmiu grubych zeszytach, tzw. «brulionowych», uległ całkowitemu zniszczeniu podczas wojny. Nie udało mi się stwierdzić czy został on spalony, z resztą rzeczy, na ulicy Szustra, w moim ostatnim mieszkaniu, czy na ul. Filtrowej, w mieszkaniu rodziców, dokąd wedle relacji moich dzieci część mojej biblioteki („najcenniejsze” książki) oraz papierów została przeniesiona, czy też zabrało go Gestapo, które, najwidoczniej powiadomione o mojej ucieczce z niewoli rosyjskiej, przeprowadziło, niezwłocznie po upadku Warszawy, gruntowną rewizję w moim mieszkaniu, skonfiskowało resztę nakładu książki o Hitlerze, wydanej przed samą wojną przez *Przekrój*, wszystkie papiery dotyczące tego wydawnictwa (które przechowywałem jako jego redaktor, na życzenie wydawcy, którym był Stefan Czarnecki), oraz część (jakąś?) prywatnych rękopisów i maszynopisów. Gestapo także zainstalowało w moim mieszkaniu zasadzkę na mnie w postaci stałego swego agenta (którym był nie znany mi z nazwiska Japończyk), przebywającego bez przerwy w mieszkaniu przez szereg miesięcy.

Po zmobilizowaniu kontynuowałem zwyczaj notatek w małym, kieszonkowym notesie (a później na rozmaitych skrawkach papieru). Pisane b. drobnym pismem i z licznymi skrótami (dla oszczędności miejsca), ołówkiem tzw. „chemicznym”, notatki te ulegały w różnych okazjach zawilgoceniu, przez co pismo zamazywało się, a fioletowy barwnik częściowo przesiąkał na drugą stronę, oczywiście dwustronnie zapisywanych kartek. Pismo stało się trudne do odcyfrowania dla kogokolwiek obcego. Postanowiłem wobec tego nie konserwować nadal tych, postrzępionych i rozsypujących się kartek, a treść ich przetranskrybować, jako dokument, który może kiedyś komu się do czego nada. Opatruję go także, póki pamięć dopisuje, uzupełnieniami i wyjaśnieniami (które umieszczone są w nawiasach kwadratowych).

30 sierpnia

Od 26-go jestem zatem w wojsku. Już na dwa dni przedtem znajomy, pracujący w Wydz. Wojsk. Magistratu, zawiadomił mnie, że karta powołania dla mnie została wypisana i otrzymam ją w piątek wieczorem lub w nocy. Głupia metoda wręczania powołań w nocy, a stosowana ostatnio bardzo szeroko. Budzą w nocy z rozkazem stawienia się do pułku w ciągu dwóch godzin. Mobilizacji powszechnej jeszcze nie ma, ale powołania imienne przybrały już rozmiary bardzo szerokie. W samej Warszawie wysłano dotychczas około 10 tysięcy kart powołania.

Wiadomość o moim powołaniu nieco mnie zdziwiła. Dziennikarze mieli być powołani dopiero w ostateczności. I to już pojutrze, a ja numeru *Przekroju* nie mogę dziś jeszcze zamknąć, bo nasze tygodniowe zebranie informacyjne w Prezydium R.M. odbędzie się dopiero jutro.

[To naturalnie znaczy, że zebranie odbyło się w czwartek 25 sierpnia.]

Nie oczekuję nigdy żadnych rewelacji, ale to co nam wysoki rząd raczy oznajmić daje mi zwykle pewne wskazówki, co do wykorzystania informacji moich korespondentów. Numer musi pójść beze mnie. Na jak długo?

Kolację jem, jak zwykle, w bufecie sejmowym. Spotykam tam R., jest zaskoczony moim powołaniem, ale radzi *Przekroju* nie zawieszać. Ofiarowuje się zastąpić mnie na czas mobilizacji.

[Józef Rotbart, z którym byłem zaprzyjaźniony (jest on nawet ojcem chrzestnym mego syna) i który dużo z *Przekrojem* współpracował, był korespondentem parlamentarnym jednego z lwowskich dzienników i, tak jak ja, członkiem Klubu Sprawozdawców Sejmowych.]

– A jeżeli będzie wojna? – mówię.

– Wierzysz w to? – dziwi się R. – Beck nie jest moim faworytem, ale to nie jest głupi facet, a przy tym ma na pewno dużo lepsze i wszechstronniejsze wiadomości niż my. Nie dalej jak wczoraj wieczorem, na prywatnym zebraniu u Rydza, Beck mówił o sytuacji i dał słowo honoru, że wojny nie będzie.

– To nieco zabawny sposób przekonywania, w takiej sprawie, nie uważasz?

– Od powrotu z Wiednia jesteś „defetystą”, ale doprawdy nie ma żadnych realnych danych, że sytuacja się pogarsza, raczej przeciwnie.

Zastanawiam się nad możliwością utrzymania pisma, może w zredukowanej objętości? Byłoby to lepsze niż zawieszanie, ale nawet przy pomocy R. dałoby się to zrobić tylko wtedy, gdybym pozostał na Okęciu. Wtedy mógłbym dorywczo porozumiewać się z redakcją. Ale mogą mnie wysłać w pole. Na oddanie kierownictwa pisma R. nie mógłbym się zdecydować, nawet gdyby wydawca się zgodził. Dobry kolega i doskonały dziennikarz, ale na redaktora nazbyt zapalczywy i daje się ponosić temperamentowi. Kieruję rozmowę na książkę.

[Chodzi tu o książkę pt. „Taki jest Hitler”, którą opracowaliśmy wspólnie z R., a wydałem ją jako wydawnictwo *Przekroju* w lipcu. Lwi udział autorski należał do R. Hitler w „Mein Kampf” zupełnie wyraźnie przedstawił swe plany i zamiary, ale cegła ta była tak wielka i zawile pisana, że nikt chyba jej wtedy naprawdę nie czytał. Naszym zamiarem było przedstawić konkretne projekty Hitlera w stosunku do Polski i Polaków w sposób krótki, prosty i

czytelny. Wyboru odpowiednich fragmentów oryginału dokonaliśmy wspólnie, tzn. każdy z nas pracował oddzielnie (ja nie znając dość niemieckiego czytałem pełen tekst tłumaczenia francuskiego, które mi dostarczył Stefan, a które R. uważał za „zmiękczone” w przekładzie), a następnie razem uzgadnialiśmy wybór, który R. częściowo tłumaczył, a częściowo streszczał. W tej fazie mój udział sprowadzał się właściwie do redagowania całości, do uważania aby streszczenia były możliwie wierne, jako że naszym celem było nie dodać ani jednego zdania własnego komentarza, oraz aby dosłowne cytaty nie znajdowały się w takiej ilości aby to jaskrawo gwałciło prawo copyright'u. Już w czasie druku (poszczególne arkusze musiały być przecież wprost z maszyny dostarczane do wydziału prasowego Komisariatu Rządu) zaczęły się na nas ostre naciski z MSZ, aby druku zaniechać. Nie wiem do dziś dlaczego sprawą tą zajmował się Smogorzewski, z którym *nota bene* już w r. 1938 miałem „krótkie spięcie” w Wiedniu, gdzie jako korespondent agencji PAP (i jako jedyny dziennikarz z Warszawy) przyjechałem na *Anschluss*, a S. wraz ze swym „cyrkiem” polskich korespondentów akredytowanych w Niemczech, przyjechał wraz z otoczeniem Hitlera i miał urządzoną „konferencję prasową” w lokalu polskiej ambasady w Wiedniu (gdzie zresztą żoną jednego z sekretarzy, Włodarkiewicza, była moja dawna koleżanka z *Kuriera Porannego*, Stefcia z domu Basisówna). Z książki zresztą skonfiskowano nam tylko doskonałą graficznie i kolorystycznie okładkę, którą trzeba było w ostatniej chwili z pierwszego nakładu zdzierać i zastępować pośpiesznie wydrukowaną, zecersko złożoną.]

Broszura rozchodzi się świetnie. Z drukarni wyszedł już siódmy tyśiąc, tylko trzy zostały na składzie. R. zastanawia się nad dalszym drukiem. Hamuję go w rozpędzie, ale R. się entuzjazmuje.

Z wyciągnięciem należności nie powinno być większego kłopotu. We wrześniu mamy pierwsze terminy płatności, a na listopad możemy puścić w ruch nasz „wielki plan” rozkręcenia *Przekroju*.

Przysiadło się paru posłów, rozmowa stała się nieważna. Wyszedłem wcześniej niż zamierzałem. R. mieszka w hotelu

sejmowym, więc musiał zostać na pastwę elokwencji poselskiej.

Wróciłem do domu przed świtem. Trzeba się nieco przygotować do tej mobilizacji. Na wszelki wypadek. Prawie do południa segreguję papiery, rękopisy, listy. Uzbierał się duży stos, który staram się spalić w piecu. Szkoda mi trochę listów M. i szczególnie O. Cóż za niesłychanie ciekawy dokument psychologiczno-obyczajowy! Ale byłoby niepotrzebne aby te kartki wpadły w czyjekolwiek ręce.

Na godzinę przychodzę do biura wydawcy. Ogólne podniecenie już i tu dotarło, ale Leśniowski jest dobrej myśli. Wypowiada swoje informacje z miną, która upewnia, że on, ze względu na związki rodzinne ma wiadomości z dobrego źródła.

[Biuro C. mieściło się na ostatnim piętrze „drapacza nieba” na placu Napoleona. S. Leśniowski był tam w niezupełnie sprecyzowanej pozycji ni to zastępcy właściciela, ni to kierownika biura, a przy tym wszystkim totumfackiego w zakresie zagadnień polityczno-gospodarczych, a to na tej zasadzie że był żonaty z córką gen. Sikorskiego.]

Na obiad wpadłem do Langnera. Niespodziewanie zastałem tam Ż. Długa rozmowa, oczywiście na temat wojny. Jerzy jest dużo mniej oprymistyczny niż inni, pewnie dlatego że dość często w ostatnich miesiącach jeździł do Berlina i obserwował tamtejsze nastroje. Ale w tamtym kraju nastroje zmieniać może, z godziny na godzinę, jedno słowo „wodza”. Szanse wojny są, ale raczej niewielkie. To co J. wie z Ozonu i swych wysokich kontaktów z Wendą, potwierdza mi listy moich informatorów z Rzymu i Paryża. Niepokoją mnie trochę ostatnie dwa listy z Wiednia, ale ostatecznie B. zawsze był alarmistą, a jako były, zbuntowany współpracownik Sidora, ma prywatne stosunki raczej ponure.

[Jerzy Życki, który z amatorstwa i pewnego snobizmu utrzymywał obszerne stosunki towarzyskie i pełnił nieoficjalne funkcje *go between* pewnych kapliczek MSZ z pewnymi grupami w sztabie Ozonu, zajmował się prowadzeniem restauracji „Café Clubu”. Do Berlina jeździł aby wybierać i angażować „numery kabaretowe” do „Café C.”, toteż obracał się w Berli-

nie w kołach międzynarodowych zawodowców kabaretowych.]

Idąc na zebranie do Prezydium Rady Ministrów dochodzę do wniosku, że w istocie nie jestem tak bardzo przekonany iż wojna nie wybuchnie. Jeżeli to głośno powtarzam i staram się uzasadnić argumentami, to bardziej dlatego, że chciałbym przekonać samego siebie. Bo jeżeli wojna wybuchnie, to nasze perspektywy nie są różowe.

Na zebraniu w Prezydium pełno, jak nigdy. Przyszli nawet tacy dziennikarze, którzy nigdy tu nie bywali. Przewodniczy dziś Lepecki z tą swoją zwykłą miną, jakby nic nie rozumiał, co się dokoła niego dzieje. Skiwski enigmatyczny i protokolarny, jak zawsze, a nawet bardziej. Jego referat to czysta woda. Na pytanie R. dlaczego rząd nie zaprotestował przeciwko zmianie okrętu składającego wizytę „kurtuazyjną” w Gdańsku z okrętu szkolnego na pancernik – odpowiada, że to jest właśnie dowodem odprężenia, bo Niemcy nie ryzykowaliby kosztownego okrętu, gdyby mógł być on narażony na ewentualne storpedowanie przez nasze łodzie podwodne. „Primadonną” zebrania jest dziś oczywiście mjr. R., delegat M.S.Wojsk. Mówi obszernie i rzeczowo o mobilizacji niemieckiej, która do tej pory nie jest ukończona z powodu trudności transportowych, oblicza ilości wojska i broni technicznych, zgromadzonych na naszych granicach i udowadnia, że my, nawet w obecnym stadium mamy niemal równe siły. Przekonuje nas, że atak, aby zrównoważyć siły obrony, musi rozporządzać co najmniej dwukrotnie większą liczebnością i ostatecznie nie wiem, czy te nasze „równe siły” polegają na równej liczebności, czy lepszej pozycji obrony? Ale major odmawia odpowiedzi na wszelkie pytania. Może je przyjąć, ale odpowie dopiero na następnym zebraniu.

– Trzeba mieć zaufanie do armii – powiada – my nie możemy, niestety ujawniać przedwcześnie naszych atutów, planów i przygotowań.

Wychodzę w gorszym nastroju niż przyszedłem. Urzędowy optymizm nie poparty jest żadnym konkretnym argumentem, a cyfry mjra Rudowskiego nazbyt widocznie są dęte. Przynajmniej co do lotnictwa. Sam jestem rezerwistą 1 p.l. więc coś niecoś o tej broni wiem. Jeżeli i we wszystkich

innych rodzajach broni mówi się taką „prawdę”, to jest dużo gorzej niż myślałem.

Rotbart usiłuje mnie przekonywać, że moje powołanie do wojska nastroiło mnie tak pesymistycznie. Idziemy razem do Zodiaku na kawę. Umówiłem się tam z Antonim i Mikołajem. Mikołaj jest, przyniósł mi listy z redakcji i wiadomość, że u dozorczy leży już karta powołania. Nie wie dla kogo, bo to przecież „tajemnica urzędowa”, ale wszyscy wiemy że to do mnie, bo w całym domu tylko ja jeden jestem rezerwistą.

[Antoni Wieczorkiewicz, były kolega z *Kuriera Porannego*, obecnie kustosz Muzeum Starej Warszawy, jeszcze nie urzędzonego, a już przygotowywanego do zabezpieczenia na wypadek wojny, jest starym przyjacielem i stałym współpracownikiem *Przekroju*. Mikołaj X., Rosjanin urodzony w Warszawie, były oficer Denikina, a potem Żeligowskiego, obecnie, od lat dziennikarz zawodowy, pracuje ze mną jako kierownik administracji *Przekroju*.]

Wśród listów jest jeden z Brukseli. To jeden z lepszych moich informatorów. Żydowskiego pochodzenia Słowak, dziennikarz, który musiał uciekać z Wiednia. Ma w Belgii i Holandii doskonałe „chody”. List nie jest dobry. Mówi o stanie przygotowań Francuzów i Anglików. O ich wystąpieniu, czy nawet wydatnej pomocy, nie może być nawet mowy co najmniej do końca roku. Co prawda Anglicy dokładają wysiłków aby powstrzymać katastrofę. Przychodzi Antoni spóźniony i przeprasza, że wpadł tylko na chwilę. Muzeum otrzymało zarządzenie pakowania cennych eksponatów do najgłębszego podziemia i A. ma masę roboty. Ciekaw jestem kto wydał zarządzenie – ale moje obawy nie potwierdzają się – nie wojsko lecz Starzyński na własną rękę.

Wieczór zbliża się szybko. Nie chcę teraz wracać do domu, bo obawiam się że powołanie może mi wyznaczać termin stawienia się do pułku natychmiast po doręczeniu. Sporo takich powołań widziałem. Jadę o 8-ej do Skolimowa, gdzie spędza lato cała moja rodzina. Moje zarobki nie były wyłączną, ale znaczną częścią podstaw utrzymania. Teraz, jako podoficer, nie będę miał dochodu – trzeba ich jakoś zabezpieczyć choć na pewien czas. Dobrze, że mam pewne

należności, które mimo wszystko da się jeszcze odebrać. Przy pewnych oszczędnościach wystarczy im to na kilka miesięcy. W Skolimowie piszę sporo listów, upoważnień do odbioru pieniędzy, omawiam wszystkie możliwości. Decyduję, że powinni pozostać w Skolimowie jak się uda najdłużej.

Rano wracam do Warszawy. Karta powołania wyznacza mi termin 12-godzinny. Mam więc trochę czasu. Jadę do biura, bo wolę zawiadomić ich osobiście. Wypłacają mi tam pensję z góry. Zostawiam sobie 50 zł; resztę pozostawię rodzinie. Jeszcze klucze od szaf bibliotecznych, krótkie zarządzenia pisemne – wychodzę z małą walizką i jadę na Okęcie. Tyle razy wychodziłem z domu z tą samą walizką. Towarzyszyła mi we wszystkich podróżach za granicę.

Okęcie. Melduję się w kancelarii. Czekam. Zaczyna się już zwykłe zjawisko wszystkich urzędów: czekanie. Siedzę trzy godziny na dziedzińcu koszar, wreszcie zjawia się podoficer służbowy. Przydzielony jestem do 12-ej stacji meteorologicznej i razem z ośmioma innymi rezerwistami będę przesłany do koszar zapasowych, bo na Okęciu nie ma już miejsca dla zmobilizowanych. Jakiś samochód ciężarowy jedzie, zabieramy się z naszymi walizkami. Koszary zapasowe – to po prostu budynek szkoły powszechnej na Różanej. O dwie minuty drogi od naszego domu. Komendantem tych „koszar”, gdzie zgromadzono ze stu rezerwistów, jest pewnie zastępczo, jakiś nie znany mi sierżant zawodowy. Nie umie sobie dać rady z niczym i o niczym nie wie. Dotychczasowy „normalny” system wojskowy, polegający na sztywnej biurokracji, pękł od razu – zawodowi podoficerowie potracili zupełnie głowy. Jako najstarszy rangą w grupie przeznaczonej do stacji meteorologicznej Nr 12 samowolnie obejmuję komendę, zarządzam zbiórkę. Razem z nami dziewięcioma jest w koszarach jeszcze pięciu rezerwistów do naszej stacji. Ustawiam ich na korytarzu i idę do komendanta koszar. Żądam przydzielenia sali, koców, zaprowiantowania. Koców nie ma. Salę dostaję, spać musimy na ławkach. Jest to zwykła sala szkolna. Otrzymuję chleb dla całej grupy, kawa będzie wieczorem, jak przywiezą kotły z Okęcia. O umundurowaniu sierżant nic nie wie. Oczywiście z koszar wydalać się nie wolno, ale komendant nie ogłasza tego, tylko przed budyn-

kiem ustawia liczne warty. Dureń. Jakże ta warta ma odróżnić rezerwistę od zwykłego przechodnia, gdy wszyscy są jeszcze po cywilnemu? Do wieczora połowa ludzi rozchodzi się spać do domów. Bez koców, sienników, czy nawet słomy nocleg nie jest przyjemną perspektywą. Ostatecznie jeszcze nie ma wojny. Jest tylko bałagan.

Słyszę, że komendant zaczyna się „czepiać” rezerwistów z poszczególnych sal, że ludzie „zdezerterowali”. Jestem mocno podminowany, nie chcę żeby wybuchła awantura ze mną. W mojej sali zostało zaledwie trzech ludzi. Są z Łodzi, więc nie mają dokąd iść. Udaje mi się zdobyć jeden snopek słomy. Musi to im tymczasem wystarczyć. Sam idę do domu. Właściwie jest jeszcze bardzo wczesna godzina, ale nie chcę się już z nikim dziś widzieć. Kropka. Jestem w wojsku, moje cywilne życie uległo zawieszeniu. Idę sobie po prostu na spacer, na co od dawna nie miałem okazji. Na placu Trzech Krzyży wstępuję do kina. Życie Warszawy płynie normalnie. Wracam do domu wcześniej, jak na moje obyczaje. Nie dostaję się do domu łatwo, bo na Puławskiej jest wielki pożar składu desek. Akcja ratownicza trwa parę godzin. Tłum przechodniów zatrzymany po obu stronach stoi w milczeniu. Jest jakiś niesamowity nastrój przygnębienia. Krwawe płomienie wysuszonych upałamii desek wzbijają się do wysokości trzeciego piętra. Strażacy rozpaczliwie bronią sąsiadujących ze składem domów, a przede wszystkim stacji benzynowej, która jest przed samym prawie składem, ale na szczęście sterty desek były nieco od drogi oddalone. Gdyby tank z benzyną miał wybuchnąć, to na pewno zrujnuje dom Wedla, ukończony niedawno, wspaniały, luksusowy budynek, znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy. W tłumie kolportowane są wiadomości, że skład został podpalony. Bocznymi ulicami przedostają się do domu na Szustra. Muszę wstać bardzo wcześniej.

Rano wracam na Różaną. Do zbiórki na 6-tą nikogo z naszego oddziału nie brakuje. Okazuje się że w całych koszarach nocowało 20 ludzi. Sierżant szalał ze strachu, że pójdzie pod sąd polowy, ale już się uspokoił. Na zbiórce nie brak nikogo. Co dalej? Sprawdzanie obecności, czytanie rozkazu dziennego, modlitwa. Podoficerowie zawodowi prze-

dłużają te obrzędy jak mogą, bo nie bardzo wiadomo co dalej robić. Z pomocą przychodzi im radiodziennik. W szkole jest radio, wszyscy słuchają nowin w dwuszeregu („wolno palić”).

Normalny rozkład zajęć koszarowych przewiduje gimnastykę, potem „musztra formalna”, czyszczenie broni – ale czy „normalny” rozkład zajęć obowiązuje jeszcze? Komendant nie otrzymał żadnych zarządzeń. Broni także. Próbuje wyprowadzić oddział na gimnastykę – rezerwiści, w dużej mierze stare chłopcy, odmawiają. Komendant traci zupełnie głowę – nie wie czy traktować to jako „bunt wojskowy”. Obawia się, że wobec nieumundurowanych nie może stosować zwykłych metod. Jest zresztą także onieśmieszony, bo większość rezerwistów to stare wygi, byli już na wojnie 20 r. Sytuacja zaczyna się stawać groteskowa. Szeregi zaczynają się łamać. Podoficerowie zawodowi, których jest tu pięciu, skupili się koło komendanta, naradzają się co robić, udają że nie widzą rozzuchwalających się coraz bardziej rezerwistów. Jakiś starszy rezerwista decyduje się na nie przewidziany w żadnym regulaminie krok. Odchodzi szybko parę kroków, staje przed frontem. Oznajmia donośnym głosem: jestem starszy sierżant rezerwy X – na moją komendę baczność! równaj w prawo! Dwuszeręg uporządkował się natychmiast. Komendant zawodowy nie wie czy i jak reagować na tę uzurpację, ale nie wtrąca się. „Podoficerowie wystąp!”, reszta uporządkuje salę, za pół godziny zbiórka, rrozejść się!

Jest nas, podoficerów rezerwy, jedenastu, zostajemy z zawodowymi. Sprawa „uzurpacji” władzy pozostaje dyskretnie w niepamięci. Wspólnie układamy program zajęć. Wybijamy komendantowi z głowy gimnastykę i musztrę formalną – nie czas na to teraz. Regulamin dopuszcza przecież zmianę na „gry i zabawy sportowe”. Sierżant rezerwy będzie zastępcą komendanta, reszta podoficerów rezerwy obejmie komendę sal. Polecamy komendantowi jechać na Okęcie, wyjaśnić sprawę przydziałów, umundurowania i uzbrojenia, dopilnować zaprowiantowania, przywieźć koce dla tych którzy muszą nocować w koszarach. Radzimy zdjąć posterunki z ulicy, posadzić jednego „służbowego” przy wejściu. Idę do kierownika szkoły i proszę o wypożyczenie sprzętu

sportowego, trzeba setkę ludzi czymś zająć. Okazuje się, że jest siatkówka, piłka nożna, łuki itd. Zaprowadzamy jaki taki porządek. Ustalamy z komendantem, że z koszar bez pozwolenia wychodzić nie wolno, ale każdy kto mieszka w promieniu 15 minut tramwajem i ma w domu lub u sąsiadów telefon – może dostać przepustkę. Telefonuję do pobliskiego kina na Puławskiej – dla wszystkich, którzy nie mogą iść do domu uzyskuję bezpłatne bilety do kina codziennie. Na parę dni porządek jest zapewniony. Upływa dzień następny i jeszcze jeden. Żadnych zmian, poza tym że od czasu do czasu ubywa paru rezerwistów, których zabierają na Okęcie podoficerowie z uformowanych już oddziałów, przybywa trochę nowo zmobilizowanych, teraz głównie z prowincji. Od przybyłego z jakimś zarządzeniem znajomego podoficera zawodowego dowiaduję się przypadkowo, że 12 stacja jest już na Okęciu i czeka na uzupełnienie stanu. – „Ależ tu jest czternastu ludzi!” – „Tam drugie tyle” – „Kto jest dowódcą?” – „Por. Dobrzański”. Niestety nie znam tego nazwiska, ale mój znajomy charakteryzuje go jako młodego, rozsądnego i wyjątkowo „porządnego” oficera. – „Zresztą to jest pilot” – dodaje. Oficerowie-piloci mają od dawna specjalną opinię wśród podoficerów i żołnierzy, jako taktowni i ludzcy. Czy mam odważyć się na jeszcze jedno „nieregulaminowe” posunięcie? Chwila wahania. Mój znajomy wraca za chwilę na Okęcie. – „Macie miejsce w samochodzie dla czternastu ludzi?” – Samochód jedzie pusty. Decyduję jechać. Zawiadamiam komendanta koszar, zabieram naszych ludzi z rzeczami i jedziemy.

W koszarach szukam por. Dobrzańskiego. Nie ma go i nie wiadomo kiedy będzie. Od dwóch dni jeździ od sztabu do składnic, od składnic do kancelarii departamentu i nie może „wyfasować” sprzętu. Na szczęście mam tu sporo znajomych wśród podoficerów zawodowych – meteorologów – znajomości odnawiane podczas „ćwiczeń rezerwy”, na które przychodziłem do pułku nieźle zaopatrzony w gotówkę. W pół godziny mam już wszystkie informacje. Prowadzę „swój” oddział do głównego budynku koszarowego, gdzie umieszczona jest 12 stacja meteo. Melduję przybyłych komendantowi budynku. Nikt się nie interesuje z czyjego rozkazu,

skąd, jak, dlaczego. Otrzymuję dla całej grupy zaprowiantowanie, łóżka, koce. Idziemy do drugiej części naszej stacji. Jest tam dwóch innych kaprali, jeden zawodowy. Patrzę na mnie niechętnie, gdyż jako starszy wiekiem mogę im zabrać władzę. Gdy się dowiadują że nie mam na to zamiaru, stosunki układają się po przyjacielsku. Okazuje się, że porucznik wiedział, że czternastu ludzi gdzieś jest, tylko nie mógł się dowiedzieć gdzie. Cała stacja jest jeszcze nieumundurowana. Zaczyna mnie to wszystko przerażać. Z prawdziwym przygnębieniem patrzę na ten bałagan. Jeżeli tak jest, gdy jeszcze nie ma pełnej mobilizacji, jeżeli tak jest w 1-szym pułku lotniczym, który był zawsze wzorowy, to jak jest gdzie indziej? Podoficerowie zawodowi chodzą z wywieszonymi językami, wielu z nich od tygodnia nie spało więcej niż dwie godziny na dobę, a mimo to nie mogą podołać. Fura papierowej roboty biurokratycznej nie daje się zepchnąć. Wypisuje się nieskończoną liczbę list, zestawień, formularzy, aby już za parę godzin stało się to wszystko „nieaktualne” i trzeba było zaczynać na nowo.

Nocuję w koszarach. Mamy oddzielną kwaterę – salę podoficerską. Stan 12 stacji meteo jest już pełny: 28 ludzi. Rano przyjeżdża por. Dobrzański. Jest bardzo zadowolony, że ludzie „sami się znaleźli”. Oznajmia nam, że wyjedziemy w pole natychmiast po skompletowaniu sprzętu, może za dwa, trzy dni. Dziś spodziewa się przyjazdu sierżanta-szefa. Sam spisuje ewidencje ludzi, szczegółowo wypytuje. Trzeba oddział podzielić na „sztab”, patrole, których musi być trzy, warty, szoferów. Jesteśmy zajęci z d-cą tą pracą, gdy do podoficerki wchodzi sierżant-szef. Jafra, stary znajomy. Byłem już kapralem w 26 roku, gdy przyszedł do G.W.S.M. jako „nadterminowy” st. szeregowiec. Przydzielony był do mnie na naukę służby synoptycznej i w rezultacie zaprzyjaźniliśmy się bardzo serdecznie. Był komendantem posterunku lotniskowego w Białej Podlaskiej. Stoi chwilę niezdecydowany, ale przyjaźń zwycięża „służbowość” – obejmuje mnie i całujemy się kordialnie.

Porucznik wyznacza mnie zastępcą szefa. Bardzo mi się to nie uśmiecha, próbuję się wykręcić, ale bez skutku. Jestem nie tylko najstarszym wiekiem kapralem, ale jedynym samo-

dzielny meteorologiem-synoptykiem. Muszę więc być w grupie sztabowej. Zresztą komenda G.W.S.M. przesłała już do pułku wnioski o mianowanie mnie plutonowym. Ma to być załatwione za parę dni, jak tylko bałagan mobilizacyjny zostanie trochę opanowany.

Porucznik zastanawia się jak zająć ludzi, zanim nie załatwi sprawy sprzętu. Podsuwam projekt aby trochę ich przeszkolić w obserwacjach. Sprzęt się tymczasem wypożyczy z G.W.S.M., instruktorów też. Sierżant może spróbować sam wydostać dla nas umundurowanie i uzbrojenie. Ja mam iść do K.W.S.M. zaznajomić się z nowymi metodami i przepisami badań aerologicznych.

[Główna Wojskowa Stacja Meteorologiczna to była naczelna władza meteorologów, mieszcząca się również na Okęciu, na szczycie sławnej „wieży”, ale niezależna od 1-go pułku lotniczego, którego koszarzy znajdowały się na Okęciu. Dawniej, podczas mojej służby wojskowej, była na Polu Mokotowskim. W służbie i jako rezerwista przynależałem do G.W.S.M., ale po zmobilizowaniu zostałem przydzielony do 1-go pułku lot. G.W.S.M. tymczasem też zmieniła swą nazwę oficjalną na Komenda Wojskowych Stacji Meteorologicznych.]

Nareszcie zaczyna się jakaś praca. W K.W.S.M. jestem powitany jak stary znajomy. Większość pracowników służyła razem ze mną w 25 r. Zastępca komendanta, kpt. Hiksa, był wtedy porucznikiem i dopiero uczył się meteorologii. Ma zawsze do mnie duży sentyment. Nie mówi do mnie inaczej niż „panie redaktorze” (oczywiście poza chwilami oficjalnymi). Opowiada i pokazuje mi schematy organizacji polowej służby meteo. Jest to schemat opracowany bardzo szczegółowo i precyzyjnie, ale moim zdaniem bezwartościowy. Jest wszystko w nim tak powiązane ściśle, że wystarczy aby jakiś jeden punkt nie dopisał, a wszystko się wali. Np. mapy prognozy i pogody mają być z K.W.S.M. podawane trzy razy na dobę szyfrem przez radio do wszystkich stacji polowych. Wypowiadałem swe obawy bez wahania. Kpt. H. przyznaje mi rację – „Ale cóż można zrobić? Departament tak ustalił nie uwzględniając naszych zastrzeżeń. Staramy się tylko aby w każdej stacji było 2-3

meteorologów tak wyszkolonych, aby mogli sobie sami dawać radę. Ostatecznie prognozy nie będą bardzo ważne, nie będzie się przygotowywać pilotów do dalekich lotów; a do arkuszy wiatrów balistycznych nie trzeba naszych map synoptycznych”.

Do pokoju wchodzi por. Terebelski, również stary znajomy. Były podoficer, który przygotował się do matury, zdał ją i skończył szkołę oficerską. Przyjaźniliśmy się dawniej, potem długie lata nic o nim nie słyszałem. I on nie zapomniał przyjaźni. Rozmowa schodzi na ogólne tory. Obaj chcą wykorzystać moją „dziennikarskość” i dowiedzieć się jak ta cała sytuacja wygląda od podszewki. W wojsku jest „entuzjazm” ale sporo oficerów lotnictwa objawia go tylko oficjalnie. W istocie nie są tak pewni zwycięstw. Wyjaśniam to, co wiem na pewno. O zwycięstwie nie ma mowy. Jeżeli nie pozwolimy się rozgromić zanim wystąpią nasi sojusznicy, to będzie wszystko, czego możemy sobie życzyć. Terebelski jest wyraźnie zaskoczony – „ależ, kiedyśmy się ostatni raz widzieli, pamiętam jak mówiłeś o możliwości wojny polsko-niemieckiej. Dowodziłeś, że nawet sami mamy pewne szanse”. „Zapominasz o dwóch rzeczach, po pierwsze mówiłem wtedy o wojnie natychmiastowej, a po drugie było to sześć lat temu”. – „No, przecież od tego czasu nasza armia wzmocniła się nie byle jak, stworzyliśmy spory przemysł wojenny...” – „Tak, tylko Niemcy, których potęga gospodarcza nigdy nie była naprawdę złamana, prześcignęli nas militarnie o wiele długości. A i wtedy Dziadek, który dobrze znał sytuację, nie decydował się wystąpić bez gospodarczej pomocy Zachodu”. „Więc pan ocenia sytuację aż tak czarno?” – wtrącił kpt. H. – „Nie, bo po pierwsze, czynniki oficjalne, które na pewno mają lepsze i pełniejsze informacje niż ktokolwiek z nas, zapewniają że wojny nie będzie, a jeżeli nawet będzie, to w każdym razie mamy teraz poważnych sojuszników w Wielkiej Brytanii”. – „Ależ oni robią wszystko aby do wojny nie dopuścić. Przecież mobilizacja nie została ogłoszona na ich żądanie”. – „Właśnie, wszystkie wysiłki są w tym kierunku aby rozładować napięcie. A ładnie by pułk wyglądał przy mobilizacji powszechnej, gdy przy imiennych wezwaniach zrobił się taki bałagan”. „To

prawda” – potwierdza Hiksa. „Każdy miesiąc zwłoki w wybuchu wojny to jest dla nas jak wygrana bitwa. Miałbym zupełnie inne poglądy na naszą sytuację gdybym wiedział, że wojnę uda się odwlec na pół roku. Nasi sojusznicy dopiero teraz naprawdę zaczęli przygotowywać się do wojny”.

„Jeżeli wojna wybuchnie – mówił Hiksa zwracając się do wielkiej mapy Europy, wiszącej na ścianie – to Niemcy uderzą oczywiście na nas, ale na Zachodzie będą musieli trzymać poważną armię przeciwko Francji. Tymczasem Francuzi powinni po napoleońsku stuknąć Włochy i zająć całą Lombardię. Wtedy, drogą przez Austrię i Węgry ustalimy bezpośredni kontakt z naszymi sojusznikami”. – „To jest czysta fantazja, panie kapitanie. Po pierwsze Włochy nie wypowiedzą wojny, a po drugie, Francuzi nikogo tak zaraz nie «stukną». Potem wyjaśniłem swój pogląd, że Włochy w swym własnym interesie pozostaną neutralne tak długo, póki im się nie wyda, że losy wojny są już przesądzone. Wtedy dobiją pokonanego. Nie mogą zrobić nic innego. Nawet dla Niemców neutralność Włoch będzie bardzo wygodna. Co zaś do Francuzów, to trzeba powiedzieć, że największym nie-szczęściem Polski, a może i Europy, jest linia Maginota – „linia imażynota”. Dyskusję przerwała pora kolacji. Jest jeszcze zupełnie widno. Dostałem, oczywiście, z K.W.S.M. stałą przepustkę – będę nocować w domu, póki nie wyjedziemy w pole.

Wróciłem do domu dość wcześnie. Siedzę sam i notuję te kartki. Nie będę mógł pisać dziennika, ale co parę dni na pewno znajdzie się okazja, aby notować spostrzeżenia, wydarzenia, wnioski. Może warto.

4 września

Wojna zaczęła się w piątek rano. Ostatniego sierpnia telefonowałem w południe z K.W.S.M. do Sejmu i schwytałem Rotbarta. Nie było żadnych nowych oznak zbliżającej się wojny. Przeciwnie, zdawało się, że ostre napięcie stosunków międzynarodowych ulega pewnemu osłabieniu. Krążyły pogłoski o jakimś ultimatywnym wystą-

pieniu dyplomatycznym Hitlera, ale na Wierzbowej stanowczo temu zaprzeczono. „Być może, że to jakiś kawał propagandowy Hitlera” – oznajmił mi R.

Po obiedzie jednak zawiadomiono nas, że wszystkie przepustki są wstrzymane, nie było jednak czasu nad tym rozmyślać, gdyż nareszcie por. Dobrzański dostał sprzęt i trzeba go było przywieźć, a jednocześnie w pułku zdecydowano się wydać umundurowanie i uzbrojenie. Dnie już od dłuższego czasu są wyjątkowo upalne, toteż mieliśmy wszyscy ciężką robotę z przywiezieniem sprzętu. Tym bardziej że już jeden punkt nowego wojennego planu meteorologicznego zawiodł. Zamiast przewidzianych dwóch samochodów dostaliśmy tylko jeden. Nie tylko ludzi, ale nawet sprzętu nie da się zmieścić w jednym ciężarowym Fiacie. Poza innymi rzeczami, z których połowa jest zupełnie niepotrzebna, mamy przecież dwanaście butli stalowych ze sprężonym wodorem do balonów-sond, a każda waży 75 kilo.

Po południu przywożą wreszcie do pułku umundurowanie. Magazynierzy tracą głowę, bo wszystko jest na ciężarówkach w postaci idealnej mieszanki. A wszystko trzeba obliczyć i zapisać. Za brak jednego rzemyka podoficer mundurowy teoretycznie może iść pod sąd. Toteż jest już koło północy gdy nareszcie stacja meteo jest umundurowana. Wszystko jest, rzeczywiście, w bardzo dobrym gatunku.

Na drugi dzień rano już wiemy, że wojna się rozpoczęła. W wojsku przyjęto wiadomość niemal entuzjastycznie. Trudno mi zrozumieć motywy tej radości. Jednocześnie w pułku bałagan powiększa się znakomicie wobec ogólnej mobilizacji. Ale teraz idzie to dużo łatwiej. Formalistyka biurokratyczna nagle niemal znika. Nikt już teraz nie liczy się z jakimiś niedokładnościami, czy obawą odpowiedzialności za brak jakiegoś papierka – wojna wszystko „pokryje”. Toteż pierwsza noc po wybuchu wojny była jednocześnie pierwszą od wielu dni, kiedy wszyscy prawie podoficerowie zawodowi pułku spokojnie spali. Telefonicznie nikogo ze znajomych w Sejmie nie mogę już znaleźć. Dziennik radiowy i gazety pełne patetyczno-patriotycznych „przystawek” nie przynoszą żadnych konkretnych wiadomości. Ale nawet i ja odczuwam pewne odprężenie psychiczne. Atmosfera niepewności stawała

się już dławiąca. Ostatecznie, zdaję sobie sprawę z naszej złej sytuacji, ale ufam w wartość naszego żołnierza.

Zaczyna się orgia plotek, które docierają nawet do koszar. Nie sposób zorientować się co jest prawdą nawet w takich wiadomościach, jak o bombardowaniu okolic Warszawy. Nie wiadomo na pewno gdzie, co i jak. Pod wieczór mamy pierwszą „wizytę”, co prawda nie u nas, ale w sąsiedztwie. Eskadra bombowców operuje P.Z.L. o kilometr od lotniska. Po raz pierwszy słyszę przeciągły gwizd spadających bomb. Nalot nie robi jednak silniejszego wrażenia. Jest to znacznie słabsze niż silny ogień artyleryjski, jaki pamiętam z 20 r. pod Miropolem. Co prawda wtedy strzelano do nas, a teraz bomby lecą o kilometr od nas. Wyraźnie widzimy ognie wybuchów, a potem, bardzo szybko, pożarów. Bomb było kilkadziesiąt.

Całe lotnisko z zapartym tchem obserwuje akcję artylerii przeciwlotniczej. W zmierzchającym już, ale wyjątkowo czystym niebie przedwieczornym doskonale widać każdy obłoczek pękającego pocisku i czerwone rakiety naboju zapalających. Bardzo szybko orientujemy się, że strzela nie więcej niż dziesięć dział i to małego kalibru. Właściwie strzelają bezcelowo. Te pociski niosą przecież na 2 km a każdy z nas widzi na oko, że Niemcy są nie mniej niż 3 km wysoko. Dlaczego nie strzela ciężka a.p.l.? Dlaczego nie ma myśliwców? Te pytania zaczynają niepokoić coraz bardziej. Nie dawniej jak dwa tygodnie temu pokazywano nam (t.j. dziennikarzom) piękną baterię przeciwlotniczą pod samą Warszawą i informowano „w wielkiej tajemnicy”, że takich „gniazdek”, dobrze zamaskowanych jest „ho, ho”. A była to wycieczka dla grupy sprawozdawców sejmowych.

Noc przechodzi zupełnie spokojnie, jeżeli nie liczyć dziwnego incydentu z zarządzeniem alarmu. Alarm na lotnisku dziś, przy mobilizacji – to jest obudzenie, ubranie się i wyskoczenie do rowów przeciwołamkowych z górą półtora tysiąca ludzi. Po dziesięciu minutach okazuje się, że alarm był fałszywy i mimo natychmiastowego śledztwa nie można dociec jaką drogą zarządzony.

Rano fasujemy broń. Z tym jest dużo gorzej. Dostajemy tylko 12 karabinów, skrzynię 250 ładunków, 28 bagnetów i

dwa wisy. Według regulaminu każdy podoficer powinien mieć rewolwer, tymczasem magazyn jest pusty. W rezultacie rewolwery dostaje komendant i szef – reszta podoficerów jest bezbronna, bo krótki bagnet bez karabinu, to broń raczej niedostateczna. W praktyce będzie nam na pewno wygodniej poruszać się i pracować bez ciężkiego rewolweru na pasie, ale jakoś dziwnie czuje się człowiek w mundurze a bezbranny, wiedząc że będzie gdzieś w przyfrontowej strefie, gdzie zbrojne patrole obu stron będą się często zapuszczać głęboko poza linię frontu. Nie mówiąc już o dywersantach wszelkiego rodzaju. O tym zresztą zaczyna się mówić niepokojąco dużo. Podoficerowie już wiedzą, że w dowództwie naszego pułku dziś aresztowano dwóch. Po dość skomplikowanych zabiegach udało się szefowi upakować do naszego „Fiata” wszystkie graty, a nawet po małej walizce każdego podoficera. Ale nie ma miejsca ani na wodór ani na ludzi. Porucznik „kombinuje” na wszystkie strony, aby wydobyć drugi samochód, ale nadzieje są małe. Jest wprawdzie w pułku park około stu starszych wozów, ale komendant parku ani słyszeć nie chce o pozbyciu się jakiegokolwiek grata. Musi mieć zapas na wypadek ewentualnej ewakuacji. Dowódca nasz je obiad razem z nami w kasynie podoficerskim. Po obiedzie jedzie osobowym samochodem do miasta i mnie zabiera ze sobą. Zajeżdżamy na Różaną. Po drodze porucznik mówi mi, że jutrzejszy dzień będziemy mieć bardzo zajęty – trzeba zrobić całą robotę kancelaryjną, gdyż w poniedziałek wyjeżdżamy. Zabrał mnie ze sobą abym mógł wyjść jeszcze do miasta i pożegnać rodzinę, mimo wstrzymania przepustek. On sam jedzie do Rembertowa, pożegnać żonę. Mam o dziewiątej wieczorem czekać na niego na Różanej (koszary zapasowe). Jestem prawdziwie wzruszony tym jego objawem uprzejmości. Niewątpliwie zrobiłby to dla każdego innego podoficera, ale tylko ja jeden jestem z Warszawy. Jadę tramwajem na Filtrową do rodziców. Zostaję tam na obiedzie, choć oczywiście jeść nie mogę, bo jadłem już w pułku. Matka wciska mi poświęcony medalik. Tadek, jako urzędnik państwowy, nie podlega powszechnej mobilizacji, ale wezwania imiennego spodziewa się lada chwila. Szczerze mu współczuję – podporucznik piechoty rezerwista to jest

chyba najtrudniejsza pozycja jaką można mieć w każdej, a szczególnie tej wojnie. A przy tym jest to człowiek o typowej mentalności urzędnika. Inteligentnego wprowadzie, co jego szybkie awansowanie do stanowiska naczelnika urzędu skarbowego najoczywiściej potwierdza, ale o z gruntu biurokratycznym podejściu do każdego zagadnienia.

Po obiedzie idę jeszcze do Czarneckich. Jest to zwykły, tygodniowy dzień „przyjęć” Marychny. Chcę się pożegnać z tymi ludźmi, tak mi bliskimi i serdecznymi. Stefana nie ma. Dowiaduję się, że poszedł do wojska jako ochotnik, a swój najwspanialszy samochód osobowy podarował do sztabu Marszałka. Sam zresztą, choć prosty szeregowiec, został przydzielony od razu do sztabu naczelnego wodza. Nie mogło być inaczej – jest on bądź co bądź jednym z najlepszych w kraju fachowców od przemysłu zbrojeniowego i przedstawicielem poważnych grup francuskiego przemysłu wojennego. Stefan spodziewał się, że będę w sobotę na Litewskiej. Telefonuje do domu i dość długo rozmawiamy przez telefon. Jest w znakomitym nastroju i tak bucha optymizmem, że mi to coś wygląda na aktorstwo. Zawiadamiam go, jako wydawcę, co i jak zarządziłem z *Przekrojem* – odpowiada mi żebym się nie martwił zawieszeniem pisma. Po wojnie będzie ono dużo potrzebniejsze i ważniejsze. „Życzę panu powodzenia – dodaje – jestem pewny, że za trzy miesiące będzie pan znów siedział przy swym redaktorskim biurku”. To mi nie tylko dało dużo do myślenia, ale kompletnie „oblało zimną wodą”. Trzy miesiące? Nikt mnie nie przekona, że oni tam mogą naprawdę tak myśleć. To może być tylko hasło propagandowe. Będzie dobrze jeżeli za trzy miesiące naprawdę się zacznie, bo nasi sojusznicy nie będą chyba gotowi wcześniej niż za pół roku. Tylko czy takie propagandowe ujmowanie sprawy ma sens? Wszystkim się tu wydaje, że propaganda to jest tak jak głupia reklama handlowa: ma zasłaniać prawdę, a rzeczy nieważne czy bezwartościowe podeprzeć sugestią, że są wspaniałe. I wszystko staje się propagandowe – dziennikarstwo, sztuka, nauka, nawet handel. Nie myśli się o tym aby rzecz była słuszna i pożyteczna, a jedynie aby sprawiła wrażenie przyjemne i pożyteczne, a jeszcze lepiej – „imponujące”.

Życie całe staje się spletem kłamstw, coraz bardziej zawiłych, coraz bardziej skomplikowanych. To jest zły „byznes” i to musi zbankrutować.

Wydaje mi się czasem, że w tym jest nie tylko ciasnota umysłowa tych co „siedzą przy władzy” na jakimkolwiek poziomie, a którym się wydaje że „naga prawda” mogłaby obiekty rządzenia „zdemoralizować” i utrudnić pozycję rządzącego. Jest tu bodaj i coś jeszcze z pierwotnej wiary w magiczną siłę słowa. Papuas nie powie słowa „choroba”, gdy się źle czuje, bo wypowiedzenie tego słowa może ośmielić chorobę i pogorszyć stan. A za to używa słów „pustych” ale o „dobrym” działaniu magicznym.

Od C. wróciłem na Różaną i wkrótce przyjechał porucznik. Razem wróciliśmy do koszar. Uzyskanie drugiego samochodu nie udało się – będzie trochę kłopotu, bo sprzęt przepisowy a bezużyteczny będzie można wyrzucić dopiero w „polu”.

Po powrocie objąłem służbę wartowniczą. Nasz samochód jest już naładowany sprzętem, więc pomimo że znajduje się na terenie koszar, trzeba przy nim ustawiać wartę. Wobec tego śpię dorywczo i w ubraniu, bo co dwie godziny budzi mnie służbowy, a ja prowadzę „zmianę warty”. Rano, po postawieniu posterunku o 7-ej wypijam kubek gorącej kawy, myję się i golę. Zaledwie zdążyłem wrócić do sali i zapakować plecak, na lotnisku rozległy się detonacje i z okna, wychodzącego na lotnisko (nasz pokój jest na drugim piętrze), poprzez lukę między dwoma hangarami zobaczyłem trzy wysokie fontanny ziemi. Bomby wybuchły o paręset metrów od koszar. Równocześnie zawyła syrena alarmowa i niezwłocznie nowe trójki wybuchów. Zdążyłem zbiec po schodach na parter, gdy kolejne trzy bomby wybuchły przy samym budynku koszarowym. Wrażenie jak przy trzęsieniu ziemi, które pamiętam z Bułgarii. Budynek zakotłosał się cały jakby był statkiem. Wraz z kilkoma podoficerami, którzy byli ze mną (żołnierze wyszli już wcześniej z koszar, szykując się do zbiórki niedzielnej do kościoła) zbiegliśmy do suteryn, gdzie mieściły się kuchnie pułkowe. Na korytarz suteryny wyszły też przerażone kobiety, zatrudnione w kuchni obieraniem kartofli. Nad nami przelatowała właśnie eskadra lekkich bom-

bowców. Bomby wybuchały gęsto, w większej lub mniejszej odległości od budynku. Bardzo głupie uczucie. Wszystko to, od chwili zobaczenia pierwszych wybuchów na lotnisku, trwa nie więcej niż pięć minut. W tym czasie można przeżyć zdziwienie, lęk i odczuć komizm sytuacji, gdy jedna z kobiet, z chustką opadłą na kark i rozwianym włosom, z na wpół obranym kartoflem w jednej, a nożem w drugiej ręce, pada na kolana i głośno woła trzy pierwsze słowa modlitwy, nie mogąc przypomnieć sobie dalszych. Kończy się to wybuchem bomby, która lecąc ukośnie wpadła pod fundament kotła w kuchni, wysadziła go oczywiście i rozbiła w kawały, wyrwała część ściany budynku, wszystkie drzwi, a nas, znajdujących się na korytarzu o jakieś 20 metrów od tego miejsca ale oddzielonych trzema solidnymi ścianami, podmuch powalił na ziemię. Eskadra przeleciała, wszyscy, mniej lub więcej potłuczeni, wybiegliśmy z budynku do rowów przeciwdławkowych, wykopanych w odległości 50-70 m od koszar, po przeciwnej stronie od hangarów. Po drodze zdejmuję wartość z posterunku przy samochodzie. Czynię to machinalnie, nie pamiętając co mówi o tym regulamin. Stojąc w rowie, pompatycznie nazwanym „schronem”, widzimy nadlatującą drugą eskadrę, potem trzecią itd. W schronie tłok: cywilni pracownicy, których na lotnisku jest sporo, rezerwiści jeszcze nieumundurowani, żołnierze i oficerowie. W sumie jest na lotnisku około półtora tysiąca ludzi, z czego 90% siedzi teraz w rowach. Wybuchy bomb są tak gęste, że prawie nie słyszymy gwizdu. Dopiero teraz czuję strach. Bomby z powietrza zdają się wywoływać dziwnie ostre, niemal metafizyczne poczucie lęku. Może to nowość wrażenia. Potęguje lęk poczucie bezbronności. Z dala, gdzieś spod zakładów Skody strzela kilka małokalibrowych dział przeciwlotniczych. Niemcy lecą coraz niżej. Ostatnie eskadry na wysokości jakichś 500-600 metrów. Zaraz za parkanem lotniska, w równej prawie odległości od nas co budynki koszarowe, wznoszą się trzypiętrowe bloki mieszkalne rodzin oficerów i podoficerów zawodowych pułku. Na dachu najbliższego bloku ustawione są dwa zwykłe (pojedyncze) karabiny maszynowe. To jest faktycznie jedyna „czynna” obrona koszar. Któraś z eskadr (lecz dziewczynkami) zrzuca

dwie bomby na bloki mieszkalne i dowództwo rozkazuje przerwać ogień z karabinów maszynowych, aby nie narażać domów na bombardowanie. Działa spod Skody też powoli milkną. Ostatnie eskadry bombardują nas jak na manewrach. Oficerowie zawodowi pułku (jesteśmy w rowie tuż przy dowództwie pułku) nie umieją ukryć swego przerażenia i zaskoczenia brakiem obrony, to znaczy artylerii, bo o braku maszyn myśliwskich wiemy sami. W hangarach jest tylko trochę maszyn łącznikowych, treningowych i parę „karasi”. Są to wprawdzie maszyny, które mogłyby służyć od biedy jako myśliwce, ale są one trudne do prowadzenia, a na lotnisku nie ma pilotów umiejących na nich latać. Dopiero wczoraj rozpoczął się wstępny trening grupy pilotów rezerwy na „karasiach”. Żaden z nich jeszcze nie był w powietrzu. Lotnisko jest właściwie całkowicie bezbronne.

Całe bombardowanie trwa zaledwie pół godziny. Dostaliśmy w tym czasie ponad osiemset bomb. Żaden hangar nie został trafiony mniej niż trzema bombami. Solidne, o żelaznych łukach wspornikowych dachów, nie zawałyły się. Uszkodzenia zewnętrzne ścian są, na oko niewielkie, ale wewnątrz hangarów maszyny bardzo ucierpiały. Przynajmniej połowa jest stracona. W trzech hangarach zaczęły się pożary, ale opanowano je szybko. Płonie za to, jeszcze przez wiele godzin cały park zapasowych samochodów. Biegniemy tam z porucznikiem w nadziei, że uda się jeszcze „wyrwać” jakąś maszynę – wszystkie stoją na otwartej przestrzeni – ale niestety nie można o tym marzyć. Są one tak skupione razem, że płoną jak jedno wielkie ognisko. Lotnicy niemieccy najbardziej „znęcali” się nad tym parkiem starego szmelcu. Widocznie z góry przedstawiało się to jak nowy, „mobilizacyjny” skład materiału wojennego. Rozrywane bombami kawały metalu rozlatywały się na wszystkie strony i spadając do rowów przeciwołamkowych jeszcze w odległości 50 m! poraniły sporo ludzi. W ogóle rannych i zabitych jest niemal 200. Wszystkie wolne samochody wożą ich do miasta po prowizorycznym opatrunku. Do koszar wejść nie wolno. Każdy budynek jest uszkodzony, choć właściwie niezbyt poważnie. Najgorzej przedstawia się blok w którym mieszkamy. Zaczyna się

gorączkowa ewakuacja lotniska. Bałagan jest nie do opisania. Część żołnierzy ma wymaszerować do Służewca, gdzie są zapasowe koszary na niedawno ukończonym polu wyścigowym. Z ocalałych magazynów wyrzuca się rzeczy i rezerwistów munduruje się na gwałt dopiero teraz.

Dowództwo stara się czym prędzej opróżnić lotnisko. Ocalałe maszyny startują jedna za drugą, mimo porytego lotniska i odlatują na wschód. Mamy tylko dwie „kraksy”, choć ogółem wyleciało dwadzieścia kilka maszyn „prawdziwych” i coś z osiem „erwudziaków”.

Dla nas porucznik wy dostał „suche porcje”, będziemy bowiem mieć ciężki dzień. Dostaliśmy zapas benzyny – wielką żelazną beczkę. Trzeba samochód przepakować, bo nie mamy wątpliwości że to będzie nasz najważniejszy bagaż. Pułk pożycza nam na dwie godziny dwa wozy, aby nas się wreszcie pozbyć z lotniska. Ładujemy wodór, żywność na 10 dni, ludzi i około 2-ej pp. wyjeżdżamy na Różaną. Na sąsiednim placu budowlanym, obecnie pustym, ustawiamy nasz samochód i wyładowujemy na ziemię wodór i zapasy. Wszystko zostaje zamaskowane gałęziami. Dalszych nalotów tymczasem nie ma. Porucznik jeździ po mieście od kancelarii do kancelarii załatwiając formalności związane z naszym wyjazdem w pole. Będziemy jechać koleją. Oczywiście nie wiemy dokąd. Plan przewiduje, że komendanci wojskowi poszczególnych odcinków kolejowych mają nas sobie przekazywać, nie znając dalszej naszej drogi. Każdy ma mieć zapieczętowaną kopertę z rozkazem dotyczącym tylko jego odcinka. Dopiero ostatni ma wręczyć porucznikowi zalakowaną kopertę z rozkazem ostatniej trasy, którą mamy przebyć już o własnych siłach. Porucznik spodziewa się, że ten wspaniały plan musi zawieść przy bałaganie jaki się już zaczął, a który niewątpliwie Niemcy znakomicie powiększą bombardowaniem węzłowych stacji – toteż walczy jak może o uproszczenie zarządzeń. Wreszcie udaje mu się przekonać departament i dostajemy prosty rozkaz – jechać do Dębina. Tamtejszy sztab naszej grupy wyznaczy nam miejsce pracy (tj. lotnisko polowe). Porucznik z sierżanta i mnie robi swój „sztab” z kolejnością zastępstwa w dowodzeniu w razie potrzeby. Żołnierze siedzą w budynku, wychodzenie i

„kręcenie się” w mundurze jest najsurowiej wzbronione. Warta przy rzeczach pod kamuflażem. Zbliża się wieczór, zaciemnienie jest kompletne. Korzystam z wolnego czasu i wpadam do pustego mieszkania (klucze ma dozorca). Telefonuję do rodziców – jutro są imieniny matki, ale ja jutro wyjeżdżam i na pewno nie będę mógł telefonować. Wszyscy w Warszawie wiedzą o zbombardowaniu Okęcia, krążą o tym bardzo przesadzone wieści. Zaczął się już szal wyszukiwania szpiegów, którzy rzekomo przez radio kierują lotników niemieckich. Podobno na przedmieściach już są jacyś zlinczowani. Zaczyna się nastrój wyraźnie niebezpieczny. Rodzice ze swego mieszkania na Filtrowej mogli wyraźnie widzieć wybuchy bomb i pożary na Okęciu. Mój telefon uspokoił ich znacznie, byli przekonani, że z lotniska nikt nie wyjdzie żywy.

Korzystam ze swego biurka (czy nie po raz ostatni w życiu?) aby napisać pożegnalne pocztówki do przyjaciół. Antoniemu i Gieniowi przypominam obietnicę opieki nad moją rodziną. Szczególnie ten pierwszy, jako inwalida z wojny światowej, na pewno zostanie na miejscu. Listy zostawiam u dozorca, jutro rozniesie je Mikołaj. Nie ufam już poczcie – Warszawa nie uniknie bombardowania, a wtedy z pocztą może być gorzej.

O brzasku budzimy stację. Mamy załadować się do pociągu na stacji Warszawa-Praga, ale jeszcze nie wiemy co zrobić z częścią ładunku nie mieszczącego się w naszym wozie. Idziemy z porucznikiem do dowództwa 1 p.l., które już umieściło się o kilkanaście domów dalej na Różanej. Mijamy duży plac zastawiony zarekwizowanymi samochodami prywatnych przedsiębiorstw. Błysk olśnienia. Większość nie nadawałaby się dla nas – handlowe półtonówki z pięknie malowanymi karoseriami, ale jest też solidna przyczepa, odkryta, ale dość mocna aby dźwignąć nasz wodór. Nasi żołnierze odłączają i wyprowadzają ręcznie przyczepę. Nikt nie zwraca na to uwagi, mimo że oficerów i podoficerów z dowództwa kręci się sporo. Pewność siebie umundurowanych ludzi działa. Tak, to już jest wojna! Żołnierze odprowadzają przyczepę do naszego wozu, porucznik idzie do dowództwa zameldować odjazd i wypożyczyć transport dla ludzi. Po godzinie pracy zaczep jest sfabrykowany, lora przymocowana

i załadowana. Zdobycz jest mniej wartościowa niż sądziliśmy, gdyż opony są w złym stanie, ale mamy nadzieję, że w Dęblinie wyfasujemy koła zapasowe, albo opony. Wreszcie o 9-ej wyruszamy. Jedziemy przez całą Warszawę: Puławska, Belwederska, Aleje, Nowy Świat, Krakowskie, Most Kierbedzia. Oglądam miasto z wysokości samochodu ciężarowego po raz pierwszy. Tu i ówdzie grupki przechodniów witają nasz transport „patriotycznymi” okrzykami. Wiemy, że to nasze mundury lotnicze, ale niestety wiemy też już, że nasze lotnictwo jest o wiele za słabe. Że nie zdoła tych ludzi i tego miasta bronić skutecznie przed sępami niemieckimi.

Zajeżdżamy na tory kolejowe przy rampie, z dala od stacji „Praga”. Maskujemy wozy i żołnierzy w cieniu drzew. Porucznik wraca z komendy dworca – wagony kolejowe mamy mieć dopiero po południu. Jest wiele godzin czekania. Na ochotnika znajduje się już nasz „polowy kucharz”. Łódzki knajak i kombinator, wielkie chłopisko, były marynarz. Mamy tzw. skrzynię do gotowania, bardzo praktyczny instrument. Dziś będziemy już na własnym wikcie. Rozkładamy regularny obóz. Starsi rezerwiści robią to z dużym zjawstwem – praktyka z 20 r. Młodzi, choć mieli przecież nieraz manewry, przyglądają się nam z podziwem. Młodzi zawodowi kaprale ze zdumieniem spostrzegają, że mimo swej szkoły podoficerskiej, dużo jeszcze będą musieli się nauczyć w warunkach polowych. Stają się od razu znacznie skromniejsi i mniej pewni siebie. A przecież jeszcze nie jesteśmy w polu, to jeszcze Warszawa!

6 września

Wagony kolejowe dostaliśmy dość wcześnie, ale komenda dworca zakazuje łaadować je przed zmierzchem w obawie nalotów. Załadowaliśmy się jednak dużo wcześniej, wiedząc że po ciemku stanowić to będzie zadanie niewykonalne. Mamy dwa wagony towarowe: jeden zwykły drugi otwarty. Dostajemy od kolejarzy słomę i deski. W krytym wagonie układamy z desek po obu stronach pomosty, pokrywamy je

słomą i kocami. Koców mamy dość, każdy otrzymał dwa. Są grube, miękkie i ciepłe. Plecaki i broń są też tu upakowane bardzo szybko. Zajmuje nam czas druga, trudniejsza część zadania. Trzeba z rampy „wmanewrować” na platformę samochód i przyczepę. Zajmuje to dużo czasu i wysiłków, bo platforma jest mała i nie mamy odpowiednich mostków do ułożenia pomiędzy rampą a wagonem. Trzeba je improwizować z desek, a każdy z naszych pojazdów waży po parę ton. Wreszcie robota jest skończona gdy słońce już zaszło. Zaledwie rozmieściliśmy się w wagonie – alarm. Jeszcze nie jest ciemno przy zupełnie czystym niebie. Samolotów jeszcze nie widać, ale na torach gorączkowy ruch. Lokomotywa stara się nas wymanewrować i odciągnąć od składów. Komenda dworca bardzo się boi naszych 12 butli z wodorem. Co prawda to gorsze niż dynamit. Wystarczy kula z karabinu maszynowego trafiająca butlę, a wszystko pojedzie bardzo wysoko. Bomby zaczynają już padać, gdy jesteśmy wyciągnięci daleko poza zabudowania warsztatowe i składy. O jakieś dwieście metrów są domki kolonii kolejarzy. Obok kartofliska. Jest to jakiś odcinek torów zapasowych, stoimy wśród nie kończących się szeregów pustych wagonów towarowych. Zgodnie z rozkazem opuszczamy wagony i leżymy w kartofliskach. Niemcy jednak nie zwracają uwagi na tory i wagony – bombardują warsztaty kolejowe. Zresztą w porównaniu do bombardowania Okęcia jest to nalot słaby. Kilkanaście maszyn, same „Dornieri”, lecą dość wysoko, ponad 4 km. Tu nareszcie obrona przeciwlotnicza działa. Strzelają ciężkie działa przeciwlotnicze, ale, jak się orientujemy z obłoczków pękających pocisków, najwyżej trzy. Więcej jest małych dział, ale te nie grają właściwie żadnej roli poza tym że nie pozwalają lecieć poniżej 2 i pół km. Są one jakoby nadzwyczaj celne, ale już wszyscy tracimy zaufanie do tego co nam do wierzenia podawano. Nalot trwa około pół godziny – warsztaty kolejowe duże i ważne trafione wielokrotnie, płoną w kilkunastu miejscach. Kolejarze wracający do domów późnym wieczorem są bardzo przygnębieni. Było podobno dużo ofiar, a warsztaty mogą być unieruchomione na długo. Oddziały straży miejskiej walczą z ogniem do późna w nocy.

Mieliśmy odjechać o 8-ej, ale teraz nie wiadomo czy dziś

w ogóle wyjedziemy. Nalot zdeorganizował całą pracę, mimo że tory nie są uszkodzone. Porucznik idzie do komendy dworca, my pakujemy żołnierzy do wagonu. Jest ciemno, jeżeli się kto zgubi, to niełatwo odnajdzie oddział. Trudność jest z wartą – jak zmieniać wartownika na lorze w czasie podróży? Sprawę rozwiązują szoferzy, których jest dwóch. Będą trzymać wartę na zmianę, śpiąc kolejno w szoferce samochodu. Za to nie będą pełnić wart w czasie postojów.

Kolacji nie było, bo naszej skrzyni do gotowania nie można rozstawić – ognia palić oczywiście nie wolno. Przechodzą kolejarki do domu: zapytuję czy mogłyby nam ugotować kawy. Naturalnie. Życzliwość i usługowość tych ludzi dla żołnierzy jest nie do opisania. Wyjmuję naszą kawę w kostkach i idę z nimi do najbliższego domu. Ustawiają na kuchni kilka imbryków z wodą, rozdzielam kostki kawy, z którą nie umięją się obchodzić. Jest to kawa mielona, prasowana razem z cukrem w kostki porcjowe. Gospodarze zapraszają mnie na kolację, ale nie mogę zostać. Siedzę parę minut słuchając dziennika radiowego. Same bzdury bez znaczenia. Denerwujące przemówienie pułkownika-propagandyisty z irytującym już, idiotycznym „żołnierze strzelajcie powoli”. Dla kogo to jest przeznaczone?

Wracam do wagonu, potykając się na szynach. Kolejarki przyniosą nam kawę, jeżeli do tej pory nie odjedziemy. Porucznik już wrócił, jechać mamy lada chwila. Mija pół godziny, przychodzą kolejarki. Kawy jest grubo więcej niż obliczyłem, bo to ma być kawa „czarna”, a pocziwe baby dolały do niej drugie tyle mleka. Mówią nam, że w tym samym, bardzo długim pociągu pustych wagonów, na drugim jego końcu jest jeszcze jakiś oddział wojskowy. Porucznik, ja i jeszcze jeden żołnierz jako „łącznik” idziemy sprawdzić co to za oddział. Kobiety z kawą zabieramy ze sobą. Pociąg jest długi, chyba ze sto wagonów. W połowie pociągu zainteresowaliśmy się długimi platformami załadowanymi wysoko i pokrytymi wojskowymi brezentami. Zaczynamy po ciemku obmacywać te dwie platformy. Nagle spod brezentów wyłaniają się wartownicy, błysk latarki. Zobaczyli oficera lotnictwa, meldują się. Platformy są załadowane motorami lotni-

czymi. Jadą już cztery dni, jako konwój tych skrzyń. Nie wiedzą dokąd. Od dwóch dni nie mieli żadnego furazu. Dajemy im kawę do menażek i manierek, posyłamy łącznika do naszego wagonu po dwa bochenki chleba. Idziemy dalej, drogę zagradzają zwały szutru, między torami iść po ciemku nie sposób. Kolejarki jednak są „tutejsze”, znają obchody i prowadzą. Pociągi kończą się wszystkie razem przy „ślepych” końcach torów. Ostatnie dwa wagony „naszego” pociągu załadowane wojskiem. Intendentura, ale bez składów. Sami prawie podoficerowie zawodowi. Są zdezorientowani, zastraszeni i bezradni. Jadą już dwie doby z... Dworca Gdańskiego. Biorą naszego porucznika za komendanta pociągu i są bardzo zmartwieni gdy ich wyprowadzamy z błędu. Dostają od nas gorącej kawy, co przyjmują z zachwytem, bo od dwóch dni są na suchym i zimnym jedzeniu. Są tak wzruszeni, że w zamian dają nam ze swoich zapasów sporo dobrych papierosów, wielką bryłę sera i pięciokilową puszkę marmolady owocowej. Wracamy więc obładowani i w dobrych humorach, które nie wiadomo skąd i dlaczego się znalazły. Należałoby raczej zasmucić się tak poważnymi objawami rozprzężenia już na czwarty dzień wojny! Co będzie dalej? Okazuje się, że to co w bufecie sejmowym wielu brało za mój „inteligentki dowcip” – porównanie ewentualnej wojny polsko-niemieckiej do chińsko-niemieckiej, było raczej dość trafne. Będziemy zdaje się wojnę improwizować w obliczu nieprzyjaciela, który ma wszystko i we wszystkich wariantach przygotowane i dociągnięte „na ostatni guzik”. Tylko, niestety, Chińczycy są w lepszym położeniu, bo mają dużo więcej przestrzeni za sobą. Jesteśmy jednak wszyscy zadowoleni, że nareszcie wyjeżdżamy – zaczniemy pracować – będziemy pożyteczni.

Tymczasem czeka nas niemiła niespodzianka. Kiedy wydostaliśmy się nareszcie spoza szeregów wagonów, okazuje się że nasz pociąg odjechał. Sytuacja nieprzyjemna. Nie wiemy nawet jak gonić pociąg, bo nie wiemy dokąd jedzie, a właściwie, jaką drogą. To przecież tajemnica wojskowa i maszynista dopiero w ostatniej chwili dowiaduje się jaką ma trasę. Porucznik jest poważnie zaniepokojony. Dowódca, który się zgubił na samym początku drogi, to przypadek dość paskud-

ny. Naradzamy się co robić. Do rozmowy wtrąca się kolejarz, który przed chwilą przyłączył się do kobiet. To pociąg 427 na Dęblin jeszcze nie zaraz wyjedzie. – „Jak to przecież odjechał?” – „Tak, ale dojdzie tylko do posterunku, bo dalej nie ma linii, musi czekać”. Okazuje się, że ten posterunek jest o 6 km. Pytam czy nas nie zaprowadzi, bo po ciemku i w plątaniu torów nie trafimy a iść trzeba szybko. Okazuje się, że za pięć minut idzie w tę samą stronę lokomotywa manewrowa. Kolejarze porozumiewają się między sobą i za chwilę ładujemy się na lokomotywę. Pozwalam sobie na filozoficzną uwagę „Czasem dobrze jest, że tajemnica wojskowa nie jest tak ścisła” – kiedy już ruszyliśmy w pogoń za naszym pociągiem.

Po odszukaniu naszych wagonów czekamy jeszcze dwie godziny na ruszenie pociągu. Kładziemy się spać. Jazda nie jest kawalerska. Często zatrzymujemy się, cofamy, znów jedziemy. Na drugi dzień, dobrze już po południu dojeżdżamy do Pilawy. Pociąg jest teraz znacznie krótszy. Po drodze odczepiano różne wagony. Jesteśmy obecnie jedynym transportem wojskowym w całym składzie pustych wagonów. W Pilawie pociąg zmienia lokomotywę, ale nowa, zamiast jechać dalej, wypycha nas na tor zapasowy. Mamy stać tu dłużej. „Co to znaczy dłużej – godzinę, dobę, tydzień?” Kolejarz wzrusza ramionami – może ze trzy godziny, a może do jutra. Postanawiamy ugotować kawę, co można robić tylko daleko od torów. Reszta korzysta z okazji i przy pompie urządzamy generalne mycie.

Umyci, popijając gorącą kawę, siedzimy w szeroko otwartych drzwiach wagonu. Słońce zachodzi. Ani śladu chmur. Główną linią biegnie jakiś pociąg. Dopiero teraz orientujemy się, że od południa nie było żadnego ruchu na tej linii, tak zwykle ruchliwej. Jedzie szybko, mija nas, krótki pociąg o wspaniałej „reprezentacyjnej” lokomotywie chrzanowskiej. Coś mi się wydało znajomego w kształcie wagonów. Wychyłam się szybko, pociąg zwalnia na chwilę przed sygnałem, który się natychmiast otwiera. „Ależ to chyba pociąg Prezydenta” – mówię. „Ee, co znowu, zna pan ten pociąg?” – pyta porucznik (do podoficerów mówi niezmiennie, per pan, nie czyniąc różnicy między „zawodowymi” a „rezerwistami”, jak wielu innych oficerów).

Znam go, oczywiście, trzy lata przedtem, w grupie dziennikarzy sejmowych, jechałem w tymże pociągu do Białowieży, asystować przy polowaniu dyplomatycznym...

Potwierdza nam to spinacz kolejowy. Z goryczą w głosie mówi – „A Prezydent już ucieka z Warszawy!”

Nawet prości żołnierze w naszym wagonie przestali rozmawiać. Tylko jeden Sudra, kucharz, pił dalej głośno kawę z menażki, siedząc w otwartych drzwiach wagonu, z nogami opuszczonymi na zewnątrz.

To było pierwsze, solidne uderzenie obuchem w głowę.

Było już chyba dobrze po dziewiątej, gdy do naszego wagonu przybiega zdyszany komendant wojskowy stacji. Jest nim nieszczęśliwy sierżant, nie mogący sobie dać rady z odpowiedzialnością. Od początku wojny nie rozbierał się jeszcze, nie mógł nawet zdjąć butów ani pasa. Ma do pomocy trzech rezerwistów i konieczność utrzymywania posterunku przy składzie stacyjnym. Melduje porucznikowi, że otrzymał w tej chwili wiadomość, iż na polu o jakieś 2 kilometry w bok od toru lądował jakiś samolot, podobno niemiecki. Wiadomość przywiózł kierownik szkoły ze wsi, tuż obok wskazanego miejsca. Przyjechał specjalnie po to na rowerze. Sierżant wprost błaga o wysłanie patrolu z naszych ludzi. Porucznik zarządza zbiórkę. Niestety mamy tylko dwanaście karabinów i do każdego po 20 nabojów.

Porucznik bierze czterech ludzi i prowadzi patrol na wskazane miejsce. Dwa inne patrole, po dwóch żołnierzy z podoficerem, będą obchodzić teren po obu stronach toru w odległości 200 m od mostku kolejowego, który jest o 2 km od nas aż do stacji, od której jesteśmy oddaleni jakieś 500 m. Reszta uzbrojonych ludzi pełni wartę wzdłuż pociągu. Księżyc jest nieduży, ale mimo to świeci dość jasno. Noc wydaje się chłodna po upalnym dniu. Chodzę wzdłuż pociągu, jestem „w odwodzie”, mam z dwoma ludźmi maszerować w stronę porucznika, jeżeli usłyszę trzy kolejne wystrzały jego wisa. Upływa dobra godzina – nic się nie dzieje. Wraca wreszcie porucznik, ściągnąwszy po drodze oba patrole. Znaleźli łączkę, przy świetle ręcznej latarki rozpoznali ślady kół i pługa małego samolotu, który lądował, potem został obrócony do wiatru i wystartował. Jeżeli wysadził

dywersanta lub szpiega, to już zbyt wiele czasu upłynęło aby go odszukać. Komendant stacji ma zawiadomić żandarmerię. Niedługo przychodzi jego „łącznik”, młody harcerzyk – przynosi nam kopię telefonogramu odebranego przed chwilą, a nadanego na całą linię. Wszystkie posterunki otrzymują rozkaz strzelania bez ostrzeżenia, jeżeli zauważą jakieś „podejrzane zjawiska świetlne”. Dotyczy to, oczywiście i naszych wartowników. Na wszelki wypadek wartę podwajamy i idziemy spać. Było parę minut po północy, gdy budzi mnie jeden z wartowników i melduje, że już od kilku minut obserwuje w kierunku północnym jakieś „zjawiska świetlne”, ale nie wie czy są one dość „podejrzane” aby zacząć strzelanie. Zapinam mundur, wkładam płaszcz i wychodzę. Rzeczywiście widać jakieś błyski światła w nieregularnych odstępach czasu. Wydaje się, że jest to o jakiś kilometr od nas. Melduję porucznikowi. Zastanawiamy się długo nad tym co to może być, ale nie możemy odgadnąć. Wreszcie biorę dwóch żołnierzy i idę na patrol. W odległości istotnie jednego kilometra znajdujemy szosę Warszawa-Garwolin. Szosa, ukryta od toru wzniesieniem, ma w tym miejscu wznórek z mostkiem. Samochód, jadący szosą rzuca nagle promień światła ukośnie do góry, co w kurzu drogi daje efekt świetlny widoczny z dala. Samochody również obowiązuje zaciemnienie, ale nikt na to większej uwagi nie zwraca. Zatrzymujemy po kolei parę wozów i każemy gasić reflektory. Wyraźnie „ewakuacyjne” wozy, w każdym pełno cywilnych osób, bagaże. Któryś zaczyna się „stawiać” – „Czy pan wie z kim pan ma do czynienia?”, itd. Żołnierz bez słowa i bez rozkazu rozbija kolbą latarnię. Szofer się uśmiecha i robi szelmowskie oko.

To mi przywróciło poczucie rzeczywistości. Co ja tu właściwie robię? Nie mam możliwości stać tu całą noc i pilnować samochodów. Ani możliwości ani rozkazu. Zabieram żołnierzy i idziemy szosą do drogi wiodącej do stacji. Odsyłam żołnierzy do wagonu, sam idę do komendanta stacji.

„Cóż ja mam zrobić, panie kolego” – mówi zmartwiony – „żandarmi w Garwolinie też nie mają dość ludzi”.

Wróciłem do wagonu i położyłem się spać. Spałem do

południa. Wyjechaliśmy już o świcie, ale jechaliśmy tak, że w południe dotarliśmy do Garwolina. Tu znów dostajemy się na bocznice. Teraz jest zmiana systemu. Transporty wojskowe mają się posuwać tylko w nocy. Wyjedziemy stąd o zmierzchu. Porucznik proponuje aby ugotować na obiad zupę, ale okazuje się że znaczna część naszych zapasów jest zapakowana głęboko w Fiacie, a na przepakowywanie wozu nie ma na platformie miejsca. Zadowolimy się jeszcze kawą do suchych porcji.

Stacja w Garwolinie to jest malutki domek, wielkości przeciętnej chałupy wiejskiej. Drewniak kryty papą. Żadnych innych zabudowań. Miasteczko znajduje się o parę kilometrów od stacji, zgodnie z dawnym rosyjskim systemem prowadzenia linii kolejowych w oddaleniu od miasta. Znam je trochę, jeździłem tu od czasu do czasu przejeżdżając w odwiedziny do swych dziadków. Oboje już od kilku lat nie żyją, ale ciotka ma tu „skład apteczny”, a wuj jest żonaty z siostrą miejscowego proboszcza.

Oryginalne to miasto, powiatowe zresztą, słynne jest w całej Polsce z najlepszych jakoby kozuchów. Co drugi z tutejszych mieszczan to albo garbarz, albo kuśnierz, albo jedno i drugie razem i to od wielu pokoleń. W każdej rodzinie przechowywane są odwieczne „tajemnice” najlepszych ingrediencji garbarskich, w każdym niemal podwórzu stoją kadzie garbarskie, a na jesieni, tak jak teraz, zaduch garbowanych skór jest prawie nie do zniesienia. Ostatnio, miasto było głośnie w Warszawie, choć tam się kozuchów nie nosi. Nie z garbarstwa, lecz z młynarstwa. Ostatni Marszałek Senatu, Bogusław Miedziński miał w rubrykach: „zawód”, „miejscowość”, na liście senackiej wypisane: „młynarz”, „Garwolin”.

Zmierzch się zbliża. Trzeba kończyć pisanie.

9 września

Z Garwolina wyjechaliśmy zaraz po zapadnięciu ciemności. Pociąg nasz znów wydłużył się znacznie, bo przyczepiono nas do jakiegoś dużego transportu. O brzasku

wyglądamy przez odsunięte drzwi. Ranek jest cudowny. Jedziemy teraz bardzo wolno. Gdzieś, niezbyt daleko słychać ciężkie detonacje. Jeszcze krótki postój. Bombardowanie ucicha. Ruszamy i tym razem jedziemy bardzo szybko. Wagony towarowe, źle resorowane i niedbale poszczepiane skaczą i chwieją się przeraźliwie. Zaczynamy obawiać się o nasz samochód, mimo że w Warszawie został razem z przyczepą unieruchomiony na lorze bardzo starannie. W szybkim tempie mijamy most na Wiśle, obok obu przyczółków widzimy potężne dziury wyrwane w ziemi bombami ciężkiego kalibru. Pociąg zwalnia po przejściu mostu i zwykłym truchtem mija stację kolejową w Dęblinie. Nie możemy się zorientować czy to jest główna stacja, czy towarowa, której nikt z nas nigdy nie widział. Jest mocno porozbijana, a ruiny jeszcze dymią. Kręci się tu trochę żołnierzy i paru kolejarzy w jakiejś, jakby akcji ratunkowej. Słońce dopiero wschodzi. Mijamy Dęblin bez zatrzymania się, ale zaraz za nim, mimo że już jest dzień, zaczyna się znów „zwykła” jazda z ciągłym zatrzymywaniem się, wracaniem, przesuwaniem z toru na tor. W Stawach odczepiają część transportu. Tu podobno są największe w Polsce składy amunicyjne w głębokich, wspaniałych schronach, jak mówi nam porucznik. Okolice dość zalesiona. Na obszernych łąkach i polach nie widać aż po horyzont ani jednej krowy, ani jednego człowieka. Koło południa zatrzymujemy się na jakiejś małej stacyjce bez napisów. Nasze wagony zostają odczepione i przesunięte na tor zapasowy. Reszta pociągu szykuje się na dalszą drogę. Dopiero teraz widzimy, że transport jest eskortowany przez ludzi w mundurach funkcjonariuszy państwowych, którzy mają dla siebie jeden wagon osobowy. Szybko dowiadujemy się, że ewakuują z Warszawy archiwa ministerialne, ale wielu zaczyna się już burzyć, bo nie pozwolono im zabrać rodzin i nie wiedzą dokąd jadą, podczas gdy urzędnicy mieli oddzielny pociąg ewakuacyjny i wyjechali z całymi rodzinami.

Porucznik poszedł do komendy stacji po informacje. Stacja jest malutka i pusta. Na torze zapasowym stoi, prócz naszych, kilkanaście pustych wagonów w stanie raczej sfatygowanych emerytów. To Leopoldów. Okazuje się, że ujecha-

liśmy zaledwie kilkanaście kilometrów od Dębłina. Porucznik oznajmia nam (tj. swojemu „sztabowi”), że tu zostajemy, tymczasowo naturalnie, bo żadnego lotniska tu nie ma. Sztab, przy którym mamy pracować, jest w Dęblinie i czeka na rozkazy z d-cтва frontu. Komendantura stacji ma surowy zakaz pozwalania aby żołnierze pokazywali się w obrębie stacji, lub w pobliżu torów kolejowych. Aby nie „ściągać” uwagi lotników niemieckich, którzy tu latają po parę razy na dobę. Mamy nie wychodzić z wagonu, albo natychmiast po wyjściu oddalić się co najmniej 200 m od toru i w razie nalotu pozostawać bezwzględnie w ukryciu. No dobrze, ale przecież żołnierze muszą się myć, trzeba gotować strawę, no i ostatecznie trudno trzydziestu dorosłych ludzi trzymać bez przerwy w małym wagonie towarowym nie wiadomo przez ile dni. Nasz porucznik ma jednak sposób, nieco może nieformalny ale praktyczny. Wypakowujemy skrzynię do gotowania, część prowiantu i cały oddział wymaszerowuje ze stacji. Pozostał jeden tylko wartownik. Idziemy wszyscy do małego lasku poza osiedlem. Jest to zaledwie pół kilometra. Upał i kurz nie do wytrzymania. W lasku rozkładamy obóz. Jesteśmy dobrze zamaskowani liśćmi, więc nie reagujemy na eskadrę, która ukazała się właśnie, lecąc z północy, w kierunku Dębłina. Leci kilkanaście ciężkich bombowców z charakterystycznym dudnieniem, trzymają się na dużej wysokości. Nie mniej niż 5 km. Z północy? Ale przecież ostatnio słyszeliśmy, że nasze oddziały kawalerii zajęły omal całe Prusy, że Królewiec jest oblężony?

Po krótkim czasie słyszemy głuchoe odgłosy eksplozji z kierunku Dębłina. Tymczasem „rozpoznajemy” okolicę. O parę minut drogi od nas jest, ostatnie za stacją, obejście gospodarskie. Tam, grupami po kilku, idziemy kolejno myć się przy studni. Tam też kucharz kupuje trochę świeżych jarzyn do zupy. Ostatni raz jedliśmy gorący obiad przed pięciu dniami. Gospodarz jest wyraźnie zaskoczony i rozczulony, że naprawdę płacimy zwykłymi pieniędzmi, a nie „pokwitowaniem z pieczęcią”. Wszyscy stają się tu natychmiast niezmiernie uprzejmi i pomocni.

Gotuje się wspaniała zupa. Kucharz jest niezły, ale mu jeszcze trochę brakuje proporcji. Zupy jest o wiele za dużo,

ale szkoda wyrzucać więc żołnierze wyraźnie się przejadają. Po obiedzie wszystko rozkłada się pod drzewami i drzemie. Co dwie godziny jeden wędruje do stacji, zmienić wartownika. Odbywa się to zupełnie „po domowemu”, to znaczy, że podoficer nie odprowadza zmiany. Porucznik uważa to za przesadę, gdy jest tylko jeden posterunek, a wszyscy żołnierze znają się osobiście. Nie od dziś zauważyliśmy, że jest to wyjątkowy oficer, jak na zawodowego: rozsądny, taktowny i delikatny w stosunkach z ludźmi. Toteż od razu zdobył sobie zaufanie oddziału. My, podoficerowie, wiemy że nie będziemy mieć „trudnego życia” z żołnierzami. Zarządzenia takiego dowódcy będą wypełniane rzeczywiście w myśl intencji.

Ale nawet on ma na sobie piętno zawodowca. Oni są jak konie z założonymi okularami. Mogą widzieć tylko w jednym, bardzo wąskim kierunku. Ten na przykład jest nieprzeciętnie inteligentny, nawet jak na pilota, a zupełny ignorant. Nie czytał nic z literatury, o muzyce nie ma pojęcia, choć do niej tęskni, jeżeli przypadkiem był w teatrze na jakiejś poważniejszej sztuce, to wspomina o tym jak o niezwykłym wydarzeniu roku, ale nic z tego nie rozumie. O żadnym kierunku badań naukowych nie wie nic. Cóż on umie? Zna regulaminy wojskowe, umie latać na 2-3 typach starszych maszyn, zna mechanizm motoru, trochę słyszał o meteorologii. Oto produkt szkoły kadetów, szkoły podchorążych lotnictwa i trzyletniego stażu w pułku. Obywatel-żołnierz. Ten jest przynajmniej tak wysoce inteligentny „z przyrodzenia”, że zdaje sobie sprawę z braków umeblowania swojej głowy. Toteż wykorzystuje jak może to, że ma podoficera, który i wyższe wykształcenie zdobył i po świecie się włóczył. Każda wolniejsza chwila to prowokowana przez niego rozmowa, a raczej opowiadanie. O literaturze i sztuce, o dalekiej Francji, czy bliskiej Łotwie, o ustrojach społecznych i grupach politycznych w Polsce, o nowych zdobyczach naukowych. Czasem rozmowie przysłuchują się żołnierze, co porucznikowi nie przeszkadza. Zresztą w wagonie trudno inaczej. Dziś rozmowa zeszła na temat dość oryginalny jak na miejsce i porę – mówiłem o utopiach społecznych – o Erazmie, Fourierze, o falansterach i, wreszcie, o koloniach filozoficzno-społecznych „proroka” Danowa w

Bułgarii, które odwiedziłem przed paru laty. Był już czas gotować kawę, gdy skończyłem. Kucharz, który często był gorliwym słuchaczem, miał twarz zapłakaną. Zabawnie groteskowa, wielka marynarsko-boksyerska twarz o wiecznym wielkomiejsko-cynicznym wyrazie – i te, płynące po niej łzy. „Czegoście się tak rozczulili, Sudra?” – pyta porucznik. „A bo ludzie są takie mądre, takie przemyślne, a przecież takie dranie”.

Na noc, już dobrze o zmierzchu, wracamy do wagonu. Zastanawia nas, że samoloty, które leciały z Prus, nie wracały. Nie wiemy jak to rozumieć. Rano, o brzasku, budzi nas daleki odgłos bombardowania. Huk jest przytłumiony, ale ziemia, a z nią wagon, wstrząsa się bardzo wyraźnie. Zanim ubraliśmy się i przygotowali do wyjścia – jadą. Siedzimy, oczywiście, w wagonie. Nieduża eskadra, zaledwie dziewięć, białe, groźne maszyny, błyszczące w promieniach słońca, które jeszcze nie weszło nad horyzont. Wzbudzają nasze zainteresowanie szczególne, bo nikt nie może rozpoznać sylwetek. Jakiś dziwny, nie znany nam typ dwumotorowców. Wreszcie i porucznik, zaciekawiony naszymi rozmowami, wygląda. To są czeskie maszyny! Lecą na północ. Po bombardowaniu Dębłina lecą do Prus! A więc Niemcy urządzą sobie przeloty z Czech i Prus i z powrotem, a po drodze zrzucają bomby. Maszyny przeleciały bez zainteresowania się Leopoldowem. Szykujemy się iść do prawdziwego lasu, który jest po drugiej stronie toru, a zaczyna się o 100 m od wysokiego nasypu toru. Zatrzymuje nas pociąg ewakuacyjny, który przybywa właśnie od strony Dębłina. Załoczony w nieprawdopodobny sposób. Teoretycznie rodziny urzędników, ale faktycznie każdy kto chciał. Polacy z Bydgoszczy, Grudziądza i okolic. Jadą już tydzień czasu, wyruszyli w dniu wybuchu wojny wieczorem. Dzieci już nie płaczą. Jakaś energiczna „pewukaczka”, zresztą harcerka, usiłuje organizować jakieś dostawy żywności. Niestety bez skutku. W Leopoldowie nie ma piekarni, a postoje pociągu są przeważnie w polu. Już kilku ojców zgubiło się po drodze, bo zaryzykowali wyprawę do pobliskiej wsi po żywność, a tymczasem pociąg odszedł. Sznury wymizerowanych, wystraszonych ludzi biegną do studni po

wodę i z powrotem. Dajemy pewukaczce cały worek chleba. Choć dla najgłodniejszych, bo cóż to znaczy 50 bochenków na cały pociąg? Tam jest z tysiąc ludzi!

Gdy pociąg odjechał idziemy do lasu. Zaledwie weszliśmy między rzadkie jeszcze drzewa, zjawily się samoloty znad Dębłina. Lecą nisko więc porucznik wydaje rozkaz krycia się. Leżymy nieruchomo pod sosnami. Maszyny lecą prostopadle do toru. Widzę, że w pierwszej trójce samolot przechylił się nagle na bok, po czym wyrównał. Wiemy co to znaczy. Maszyny były blisko zenitu nade mną. Natychmiast usłyszałem gwizd lecących bomb. Machinalnie wtuliłem głowę między wystające korzenie drzewa. Serce wyraźnie zwalnia tempo uderzeń. Wydaje się nagle niesłychanie interesujące, czy jest to fizjologiczny efekt spodziewanego ciosu, czy też „czas psychologiczny” przyspiesza się tak, że następuje wyraźne opóźnienie w spostrzeganych zjawiskach. W tej chwili ziemia, na której leżę zakotłosała się. Trzy, jedna za drugą bomby wybuchły, najbliższa dokładnie o 12 metrów. Trafiły w pole świeżo orane, miękka ziemia przepuściła bomby głęboko, więc kąt rozprysku był mały. Jestem obsypany ziemią i na wpół głuchy. Podmuchu nie czułem, poszedł wyżej. Bomby z następnych samolotów spadają dalej – wszystko kruszące setki. Starają się zniszczyć tor kolejowy na nasypie, metodą gęstego rzucania bomb z lotu prostopadłego do toru. Jest taka „teoria” i u nas, że to ma być najpewniejsza metoda trafienia. Druga trójka leci nieco dalej od nas, bliżej budynku stacyjnego. Innych, lecących po prawej stronie nie widzę, zasłaniają mi je korony sosen. Druga trójka rzuca bomby cięższe, a więc pojedynczo. Wyraźnie widać poderwanie się maszyny po stracie ciężaru bomby. Są to, jak później oceniliśmy z efektów, trzystokilówki. Jedna trafia w sam nasyp kolejowy, ale nie wybucha. Są to bomby czeskie, wśród których jest dużo niewypałów.

Istnieje już nawet plotka, że jest to wynik sabotażu Czechów, dzięki któremu bomby są napełniane piaskiem. Plotka oczywiście niedorzeczna, co rozumie każdy chyba żołnierz, bo przecież bomby napełnione były wtedy, gdy nikt jeszcze nie przypuszczał, że będą rzucane przez Niemców w Polsce.

Ogółem spada kilkadziesiąt bomb, szyby w okolicy stacji są doszczętnie wybite, sam budynek stacyjny gęsto poznaczony odłamkami. Jeszcze nie podnieśliśmy się z ziemi, gdy słysząc ostry *gang* motoru i widzimy samolot lecący od strony Łukowa, wzdłuż toru kolejowego, na wysokości zaledwie 15-20 metrów. Może lecieć bezpiecznie, bo w Leopoldowie nie ma żadnej obrony przeciwlotniczej, nawet w postaci karabinu maszynowego. Jedynym oddziałem wojskowym jest nasza stacja meteo z dwunastoma karabinkami i dwoma wisami. W odległości paruset metrów strzelec uruchamia karabin maszynowy i strzela w stację. Nas w lesie nie widzi. Za chwilę nalot skończony. Wrażenie bardzo nieprzyjemne. Zaczynamy się już po trosze czuć jak tropiona, bezbronna zwierzyna. Porucznik poleca kuchnię przenieść w głąb lasu. Ponieważ musimy mieć blisko wodę, żołnierze odchodzą prawie półtora kilometra, gdzie na brzegu lasu stoi samotna chałupa gospodarska. Las tam jest z gęstym podszyciem. Sam porucznik ze mną i dwoma żołnierzami (jeden, zmiana warty, drugi łącznik) idzie na stację. Musimy sprawdzić czy nasz wartownik nie jest ranny i chcemy obejrzeć efekty nalotu. Szkody są bardzo nieznaczne. Nasz wagon przestrzelony jest kulami karabinów maszynowych w kilku miejscach, ale szczęśliwym trafem ani samochód, ani wodór nie były trafione. Wartownik zdążył zeskoczyć z platformy i schronić się za stosem podkładów kolejowych. Ranny jest maszynista z lokomotywy, która po zmianie przy pociągu ewakuacyjnym zamarudziła z powrotem do Dębina. Rana jest powierzchowna, ale przez całą szerokość pleców i mocno krwawi. Opatrujemy go naszymi „pakietami indywidualnymi”, które każdy z nas ma w specjalnej kieszeni przy mundurze. Na stacji dowiadujemy się, że o trzy kilometry dalej w stronę Łukowa zniszczony jest tor i mostek kolejowy, a nadto że za mostkiem samoloty ostrzelały z karabinów maszynowych pociąg ewakuacyjny, który rano był w Leopoldowie i jest jakoby 11 osób zabitych i koło 50 rannych. Z następnej stacji wysłano pomoc sanitarną. U nas nie ma nic. Ludność Leopoldowa jest w stadium niemal paniki. Jedna chałupa jest całkowicie zniszczona przez bombę, która trafiła w środek budynku i dosłownie zmiotła go z

powierzchni ziemi. Na szczęście w chałupie nie było nikogo. Wielu gospodarzy ładuje pośpiesznie najcenniejszy dobytek na fury i wraz z rodzinami wynoszą się do lasów, których w okolicy jest sporo.

Porucznik próbuje ze stacji porozumieć się telefonicznie z naszym sztabem, ale bez skutku – w Dęblinie jest nalot. Zamawiamy rozmowę na wieczór. Wracamy do oddziału. Gospodarz, dowiedziawszy się, że jest oficer, zaprasza go do domu. Porucznik zabiera ze sobą swój „sztab”. Mieszkańcy tego, oddalonego od stacji domu, czują się dużo raźniej, gdy jesteśmy z nimi. Po bombardowaniu i oni zamierzali uciekać do lasu. Tłumaczymy im, że tutaj nie są narażeni na większe niebezpieczeństwo niż w lesie. Potrzebowali takiej zachęty. Zdejmują z wozu przygotowane już częściowo tobołki. W czasie obiadu przyjeżdżają do nich krewniacy z Leopoldowa. Gospodyni rozmieszcza ich w drugiej połowie chaty.

Z północy leci nowa eskadra. Tym razem bardzo duża. Lecą wysoko, kluczami po dziewięć maszyn, jak na paradzie. Naliczyliśmy dziesięć kluczy. Nad naszymi głowami przeformowali szyk i rozdzielili się. Połowa leci na Dęblin, a reszta pikuje na dół, w kierunku południowo-wschodnim. Upływa zaledwie kilkanaście minut do pierwszych detonacji. Są bardzo niedaleko, najwyżej 3-4 kilometry – to nie Dęblin. Bombardowanie jest bardzo gęste. Nie orientujemy się jaki jest tym razem cel. Wyjaśnia nam gospodarz, który zbladł z wrażenia wszedł właśnie do izby z podwórka. „To rąbią w lotnisko”. Porucznik, który latał w Dęblinie, nie zna takiego lotniska. Okazuje się że jest ono w środku lasu, a więc zapewne wojenne, „ukryte”. Chłop nam mówi, że jest tam jakoby kilkanaście wielkich samolotów, ale nie latają jeszcze, bo czekają na pilotów. Jak się później dowiedzieliśmy na stacji, to jest prawda. O tym „ukrytym” lotnisku wie cała okolica, ma tam być piętnaście „łosi”, ale ani jednego pilota. Lotnisko jest „obrabiane” bardzo gruntownie. Bombardowanie trwa co najmniej pół godziny. Od strony Dębłina słyszymy po raz pierwszy gęsty ogień artyleryjski. Jest dość wyraźny, strzelają zapewne baterie ze Stawów.

Nagle gospodarz zaczyna prosić porucznika żeby nie wracał z żołnierzami na stację, proponuje nocleg w obszernej

stodole, na świeżym sianie. Propozycja bardzo kusząca. Na pewno wypalibyśmy się tu lepiej. Zresztą dlaczego mielibyśmy odmawiać? Porucznik zgadza się, zaczynamy delikatnie indagować chłopą o przyczynę takiej niezwyklej gościnności. Okazuje się, że kuzyni przywieźli wiadomość o jakiejś znacznej grupie dywersantów, która jakoby pojawiła się w okolicy. Chłop będzie się czuł bezpieczniej na tym odludziu w towarzystwie uzbrojonych (pozał się Boże) żołnierzy. Przed zachodem słońca oddział zajmuje stodołę. Musimy zawsze i wszędzie maszerować w pełnym rynsztunku, toteż żołnierze mają wszystko ze sobą. Po zachodzie idę powtórnie z porucznikiem na stację, do telefonu. Dostajemy połączenie. Dyżurny oficer oznajmia naszemu dowódcy, że oni sami jeszcze nie zaczęli pracy, że czekają na rozkazy, wobec czego i my musimy spokojnie czekać. Dziwi nas taka sytuacja. Wojna trwa co prawda dopiero osiem dni, ale wcale nie jest zabawką, a tu tymczasem duży oddział lotniczy nic nie robi, czeka na rozkazy. Oddział, dla którego my mamy stanowić obsługę meteorologiczną, nie ma ani przydzielonego lotniska, ani maszyn przygotowanych do lotu, ani zaprowadzonej łączności – nic. To wszystko wymaga pracy przynajmniej paru dni!

Wdajemy się w gawędę z naczelnikiem stacji, pytamy o nowiny z dziennika radiowego. Nie wie nic, bo nie miał czasu słuchać w ciągu dnia, mimo że ruchu na torze nie było wcale. Musi wykonać terminowo tyle zestawień i wykazów „wojennych”, że od dwóch dni nie sypia więcej niż trzy godziny na dobę. Na tej malutkiej stacyjce jest sam – zawiadowcą, telegrafistą i kasjerem w jednej osobie. Miał młodego aspiranta, ale go zmobilizowano. Ma wprawdzie komendanta wojskowego w postaci sierżanta zawodowego żandarmerii, ale ten ma dość własnych obowiązków, a o kolejnictwie nie ma zielonego pojęcia. Dziś będzie spokojniejsza noc, bo transporty nie idą – tor jest jeszcze nieczynny, a i linia telegraficzna jest uszkodzona, pozostał tylko telefon, a ten potrafi obsłużyć sierżant. Zawiadowca zaprasza nas na kolację do domu, o kilkadziesiąt metrów od stacji.

Nasze przybycie sprawia pewne zamieszanie, ale rozprasza przy tym paniczno-rozpaczliwy nastrój w jakim siedzą,

płacząc i modląc się żona i córka zawiadowcy. W domu nie ma ani jednej całej szyby, a na dachu kilkadziesiąt dachówek jest potrząskanych kulami. Słuchamy dziennika radiowego (głównie po to przyszliśmy), z którego nie można sobie wyrobić żadnego pojęcia o sytuacji wojennej. Dowiadujemy się, że toczą się ciężkie walki w okolicy Częstochowy. Zawiadowca dodaje, iż „kolejarską pocztą” wie, że Częstochowa i Kraków są już w rękach niemieckich. Wydaje się nam to dywersyjną plotką. Zawiadowca przysięga że wiadomość jest pewna. Dalej radio ogłasza o walkach kawalerii „w okolicach” Grudziądza, oraz o dużej koncentracji naszych wojsk pod Kutnem. Więcej nic. Przemówienia propagandowego już nie ma. Transmisja jest ze Lwowa. Warszawska radiostacja jest uszkodzona. Nastrój i nas dwóch ogarnia dość ponury. Tym bardziej, że wiadomości wydają się nam zupełnie zagadkowe. Staramy się jednak żartować, aby choć nieco uspokoić przeżalone kobiety. Kolacja jest zimna, ale nam już się wydaje po prostu wystawna. A to dopiero tydzień wojny! Jakże niesłychanie odległe wydają się wspomnienia cywilnego życia przedwojennego. Umyci, odświeżeni, siedzimy przy białym obrusie, stół obficie zastawiony wędlinami. Ogórki kwaszone, grzybki, chrzan, jakieś przemysłne pikle, nawet karafka szlachetnej nalewki. Potem dostajemy wonnej kawy. Mimo wszystko na prawdziwy humor zdobyć się nie mogę, a i mój porucznik wysila się na mówienie dowcipów. Żałosne to zresztą dowcipy – zna oczywiście tylko „kawały” z kasyna oficerskiego i stara się przeredagować je tak, aby je można było opowiedzieć w cywilnym towarzystwie, przy kobietach. Mimo wszystko rozmowa wciąż schodzi na wojnę. Kobiety starają się od nas „fachowców” dowiedzieć, jak się chronić przed bombami. Oglądamy dom – jest dość solidny i ma niewielką, ale suchą i oświetloną piwniczkę i to z dużym wyspem dla węgla, który może służyć za zapasowe wyjście. Perswadujemy paniom, aby porzuciły myśl wynoszenia się do lasu (cały Leopoldów wynosi się do lasu), a raczej przystosowały piwnicę do mieszkania. Zresztą – tłumaczymy – bombardowanie takiego Leopoldowa, to po prostu przypadek. Nie ma żadnego sensu wyrzucać kosztowne bomby dla zniszczenia tak nieważnego obiektu.

Łącznik ze stacji przychodzi po zawiadowcę, który potrzebny jest do telefonu. Chłopiec dostaje od pani szklankę herbaty i pajdę chleba z wędliną. Strzelec z miejscowego oddziału. Jedząc opowiada, że przed wieczorem miał objeżdżać okolicę jakiś plutonowy na rowerze i zapowiadał gospodarzom, aby nie odważyli się sprzeciwiać, jeżeli się zjawią dywersanci niemieccy, bo „nie potrzeba ofiar” – najlepiej niech się pozamykają w chałupach i nie wychylają nosa na świat. Podrywa nas wiadomość. Co, kto? Skąd wie o tym? Opowiadał to na stacji chłopiec, krewny jednego z gospodarzy, który przyjechał do niego z Ireny, bo tam, podobno, nie zostało już ani jednego domu, a ulic nie można znaleźć nawet śladu (jest to „cywilna” część Dębłina). Gdzie jest ten chłopiec? Pewnie jeszcze siedzi w piwiarni koło stacji. Idziemy tam niezwłocznie, razem ze strzelcem. Znajdujemy w piwiarni jeszcze owego młodzieńca – jest to chłopak co najmniej dwudziestoletni. Siedzi przy piwie otoczony słuchaczami i peroruje. Zmieszał się bardzo zobaczywszy wojskowych. Przerwał opowiadanie. Spokojnie zamawiamy piwo i siadamy przy stole. Rzucam od niechcienia pytanie o czym tak ciekawie opowiadał. Chłopak niespodziewanie odpowiada hardo: „Cóż to nie wolno rozmawiać?” Wobec tego zabieramy się do niego ostro i zapytujemy o tego plutonowego. To go mityguje, jest niezdecydowany, ale słuchacze potwierdzają – tak opowiadał. Żądamy wyjaśnień, gdzie widział tego plutonowego, u kogo on tu był? Ptaszek zaczyna się płatać, wreszcie, przyciśnięty do muru, twierdzi że tylko tak słyszał. Ci, spośród słuchaczy, którzy zaczynają już podejrzewać coś niedobrego, przeczą mu, przypominają że opowiadał, jak sam rozmawiał z tym plutonowym, który miał być i w Leopoldowie. Chłopiec się ostatecznie płacze w odpowiedziach. Każemy mu się wylegitymować. Ma jakieś niewyraźne zaświadczenia, które wydają się nam podejrzane. Aresztujemy go i prowadzimy do komendy stacji. Tam sierżant spisuje personalia. Pyta u kogo mieszka. Wymienia nazwisko krewnego. Jest to obywatel niemieckiego pochodzenia. W Leopoldowie nie ma policji. Nigdy nie było. Teraz jest „straż obywatelska” – paru starszych członków „Strzelca” uzbrojonych w nieprawdopodobne karabiny, chyba zdobycz-

ne na bolszewikach w 20 roku. Zarządzamy alarm „straży”. Posyłamy pięciu do tego „krewnego” aby go aresztować i sprowadzić na stację, dom zamknąć i trzymać pod strażą do przybycia żandarmerii. Chłopak widzi że wpadł, staje się od razu wyzywająco spokojny. Straż wraca z niczym – „kuzyn” zwiął. Dokumenty są już przygotowane, ta sama piątka nabija karabiny – przewiozą dreżyną ptaszka do Stawów i oddadzą żandarmerii.

Kiedy wróciliśmy na miejsce noclegu – była już prawie północ. Obaj jesteśmy w ciężkim nastroju. Porucznik postanawia jechać na drugi dzień rano sam do Dębina. Pytam, czy zabierze mnie ze sobą. Nie. „Sztab” oddziału musi zostać na wypadek, gdyby mu się coś przytrafiło po drodze. Jafra sam nie da sobie rady. Porucznik zabierze ze sobą dwóch żołnierzy jako łączników. Dębin pali się szeroko. Luna oświeśla pół nieba. Jest trochę chmur. Ach, żeby się nareszcie skończyła ta pogoda! To byłaby bodaj jedyna realna obrona przeciwlotnicza. Jesteśmy meteorologami, ale nic nie wiemy. Wszystkie nasze instrumenty pomiarowe, zapakowane w skrzyniach, czekają na rozkaz.

Rano, po śniadaniu porucznik wyrusza w drogę. Pojadą dreżyną. Zaczyna się nowy dzień przymusowego próżnowania. Żołnierze zaczynają się rozklejać. Gdyby była normalna praca na posterunku meteo, to by nie było tak ciężko. Czujemy się wszyscy nie tylko bezbronni, ale jeszcze nadto bezużyteczni. Chłopcy zasiedli dziś do pisania listów. Ja listów nie piszę – wiem że poczta stąd nie odejdzie ani dziś, ani jutro. Zabieram się do swego notatnika, potem pójdę spać na sianie. Spałem dziś za mało i widocznie dlatego jestem skwaszony. Naloty są dziś częste. Co pół godziny mamy defiladę, co prawda niewielkich eskadr. Leopoldowem już się nie interesuję.

11 września

Wypadki zaczynają biec takim tempem, że muszę postarać się o częstsze notowanie, bo obawiam się, że nie zdolałbym jednym ciągiem zapisać wydarzeń paru dni. W sobotę

porucznik wrócił wieczorem, przed zachodem słońca bardzo przygnębiony i zmęczony, bo większą część drogi musieli odbyć piechotą wobec zatarasowania torów na dużej przestrzeni przed Dęblinem przez wagony towarowe, puste i naładowane, które stoją, beznadziejnie czekając na lokomotywy. Wiadomości są bardziej złe, niż można by w najczarniejszych obawach przypuszczać. Zaraz po powrocie d-cy ja i Jafra jesteśmy wezwani na długą naradę. Nasza obrona jest właściwie rozbita. Warszawa jest otoczona i oblężona. Cała północna część kraju zajęta. Niemcy pokazali się już w okolicach Siedlec! Co się dzieje na południu – nie wiadomo. W każdym razie nasz sztab niespodzianie zwiął z Dęblina wcale nas o tym nie zawiadamiając. Pojechali do Lublina, gdzie ma tworzyć się nowy ośrodek koncentracji władz. Zastanawiamy się jak ma iść nowa linia oporu, która podobno jest już formowana. A przede wszystkim, co mamy robić ze sobą? Rozkazów ze sztabu nie możemy się spodziewać, gdyż żadnej łączności z Lublinem Leopoldów nie ma. Zgadzaamy się na jedno, że musimy jechać za naszym sztabem i postarać się o otrzymanie jakichś rozkazów. Zaledwie porucznik zjadł obiad idziemy we trójkę na stację. Jestem tym wszystkim bardzo zaskoczony. Nie spodziewałem się wprawdzie, abyśmy mogli utrzymać się przed uderzeniem całej siły wojennej Niemiec, ale trudno było przypuścić, że to pójdzie tak szybko, a w każdym razie, że nie mamy przygotowanej drugiej i trzeciej linii oporu jeszcze na zachód od Warszawy, a tym bardziej gotowych stanowisk na wschód od Bugu. Tymczasem jesteśmy haratani przez lotnictwo jak na manewrach, gdy jeszcze przed samą wojną sprzedaliśmy Anglikom poważną dla nas partię dział przeciwlotniczych dla obrony Londynu (jeżeli to nie plotka dla głupich dziennikarzy). Nie tylko nie możemy przeciwstawić żadnej poważnej siły oporu lotniczego, ale nawet na ziemi wojsko zaczyna właściwie prowadzić partyzantkę, nie wojnę.

Na stacji konferujemy z zawiadowcą, ale sytuacja wygląda beznadziejnie. Żadnej lokomotywy nie ma nawet na obu sąsiednich, większych stacjach, ani żaden transport wojskowy nie idzie. Moglibyśmy próbować poruszyć nasze dwa wagony silną motorową drezyną, ale jeżeliby nawet most w Dęblinie

(na Bugu) okazał się cały, to dalsza linia do Lublina jest pod nieustannym bombardowaniem i na pewno jest porwana w wielu miejscach. Droga na Łuków, prowizorycznie naprawiona przed Łukowem, jest już tak zatarasowana transportami, dla których wyprowadzenia brak lokomotyw, że nie dojechalibyśmy nawet za tydzień, a tu już nie ma tyle czasu. Niemieckie zagony koło Siedlec, to znaczy że lada chwila możemy być od Łukowa odcięci. Sprawa jest jasna – możemy liczyć tylko na nasz własny samochód. Do szosy lubelskiej mamy parę kilometrów bardzo złej drogi – piasek. Czy wyciągniemy wodór? Ale nie ma innego sposobu. Zapada już mrok, trzeba się spieszyć, bo po ciemku nie zdołalibyśmy się wyładować. Tymczasem zajeżdża na stację wóz z jednym żołnierzem, który poszedł z porucznikiem jako łącznik i przywozi większy zapas prowiantu. Na wszelki wypadek porucznik zażądał w Dęblinie i nadspodziewanie łatwo dali mu, nawet więcej niż chciał. Wyrażny dowód pośpiesznej ewakuacji Dęblina.

Na żołnierzy nie czekamy długo. Wiadomość że odjeżdżamy, zaniesiona przez wartownika, szybko sprowadza cały oddział. Przesuwamy ręcznie wagony o jakieś pół kilometra do malutkiej rampy i w szybko gęstniejącym mroku zaczyna się trudna operacja sprowadzenia samochodu i przyczepy z dość stromej rampy. Zajął to nam prawie pół godziny. Było już zupełnie ciemno, gdy napełniliśmy bak benzyną, zapakowali żywność i zarządzili zbiórkę dla sprawdzenia, czy nikt się nie zawieruszył, lub nie zgubiono jakiejś części rynsztunku. Wszystko oczywiście musi być policzone, bo my, podoficerowie, jesteśmy odpowiedzialni za każdy rzemiyk. Każdy brak musi być zaprotokołowany. Żołnierze pójdą aż do szosy, bo w piasku samochód nie poradziłby, choć jest to nowy „Fiat” mocny i solidny. Ma tylko jedną wadę, że „pije jak nieprzytomny” według określenia naszego szofera, ale to nas nie martwi – benzyny mamy zapas pokaźny. Żołnierze wyprzedzają nas znacznie, bo samochód w piasku idzie bardzo powoli, a pędzony wciąż na pierwszym biegu grzeje się mocno i często musi odpoczywać. My z porucznikiem idziemy przed samochodem i wybieramy trasę choć nieco twardszą i mniej wyboistą. Ciemno jest

zupełnie, księżycą jeszcze nie ma. Sześć, czy siedem kilometrów jechaliśmy prawie półtorej godziny. Po wydostaniu się na szosę generalna inspekcja samochodu i przyczepy, po czym żołnierze pakują się jak się da. Ujeżdżamy parę kilometrów do miejsca, gdzie z szosą łączy się trakt z Dębłina i tu zaczyna się prawdziwe piekło. Cała droga załoczona najrozmaitszymi pojazdami ewakuacyjnymi. Samochody, ciężarówki, wozy konne. Tych ostatnich bardzo dużo. Zarówno wojskowe, wywożące składy intendentury, jak prywatne. Uciekinierzy z dobytkiem. Lewa strona szosy musi być wolna, bo ciągną tędy w szybkim tempie motocykliści-łącznicy wojskowi w obie strony, a często doganiają nas i mijają kolumny ciągników artyleryjskich i lekkich tanków. Cała szosa jest gruntownie popruta gąsienicami ciągników, które już od wczoraj wywoziły artylerię, amunicję i benzynę. Co jakiś czas udaje się nam „wyrwać” na lewą stronę i pojechać prędzej, ale na ogół nasza przeciętna szybkość nie wynosi więcej jak 10-12 km na godzinę. Żołnierze na przyczepie czują się bardzo źle. Obciążone do ostateczności resory już nie pracują i lora skacze niemożliwie. Wszyscy też jesteśmy pokryci grubą warstwą kurzu, który jest jak chmura, czy zasłona dymna, i unosi się bez przerwy nad szosą aż ponad korony drzew, rozbłyśkując w świetle ręcznych latarek, którymi się trzeba posługiwać, aby uniknąć wypadków. Jest koło trzeciej nad ranem, wschód zaczyna już lekko różowieć, gdy nagle „siadają” nam od razu dwa koła w przyczepie. Jesteśmy koło jakiegoś większego zagajnika. Brzask zaraz się zacznie, ruch na szosie staje się gorączkowy. Wszyscy śpieszą aby przed świtem schronić się gdzieś, w jakiejś dziurze i zamaskować gałęziami. Niemcy w dzień co chwila ostrzeliwują szosę karabinami maszynowymi z samolotów. Staramy się przeciągnąć nasz transport poprzez rów przy szosie do zagajnika nie wywracając całego ładunku. Tuż nad głowami przelatują jeden za drugim samoloty, wywołując na szosie niemal popłoch. Dwa wozy rozbijają się, wpadając do rowu. Jesteśmy zdziwieni, bo zdawałoby się, że nie ma w Polsce człowieka, który by z daleka nie poznał brzęczenia motoru „erwudziaka”. To nasze turystyczne maszyny uciekają chyłkiem na jakieś nowe lądowisko.

Wprowadziliśmy wreszcie samochód z przyczepą w zagajnik. Są zamaskowane nieźle. Szoferzy z pomocnikami zabierają się do łatania opon. Są po prostu podarte w strzępy. My wypakowujemy skrzynię z narzędziami. Oczywiście, okazuje się, że znakomicie precyzyjny plan mob. jest bez wartości. W skrzyni C (której przed wyruszeniem „w pole”, jak i żadnej innej, nie wolno było otwierać) instrumentów i materiałów nie ma. Oczywiście pomyłka w nalepce z literką. Są mapy, przybory kancelaryjne, oraz łopaty i kilofy. W rezultacie musieliśmy wypakować prawie cały samochód i otworzyć każdą skrzynię, zanim potrzebne narzędzia zostały znalezione. Był już biały dzień, gdy zapakowaliśmy z powrotem bagaże. Pomęczeni jesteśmy porządnie, ale pracują fizycznie wszyscy, bez różnicy szarż i bez nawoływań. Każdy wie że trzeba się śpieszyć. Niemcy już są. Pierwsza ich trójka „patroluje” szosę. Tylko tu i ówdzie przemyka po niej jakiś samochód lub wóz. Padają pierwsze bomby, małe, rozpryskowe. Cały oddział rozkłada się pod choinkami. Ranek jest dość chłodny więc wszyscy są w płaszczach. Leżąc nastawiam kołnierz. Jest wysoki i ciepły, choć nieco szorstki. Zakrywa głowę wysoko ponad uszy. Słyszę jeszcze dwa wybuchy bomb na szosie i spostrzegam, że ani detonacje, ani groźny *gang* motorów nie robi na mnie jakoś większego wrażenia – zasypiam kamiennym snem.

Jest późny „urzędniczy” poranek, gdy budzą nas szoferzy. Zasnęliśmy bowiem wszyscy. Opony są już połatane, Niemców nie ma, polecieeli gdzieś dalej. Szosa jest prawie zupełnie pusta. Tylko od czasu do czasu przemyka szybko jakiś samochód. Szoferzy proponują aby jechać, korzystając z wolnej drogi. W nocy jedzie się bardzo powoli, niszczy motor i opony. Jadąc w dzień możemy posuwać się szybko i może do wieczora będziemy w Lublinie. Porucznik jest bardzo zadowolony z projektu. Żołnierze ładują się i ruszamy. Nie możemy wyciągać więcej niż 20 km, bo powierzchnia tej, przed tygodniem doskonałej szosy jest zdarta fatalnie i pełna dziur. Do południa nasza jazda przerywana jest kilkakrotnie potrzebą pompowania opon przyczepy, w których widocznie zostały jakieś szczeliny i ciśnienie szybko spada. Trzy razy mamy jeszcze naloty. Zostawiamy wozy pod drzewami a sami

leżymy w bruzdach na polu. Pola są już po obu stronach zaorane. Ostatni nalot przed południem zaskoczył nas koło jakiejś wioski. Samoloty lecą od Lublina, pikują widząc nas na pustej drodze. Za chwilę leżymy po rowach. Niemcy widocznie nie mają bomb, ostrzeliwują nas z wysokości kilkudziesięciu metrów. Naturalnie trwa to tylko chwilę, bo szybkość samolotów jest duża, a jest ich tylko trzy. Widać wyraźnie, jak kule rozpryskują kamyki na powierzchni szosy. Nikt nie został trafiony, jedziemy dalej. W wiosce znajdujemy w bocznej drodze olbrzymie, rozłożyste drzewo, pod którym urządzamy postój. Trzeba ludziom dać śniadanie. Nie ma oczywiście mowy o gotowaniu kawy, rozdajemy chleb i słoninę. Wszyscy jesteśmy kompletnie pokryci kurzem. Nasze niebieskie mundury lotnicze stały się zupełnie brunatne. Postój trwa najwyżej kwadrans. Napełniamy chłodnicę wodą, pompujemy koła i ruszamy dalej. Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi do Lublina. Naszą energię podnieca zapewnienie, że po dwudziestu kilometrach zacznie się „dobra” droga. Mimo wszystko tej drogi nie możemy się doczekać. Samoloty nas jakoś nie niepokoją. Mijamy miasteczko doszczętnie spalone. Pozostało tylko parę kominów. To Kurów. Na dymiącym się jeszcze pogorzelisku zaczynają się już kręcić ludzie, szukając jakichś szczątków ocalałego dobytku. Za stawem ocalała niewielka część miasteczka, kilkanaście chałup. Kręci się tam trochę żołnierzy. Na największym domku widzimy znak Czerwonego Krzyża. Dokoła domku na szosie i po rowach leży kilkanaście osób. Zabici i ranni. Lekarzy jeszcze nie ma. „Punkt sanitarny” utworzony został samorzutnie przez miejscową ludność. Obiecany wczoraj z Lublina lekarz dotychczas nie przybył. Lżej ranni opatrzeni są tymczasowo przez przejezdnych sanitariuszy wojskowych. Ciężej ranni zdołali już uspokoić się i nie potrzebują lekarza. Oglądamy to wszystko migawkowo, w przerwie potrzebnej szoferom na pompowanie opon. Pompujemy je teraz coraz częściej. Nie wytrzymują dłużej niż kilka kilometrów. Czy dojedziemy do Lublina? I czy tam dostaniemy zapasowe koła? Mamy nadzieję, że tak. Są tam przecież wielkie składnice wojskowe. Mamy jeszcze trzydzieści kilometrów. Ale już o parę kilometrów za Kurowem widzimy,

że dalej jechać nie sposób. Na szczęście zjawia się zza wzgórza jakieś osiedle. Nie zapisałem sobie jego nazwy i teraz już nie pamiętam (Garbów?). Jeszcze jedno pompowanie. Mijamy rynek brukowany straszliwymi „kocimi łbami”. Przy ostatnich niemal domkach osiedla, tonących w sporych ogrodach, urządzamy postój. Tu zatrzymamy się na dłużej. Opony trzeba zdjąć i łątać na nowo. Samochód i przyczepę zamaskowujemy gałęziami jako tako. Krajobraz wygląda niesamowicie. Na wiele dziesiątków metrów po obu stronach nie widać ani śladu zieleni. Nie od razu można się zorientować, czemu ta okolica wydaje się tak nierealna jakby z innego świata. Trawa, żywopłoty, drzewa ogrodów – wszystko jest zupełnie i jednolicie szare. Wszystko pokryte jest grubym kożuchem pyłu. Każde dotknięcie się do krzaka zamienia go w dymiący się komin, ale mimo to całej warstwy pyłu nie strząsa. Po niebie włączą się leniwie małe chmurki kłębiaste – nic nie zwiastuje deszczu. Po nocnym chłodzie dzień był niezwykle upalny. Zostawiamy szoferów z pomocnikami i kilkoma ochotnikami w podwórzu domu, zresztą całkowicie opuszczonego. Rozkłada się tam wielki „warsztat reperacyjny”. Z resztą ludzi idziemy w głąb ogrodu owocowego szukając cienia, aby odpocząć i ugotować obiad. Niewielkie, ale starannie sadzone jabłonie, jedyne drzewa w tym dwumorgowym chyba sadzie ogołocone są całkowicie z owocu, a liści mają tak skąpo, że na próżno pod nimi szukamy osłony przed ostrymi, palącymi promieniami słońca. Gospodarz zerwał wszystkie owoce, choć niedojrzałe i zadołował. Proponuje nam teraz kupno jabłek, ale są to tak twarde, zimowe gatunki, że nawet w prezencie byśmy ich nie przyjęli. Paru naszych „cwaniaków” zaczyna nawet urągać ogrodnikowi, że za niezdatne do użytku owoce chciałby wyciągnąć trochę żołnierskich groszy. Chciwego łyka czeka jeszcze gorszy wstyd. Parę młodych Żydówek, dowiedziawszy się że oddział „lotników” zatrzymał się w miasteczku, zjawia się w ogrodzie z dużym koszem jabłek i śliwek. Nie są to owoce piękne, wielkomiejskie, ale dojrzałe i otrzymujemy je w prezencie. Okazuje się, że tuż za parkanem ogrodu jest żydowski cmentarz i mali chłopcy żydowscy już nas wypatryli. Dziewczęta żydowskie zabierają się nawet do

skrobania kartofli do naszej zupy, co nasi chłopcy przyjmują oczywiście z wdzięcznością. Są nie tylko pomęczeni, ale straszliwie brudni. We wszystkich pobliskich podwórzach gdzie tylko są studnie, pożyczają się od mieszkańców szafliki i żołnierze po prostu kąpią się, ku ucieście dziewcząt.

Jestem na szosie i wysłuchuję opowiadań przerażonych mieszkańców, wśród których jest sporo uciekinierów z pobliskiego, spalonego Kurowa. Jest tu już tylko sama biedota. Zamożniejsi mieszkańcy uciekli dalej na wschód z całym cenniejszym dobytkiem. Połowa domków świeci pustkami. Według powszechnej tu opinii, Kurow został spalony przez dywersantów spośród miejscowych mieszkańców-Niemców. Bombardowanie wieczorem nie było duże. Jeden jedyny samolot rzucał bomby najmniejszego kalibru, tzw. „myszki”. W krótki czas po pierwszych wybuchach, pożary zaczęły się w pięciu miejscach naraz na krańcach miasteczka. Było to miasteczko przemysłowe. Niemiec sypał dziesiątki „myszek” w okolice pożarów. Uciekających w panice mieszkańców ostrzeliwał z karabinów maszynowych. Dziwnym trafem jest tylko kilkanaście osób zabitych. Ale poza tym zrozpaczeni i rozwścieczeni mieszkańcy dokonali samosądu i powiesili podejrzanych o podpalenie. Wydawałoby się, że dywersanci są już wszędzie i działania ich prowadzone są w sposób najrozmaitszy, pozornie chaotycznie-bezcelowy. Wszystko zmierza do powiększenia paniki i zamieszania. Podoficer z miejscowego posterunku żandarmerii, przemęczony, młody rezerwista, zaciąga się ze smakiem swoją machorką (w miasteczku już od dwóch dni nie ma nic do palenia) i uzupełnia mi obraz tragedii Kurowa. Władze wojskowe zdołały aresztować trzech najgorliwszych podżegaczy samosądu i, prawdopodobnie, oprawców. Jeden z nich został zdemaskowany jako niewątpliwy szpieg niemiecki. Dziś rano został powieszony na tym samym drzewie, gdzie wczoraj wieszał swe ofiary.

Tymczasem brzegi szosy zaczynają się zaludniać. Coraz więcej ludzi wędruje w stronę Lublina. Z małymi zawiązkami, plecakami, niektórzy prowadzą rowery, do których przymocowane są walizki, lub tobołki. Właściwie zjawisko to widzę już od dłuższego czasu, ale uderzyło ono moją świa-

domość dopiero wtedy, gdy jeden z przechodniów wydał mi się znajomy. Szybko żegnam się z żandarmem i doganiam przechodnia. Zaglądam mu w twarz. Ależ to chyba Michalak. Znany aktor warszawski, jeden ze zdolniejszych „amantów” młodego pokolenia. Nie jestem z nim osobiście znajomy, ale oczywiście nawzajem znamy swe nazwiska, i znamy się z widzenia. Zatrzymuję go, nie poznaje mnie od razu w mundurze. Jest zmęczony aż do jakiegoś otępienia. Nie wie ile już dni idzie tak piechotą od Warszawy. Wyszedł wraz z wielu, wielu innymi na rozkaz wydany przez radio, aby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni, opuścili Warszawę. Idą po drodze, którą przewalało się już tysiące uchodźców. Wsie i miasteczka przydrożne są огоłocone całkowicie z wszelkiej żywności, papierosów, mleka. Nawet noclegu nie może znaleźć wędrowca pieszy, uprzedzany wszędzie przez tych, co mają do rozporządzenia jakiś wóz, czy choćby rower. Śpią po polach lub w stogach, a noce są już bardzo zimne mimo dziennych upałów. Nam, w ciepłych płaszczach żołnierskich jest chłodno, coś dopiero im, tym tysiącom warszawiaków, wędrujących w letnich garniturkach. Nie mogę Michalaka zabrać na samochód i tak przeciążony, ale mu ofiarowuję bochenek chleba żołnierskiego i paczkę machorki. Nie chce czekać na zupę, bo ma nadzieję że jeszcze dziś dobrnie do jakiegoś pobliskiego folwarku, gdzie siedzą jego znajomi. Ma jeszcze tylko 15 km. Popędza go nadzieja, że dziś będzie spać pod dachem. Patrzę za nim przez chwilę, jak odchodzi wśród pyłu, wzbijanego jego chwiejnymi krokami. Ten chłopiec zawsze poruszał się na scenie z lekkością i gracją – dziś idzie jak Chinka. Znam taki krok, jakby z lekka pijany – to straszliwie odparzone nogi. Wiem, że gdybym powtórzył propozycję zupy, to chłopak, wygłodzony, zostałby na pewno, ale wiem też z doświadczenia, że na tak odparzonych nogach można iść przez wiele godzin – dopóki się na chwilę nie usiądzie. Potem się można tylko przewrócić, bo przez kilka dni nie da się zrobić ani jednego kroku. Miałem podobnie odparzone nogi po smutnym odwrocie z Białegostoku do Warszawy w 20 roku. W Warszawie, gdy dostałem 6-godzinny urlop i przyszedłem do domu, nie mogłem się już ruszyć. Mimo umycia i opatrzenia nóg najlepszą, „taternicką” meto-

dą. Dobrze, że z Warszawy oddział już jechał pociągiem do Torunia – na stację zajechałem dorożką.

Podczas obiadu mamy znów wizytę Niemców. Znów lecą od Lublina. To miasto „koncentracji” wojskowej musi być nieźle obrabiane. Dostajemy trzy piguły. Spadają na cmentarz żydowski tuż obok nas. Widocznie nasze niebieskie mundury, właśnie oczyszczone, były z góry widoczne. Dwaj żołnierze, spośród jedzących właśnie obiad, jeden obok mnie, są potłuczeni kawałkami piaskowca odbitego przez bombę z nagrobka. Mimo zmęczenia, a może właśnie dlatego, żołnierze jedzą mniej niż zwykle. Zupy zostaje bardzo dużo, bo kucharz liczył na podwójne apetyty. Wołamy biedotę miasteczka. Wybierają skrzętnie zupę i w zamian starannie myją nam kocioł.

Szoferom powodzi się źle. Łatanie „kiszek” jest pracą syzyfową. Jest w nich tyle szczelin, że niepodobna wszystkich odszukać, mimo zanurzania nadętych w balii z wodą i znaczenia ołówkiem chemicznym miejsc ukazywania się bąbków powietrza. Mimo dwugodzinnej pracy ośmiu ludzi – każde z czterech kół „puszcza”. Może jakoś dociągniemy do Lublina. Jest bodaj niecałe 30 kilometrów.

Ruszamy powoli i ostrożnie, żołnierze idą pieszo. Po wielu postojach, niezbędnych na dopełnianie powietrza w oponach, o zachodzie jesteśmy już prawie pod miastem. Widnieje ono na horyzoncie ze smugami dymów dwóch dużych pożarów. Dym jest w czystym, przedwieczornym niebie rzadki i jasny – to już dopalające się pogorzeliska. Nagle aż dwa koła razem pękają. Opony są tak podarte, że nie ma mowy o dalszej jeździe. Kilka dziur, zaklejonych w południe, połączyło się teraz w jedną olbrzymią wyrwę. Zanim przeciążony Fiat zatrzymał się, nawet obręcze kół zostały pogięte na zharataną szosie. Już nam teraz nie wystarczy nowe opony – musimy dostać całe koła, albo nie pojedziemy wcale.

W odległości mniej niż kilometr w lewo od szosy widnieją zabudowania folwarczku. Ruszamy polną drogą w tym kierunku z okaleczoną ostatecznie przyczepą. Na folwarku nie ma uchodźców – wszyscy starają się dobrać do pobliskiego już Lublina. Tu się zatrzymujemy. Umieszczamy

żołnierzy w stodole, maskujemy przyczepę słomą przy wielkim stogu. Wypijamy szybko kawę i wraz z porucznikiem i paroma żołnierzami jedziemy, częściowo rozładowanym Fiatem, do miasta.

Lublin jest przepełniony wozami, samochodami wszelkich marek i typów, uchodźcami. Straż cywilna usiłuje regulować ruch na ulicach, co jest zadaniem wielce skomplikowanym, gdyż wiele ulic jest zamkniętych dla ruchu. Wyrwy w jezdniach po bombach uniemożliwiają jazdę. Robi się już ciemno. Jeździmy z jednego końca miasta na drugi, szukając naszego sztabu. Drogę, tu i ówdzie, oświetlają nie dogaszone pożary. Wreszcie odnajdujemy ślad naszego sztabu – był, ale rano wyjechał do Łucka. Tam mają ściągać wszystkie oddziały, przynależne do naszej grupy. Coraz bardziej nam się to zaczyna nie podobać. Nasz sztab „ewakuuje” się coraz dalej, nie troszcząc się o łączność i wydanie rozkazów podwładnym oddziałom. Komenda miasta kieruje nas do Łucka właściwie na własną inicjatywę i „wyczucie”. Resztki urzędów państwowych, które instalowały się tu od paru dni, w pośpiechu opuszczają miasto. Ruch zaczyna się dopiero po zmroku. W dzień miasto było dziś siedmiokrotnie bombardowane. Teraz, już po zapadnięciu ciemności, mamy nowy nalot. Panika, jaka powstaje w urzędzie, gdzie zasięgamy informacji o adresach wojskowych składnic samochodowych, działa i na nas. Nie możemy jednak pozostawić naszego Fiata, a ruszyć się nie można w zatarasowanej ulicy. Nalot jest zresztą krótki, parę wiązek bomb zapalających, dość daleko od nas. Za chwilę robi się widniej – łuny trzech wielkich pożarów oświetlają miasto. Pomaga to nieco rozładować zatory na ulicach. Samochody osobowe, ze szczególną obfitością luksusowych Chevroletów, biegają tu i tam, poszukując arterii wylotowej na Chełm. Dowództwo wojskowe wydało surowy zakaz jazdy tą drogą od świtu aż do zmroku bez specjalnych przepustek. Jakoby dlatego, aby nie wskazywać lotnikom niemieckim najważniejszej arterii ewakuacyjnej.

Całe godziny trwa nasza wędrówka poprzez ulice Lublina. Jeździmy od składnicy do składnicy, szukając kół do przyczepki. Mamy ze sobą jedno, na miarę. Dowództwo

składnic wie, że takie koła są, ale nie może ustalić gdzie je zmagazynowano. Po wizycie w drugim kolejno składzie naszą wędrówkę urozmaica regularny nalot. Pierwszy miał tylko zapalić coś w mieście, aby ułatwić zadanie młodym, niewprawnym pilotom niemieckim, seryjnie fabrykowanym przed wojną. Rzucają bomby byle jak, ale gęsto. Wracamy innymi ulicami, niżeśmy przyjechali, bo droga jaką zrobiliśmy przed kwadransiem jest już nie do użytku. Wydostajemy się na Krakowskie Przedmieście – znów zawód. Jedziemy do ostatniej składnicy, gdzieś na przedmieściu. Jesteśmy na jakimś placu – nie znam Lublina prawie wcale więc nie mogę się zorientować – mamy motory prawie w zenicie. Bomby zaczynają gwizdać. Zatrzymujemy samochód i skaczemy do rowów wykopanych na pustym placu budowlanym. Kilka bomb spada w pobliżu. Jedna trafia w otwarty wóz Buick, stojący o 10 m od naszej ciężarówki. Jest to bomba zapalająca i samochód staje w płomieniach. Biegniemy do naszego Fiata i czym prędzej odsuwamy się za róg najbliższej ulicy. Za chwilę bak płonącego samochodu eksploduje – całą ulicę zalewa płonąca benzyna. Mimo bombardowania ruch samochodowy prawie nie słabnie. Jest tylko bardziej chaotyczny, bo nie ma posterunków regulujących ruch. Na każdej ulicy spotykamy porozbijane samochody. Jedziemy, mimo że wszyscy czujemy ordynarny, zwierzęcy strach. Co parę minut gwizd bomb zmusza do zatrzymywania samochodu i wyskakiwania na bruk, krycia się w rowach, czy po prostu padania na ziemię. Los rannych jest potworny. Jakieś organizacje zbierają ich z ulic, ale ranni leżą po bramach domów na kamieniach. Nie ma lekarzy, nie ma sanitariuszy wykwalifikowanych, brak opatrunków, mimo że gdzieś w Lublinie znajduje się olbrzymia składnica sanitarna ewakuowana tu z Powązek.

Docieramy nareszcie do naszej składnicy samochodowej. Koła tego typu są, owszem, ale nie wiadomo gdzie. Proponują nam, abyśmy sami sobie poszukali. Dziedziniec zavalony jest setkami pak. Robota jest beznadziejna. Zajęłaby wiele godzin pracy w dzień, a coś dopiero po nocy. Paki nie mają żadnych napisów – trzeba każdą otwierać, aby się przekonać, że są w niej opony najróżniejszych wymiarów

pomieszane bez składu i ładu. Rzeczywiście, „ewakuacja” musiała być pośpieszna. Sytuacja staje się nie do rozwiązania.

Wreszcie dowódca składnicy, zamiast kół daje nam radę. Po co ma pan, poruczniku szukać kół, to jest po prostu niewyko-nal-ne. Rzuć pan do diabła tę przyczepę i bierz pan jakiś inny wóz. Tu stoi kupa zarekwirowanych wozów. – „Nie mam żadnego uprawnienia”. – „Niech pan nie będzie dzieckiem! Ja panu daję uprawnienia, chodźmy, zobaczymy co tam jeszcze zostało”. Idziemy z tym, watażkowatym majorem. Na placu stoi kilkanaście maszyn, przeważnie autobusy osobowe. Są dwa miejskie z Warszawy, ale uszkodzone. W ogóle trzy czwarte wozów to wraki. Nasz szofer znajduje jednak jakiś autobus linii Dubno-Łuck, który ma wprawdzie rozdarty bok karoserii, ale koła i opony całe i motor w porządku. Decydujemy się zabrać wóz, tylko co będzie z benzyną? Nasz zapas nie był obliczany na tak długą podróż i na dwa wozy. Major i na to znajduje radę – daje porucznikowi kartkę, o 4 rano możemy wziąć benzynę wprost z cystern na dworcu towarowym. Tymczasem znajduje się także i szofer zarekwirowanego autobusu, prosi aby go zabrać do Chełma, gdzie ma rodzinę, może tymczasem wóz prowadzić.

Wracamy do folwarku, gdzie zatrzymaliśmy się na noc. Jest już po drugiej – tyle czasu zajęły nasze poszukiwania lubelskie. Wydostajemy się do naszego oddziału z wielkim trudem, jadąc „pod prąd” ewakuacji. Budzimy natychmiast ludzi. Ładujemy naszego Fiata. Prowiant i rzeczy z przyczepy idą do autobusu, gdzie pomieści się również cała załoga stacji. Pośpiesznie łatamy blachę karoserii, wybite okna oczyszczamy z resztek szyb i zasłaniamy dyktą. Na dach autobusu, przeznaczony na bagaż, ładujemy z wielkim trudem trzy butle wodoru. Więcej nie można, bo karoseria nie wytrzyma ciężaru. Resztę wodoru musimy porzucić. Wszystko jednak musi być formalnie, spisujemy odpowiedni protokół, podpisuje porucznik i Jafra. Tymczasem ja z paroma ludźmi zakopujemy pozostałe dziewięć butli w polu. Tak głęboko, aby pług nie mógł zaczepić przy orce.

Na przyczepę ma wielką ochotę gospodarz. Zgadza się mu ją zostawić, ale go ostrzegamy, że Niemcy mogą mu robić

przykrości, jeżeli ją znajdą, bo jest to sprzęt typu wojskowego. Musi ją przerobić. Po wizycie w Lublinie i rozmowach w tamtejszych centralach, nasz porucznik nie ma już najmniejszych wątpliwości, że Niemcy tu przyjdą i to bardzo szybko. Żadnej linii oporu aż do Bugu na pewno nie ma. Drobne oddziały, mające opóźnić marsz nieprzyjaciela, niewiele potrafią zdziałać przeciwko patrolom tankowym. Nie mają ani broni przeciwpancernej, ani żadnych realnych środków obronnych przed tankami. Jeżeli oddziały takie mają zdeterminowanych dowódców, to szybko znajdą się poza „linią” i staną się de facto oddziałami partyzanckimi.

Wyruszamy o brzasku. Jedziemy teraz dużo sprawniej – ciężarówka i duży autobus osobowy. Manewrujemy przez ulice Lublina ku stacji towarowej. Teraz w półświecie dnia oglądam ulice, którymi przejeżdżaliśmy w nocy. Bardzo niewiele punktów udaje mi się rozpoznać. Dopiero obszerny plac ze szkieletem spalonego Buicka rozpoznaję na pewno. Rów, gdzieśmy leżeli ukryci przed bombami, już nie istnieje. Zasypany jest rumowiskiem kamienicy rozbitej widocznie bombą wkrótce po naszej rejteradzie. Szkody i zniszczenia uliczne w świetle dnia wydają się jednak znacznie mniejsze niż po nocy. Ulice zaczynają się już wypełniać ludźmi z tobołkami.

Stacja towarowa. Dostajemy benzynę. Możemy jej wziąć właściwie tyle ile chcemy. Nikt nie pilnuje porządku, bałagan idealny. Wartownicy wprowadzie legitymują przy wjeździe i żądają okazania uprawnienia do pobrania benzyny, ale wewnątrz nie ma nikogo z „władz”. Napełniamy naszą beczkę dobrze już opróżnioną, napełniamy także beczkę po wodzie destylowanej, którą kazałem wylać. Nasz szofer, myszkujący tymczasem między wagonami, znalazł w jednym dwie puste konwie od mleka. I te naczynia napełniamy benzyną. Oba baki mamy też pełne. Musimy się spieszyć bo już wkrótce zaczyna się świt – widno jest prawie zupełnie, a po wzejściu słońca musimy już być zamaskowani, a przynajmniej zejść z szosy. Dobrze, że nie potrzebujemy już jechać przez miasto. Ze stacji kolejowej (towarowej) mamy parę minut drogi do szosy chełmskiej. Będziemy nią jechać tylko kilka kilometrów, bo dzienny postój zamierzamy urządzić w pobliskim majątku,

własności krewnych jednego z naszych żołnierzy. Dopiero teraz orientuję się, że nazwisko Drecki jest „arystokratyczne”, choć nie nadaje się do nazbyt dumnego obnoszenia. Jakiś Drecki-Lubecki zamieszany był w mocno nieprzyjemny proces kryminalny. Szczegółów już nie pamiętam, ale wiem, że rodzina potem, dla niepoznaki, obciąła drugą część nazwiska. Nikt nie jest odpowiedzialny za swych krewnych, a ten żołnierz, a właściwie starszy strzelec (z cenzusem) jest inteligentnym żołnierzem, chętnym do pracy, po prostu bez zarzutu.

Pierwsze promienie słońca pokazują się na horyzoncie, gdy skręcamy z szosy w drogę polną i po kwadransie wjeżdżamy do parku majątku Dreckich.

W wąskiej alei tak obrośniętej drzewami, że tworzą szczelną kopułę, ustawiamy wozy, a sami rozkładamy się opodal na trawie pod drzewami. Porucznik wydaje surowy zakaz wysuwania się spod przykrycia. Dostrzeżenie żołnierzy w majątku mogłoby wywołać zbombardowanie zabudowań, a dotychczas Niemcy tego podobno unikają. Kucharz gotuje nam kawę (w majątku jeszcze wszyscy śpią), po czym nasz Drecki znajduje kogoś ze znajomej służby, kto odważa się bez rozkazu dziedziczek dostarczyć nam gorącej wody do mycia z odpowiednim asortymentem kubłów, miednic i garczków. To jest prawdziwy komfort. Myjemy się gruntownie, a starsi z nas szczególnie starannie opatrują nogi. Dotychczas nie musieliśmy maszerować, ale to każdej chwili może się zdarzyć, toteż nogi muszą być utrzymane w najlepszym stanie. Po wymyciu nacieramy je tłuszczem, na to idą grube, wełniane mimo lata skarpety, na to lniane onuce i dopiero buty. W takim opakowaniu nogi grube, sztywny but wojskowy nie tylko nie przeszkadza w dalekim marszu, ale przeciwnie, znakomicie pomaga. Można spokojnie maszerować dziesiątki kilometrów po bezdrożach. Ciekawe że tak wiele myślę o marszach i o nogach, gdy w naszej, meteorologicznej służbie właściwie nie ma to żadnego znaczenia. Będziemy zazwyczaj jeździć. Widocznie, nie tylko u mnie, są to reminiscencje z poprzedniej „mojej” wojny, gdzie marsze pośpieszne i codzienne dobrze mi się dały we znaki i przyniosły cenne doświadczenie – umiejętność obchodzenia się z nogami.

Inni, młodzi żołnierze patrzą trochę na nas jak na starych dziwaków, którzy nie wiadomo dlaczego tak się cackają z nogami.

Daję żołnierzom przykład (wiem że rozkazy i zalecenia nic by nie wskórały, trzeba ich „zarazić”) i zaczynam prac bieliznę. Trzeba przecież wynaleźć dla nich jakieś zajęcie: mają siedzieć cały dzień na tym małym skrawku trawnika bez książki, bez jakiegokolwiek gry. Szybko cała stacja zaczyna prac. Zresztą należało się to uczciwie. Od wyjazdu z Okęcia mieliśmy stałe „pogotowie”, a więc spanie w mundurze. W ten sposób schodzi czas do obiadu. W bieliźnie możemy też wysuwać się spod drzew, w tym też stroju nosimy uprane sztuki na dalszą część trawnika, która jest już w słońcu. Z daleka wygląda to zapewne jak bielenie płótna. Do południa trzykrotnie przelatują nad nami małe eskadry, ale nie zwracają na nas żadnej uwagi.

Obiadu nie gotujemy. Przynoszą nam z kuchni dworskiej ugotowaną na sposób wojskowy gęstą zupę z mięsem i kartoflami. Tym się tylko różni od naszej zwykłej, że mięso w niej jest z drobiu. Po obiedzie szef zarządza spanie. Chodzi nam przede wszystkim o szoferów, którzy byli już dość zmęczeni dotychczasową podróżą, a czeka ich nowa noc. Jazda po nocy bez świateł, w tłoku szosy ewakuacyjnej nie należy do najłatwiejszych zadań.

Cała prawie stacja śpi, kilku tylko wykradło się do zabudowań dworskich z dziewczętami.

13 września

Z majątku pod Lublinem wyjechaliśmy znacznie później niż zamierzaliśmy. Okazało się, że nasz autobus ma jakieś ukryte felery i motor nie chciał „zaskoczyć”. Szofer (cywil) nasłuchiwał się niemało „wielopiętrowych błogosławieństw”, którymi mistrzowsko operuje nasz szofer wojskowy, łodzianin, że nie dbał zupełnie o maszynę. Rusin jednak nie zwraca na to uwagi, nie czuje się już „szoferem” tej maszyny. Rad jest że dojedzie do domu i tyle. Musimy popychać całą stacją autobus po drodze z pół kilometra, zanim włączane sprzęgło

wreszcie uruchomiło motor. Kiedy wydostajemy się na szosę noc jest zupełna. Jedziemy jednak dość szybko, bo samochody zdążyły już dawno przejechać, szosą wlecze się tylko nieskończona karawana furmanek, a że w stronę Lublina nie jedzie już nikt, więc ciągniemy lewą jak się da najszybciej. Jesteśmy podzieleni w ten sposób, że szef z porucznikiem jedzie na przodzie ciężarówką, a ja z resztą ludzi autobusem. W ten sposób jestem jakby dowódcą tego wozu, co mi bardzo nie dogadza. Wyznaczam więc młodego, zawodowego kaprała komendantem wozu, a sam siedzę przy szoferze i uważam aby się nie zdrzemnął przy kierownicy. Po przemęczeniu i przy tak monotonnej jeździe po ciemku jest to bardzo normalne.

Nie wiem o której minęliśmy Chełm, zostawiając w nim cywilnego szofera. Jacyś miejscy funkcjonariusze pilotowali nas przez miasto, ciemne i nieznane. Z wielkim przejęciem opowiadali nam o bombardowaniu miasta, które dostało aż 4 bomby.

Szosa jest coraz lepsza, coraz mniej „zniszczona”, chwilkami jedzie się doskonale. Trzymamy się dość często szybkości prawie 40 km. Wozy wyminęliśmy już przed Chełmem. Teraz jest droga dużo wolniejsza. Jadą prawie wyłącznie transporty wojskowe. Od czasu do czasu w bardzo szybkim tempie mijają nas luksusowe limuzyny – trudno dostrzec cywilne czy wojskowe. Mimo zakazu wszelkich świateł, co chwila błyskają reflektorami.

Dojeżdżamy do jakiegoś dużego mostu, zapewne na Bugu. Sama rzeka jest tu bardzo nieduża, ale ma obszerne rozlewiska po obu stronach, toteż wiadukty po obu stronach mostu mają po kilkaset metrów. Wszystko drewniane. Przed wjazdem na wiadukt czekamy dość długo. Jest tu silny posterunek wojskowy, surowa kontrola wozów i ludzi. To nam bardzo dodaje ducha. Może istotnie za rzeką zacznie się już jakiś porządek, coś się organizuje. Jakaś rzeczywista linia oporu.

Przez most saper prowadzi nas, idąc przed samochodem i wskazując drogę. Żadnego światła nie wolno mieć. Papierosów też. Most ma być jakoby podminowany tak, że nawet szybsza jazda może go wysadzić w powietrze. Coś mi to pach-

nie głupią bajką. Tak się mostów nie minuje, bo wystarczyłaby bomba lotnicza, eksplodująca o kilkadziesiąt metrów od mostu, aby został on zniszczony. Na najważniejszym szlaku ewakuacyjnym! Chyba że jesteśmy już w ostatnich falach odwrotu i most będzie lada godzina zerwany.

Jedziemy dalej. Szosa jest niemal wolna. Teraz już nie wiem, czy wyminęliśmy tłum ewakuacyjny, czy też główna masa, przeznaczona do uratowania pozostawiła nas daleko za sobą. Dojeżdżamy do jakiegoś miasta. Mały postój i narada z dowódcą. Prawdopodobnie Włodzimierz. Do rana jest niedaleko. Zastanawiamy się czy nie nocować przy tym miasteczku. Wyciągamy nasz mapnik, aby zbadać dalsze etapy drogi do Łucka. Wielka teka, przygotowana w zapasach mob. Doskonała robota introligatorska, przemyślny zatrzask, uchwyt na blok do notatek. Przy skąłym świetle latarek ręcznych otwieramy mapnik i szukamy odpowiedniego arkusza. Są to doskonałe mapy sztabowe, tzw. centymetrowe, tzn. centymetr na mapie odpowiada kilometrowi w terenie. Niestety, niestety. Przeznaczeni byliśmy do innych terenów. Nasz mapnik zawiera tylko odcinki Prus, aż do Królewca i część Śląska, aż poza Wrocław. Porucznik wyraża się nieco dosadnie, ale trudno mu odmówić trafności tych określeń pod adresem referenta mob. Jedyna mapa jaką mamy jest na wpół szkolną, na wpół turystyczną mapą całej Polski, jaką przypadkowo miał ze sobą Jafra. Nie wystarcza ona, oczywiście, do orientacji w terenie, toteż będziemy musieli jechać „z językiem”.

Próbujemy znaleźć nocleg w którymś z zabudowań podmiejskich. Bezskutecznie. Wszystko zajęte. Miasto jest przepełnione wojskiem. Decydujemy jechać dalej. W przejeździe przez miasto któryś z żandarmów regulujących ruch informuje mimochodem, że dużo oficerów lotniczych jest w mieście. (Nasze mundury różnią się tak wyraźnie kolorem, że nawet po nocy łatwo jest nas rozpoznać). Wzbudza to nasze zainteresowanie.

Muszę cofnąć się na chwilę z opowiadaniem. Zapomniałem zanotować jak doszliśmy do trzeciego samochodu. Zaraz za Chełmem zaczęło się sporo „trupów” samochodowych przy drodze. Samochody rozbite, uszkodzone, lub po prostu

porzucone z braku benzyny. Nie ma bardziej „rasowego” szofera, który by nie przystanął obok ciekawiej wyglądającego samochodu i nie obejrzał co by się z niego dało zabrać. Tak też i my przystawaliśmy, choć jadący przed nami zdążyli już wozy spenetrować. Ale w każdym razie zebraliśmy odpowiedni zapas dobrych świec, kilka kluczy, a nawet koło zapasowe do autobusu. Gdzieś już niedaleko mostu zobaczyliśmy małego Fiata, na oko zupełnie bez uszkodzeń. W środku siedzi szofer i broni rabunku. Ale na co czeka? To może być coś podejrzanego. Porucznik sam zainteresował się tajemniczym samochodem. Szofer, młody chłopak, może 17-letni zaciąga się zachłannie ofiarowanym papierosem i zaczyna popłakiwać. Jest gdzieś z Pomorza. Zgodził się na szofera w dniu ewakuacji, nie wie kim był jego pan, ale miał dość pieniędzy. I tego Fiatka. W drodze aż dotąd powodziło im się dobrze. A tu skończyła się benzyna. Więc pan kupił na szosie wóz z koniem, zabrał swoje walizki i pojechał sam, a szoferowi zostawił sto złotych i oświadczył, że mu daje samochód w prezencie. Zresztą istotnie oddał papiery wozu. Chłopiec siedzi tu już 36 godzin bez jedzenia i bez snu, bo pilnuje aby nie rozebrano wozu na części i nie wie co ma dalej robić. Rzeczywiście, sytuacja dość trudna. Porucznik rozmawia z nami po cichu, zastanawiając się, czy możemy z naszych zapasów dać temu chłopcu parę litrów benzyny, aby dojechał choć do miasta. Boimy się jednak, że po drodze możemy nie dostać łatwo tego płynu, który staje się coraz cenniejszy. W Chełmie porucznik dał już 10 litrów znajomej żonie oficera, która nie mogła jechać dalej swoim wozem z dziećmi. Cywilni uciekinierzy proponowali już żołnierzom kradzież benzyny, ofiarowując 25 dolarów (w walucie!) za litr.

Tymczasem chłopiec zaczyna nas prosić, abyśmy go wzięli ze sobą. Jak to wzięli? „A no zwyczajnie. Zostawię wóz w pierony i będę przy wojsku. Co mam z sobą robić? Weźcie mnie na ochotnika”. Porucznik decyduje więc wziąć go, ale razem z samochodem. Jest to prawie nowy wóz. Ma tylko uszkodzony błotnik w jakiejś awarii ewakuacyjnej. Nalewamy benzyny i porucznik wsiada do Fiatka, jadąc na przedzie.

Postanawiamy zatrzymać się we Włodzimierzu za wszelką cenę. Pytamy żandarma o rozlokowanie wojska. Okazuje się,

że poza linią kolejową jest jeszcze kilkanaście domków, gdzie wojska nie ma. Mijamy miasto i za przejazdem kolejowym znajdujemy doskonałe miejsce postoju. Dziedzinec mieści się w głębokim jarze, zamkniętym dużą stodołą. Zbocza jaru zarośnięte drzewami liściastymi. Gospodarz, samotny wdowiec, kolejarz, przyjmuje nas chętnie. Maskujemy pojazdy w jarze. Stodołę zamieniamy w koszary. Mamy ze dwie godziny do świtu.

O świcie budzę paru żołnierzy i gotujemy kawę w kuchni gospodarzy, a porucznik „swym” wozem jedzie do miasta. Po godzinie wraca w doskonałym humorze. Jest nasz sztab! Nareszcie porucznik zdołał się z nimi rozmówić. Zostajemy tutaj. Jutro mamy objąć jakieś lotnisko polowe i wtedy zostanie wyznaczone miejsce na uruchomienie stacji meteo. A więc nareszcie zaczniemy pracować. Doskonały nastrój ogarnia całą załogę stacji. Porucznik zdobył nawet umundurowanie dla nowego, nadetatowego żołnierza. Wciągam go na listę. Porucznik zarządza uroczyste złożenie przez niego przysięgi żołnierskiej. Nasze dwanaście karabinów prezentuje się jak na paradzie. Chłopiec jest wzruszony – został żołnierzem RP.

Po ceremonii praca zawrzała. Wszystkie samochody są poddane szczegółowej inspekcji i czyszczone. Okazuje się, że motor autobusu jest bardzo zdezelowany, a chłodnica powoli ale sączy. Na dłuższym postoju trzeba będzie pomyśleć o generalnym remoncie. Tu nie ma czasu, bo spodziewamy się że jutro wyruszymy na miejsce pracy. Radosnego podniecenia nie rozpraszają nawet bombowce niemieckie, które dwukrotnie w tym dniu bombardują stację kolejową, położoną o paręset metrów od nas. Gwizd bomb jest niezwykle przeźliwy. Tak głośno gwizdzące słyszę po raz pierwszy.

Stacja zapchana jest transportami. Pod bombami długie pociągi wojskowe zaczynają wymykać się ze stacji, gdzie zaczyna się prawdziwa masakra. Do samolotów strzela jedno działo i dwa karabiny maszynowe.

Opada nasz nastrój, gdy nasz gospodarz wraca wieczorem i przynosi wiadomość o setkach zabitych na stacji i w mieście. Przypuszczam, że jest w tym dużo przesady i już zaczynam się złościć, gdy mówi o kolejarskich nowinach jakoby Niemcy

przeszli Bug i byli o 20 km od miasta. Wydaje się nam że to jest na pewno robota dywersyjna, znajdująca posłuch może dlatego, że kolejarze otrzymali zarządzenie, iż w żadnym wypadku nie wolno się im ewakuować i mają pozostać na swych stanowiskach nawet w razie zajęcia miasta przez nieprzyjaciela.

Po kolacji wyszedłem w stronę miasta, aby kupić, jeśli się uda, trochę machorki. Niespodziewanie dostałem aż dwie paczki, ale zdziwiło mnie kopanie rowów przeciwtankowych na ulicach wylotowych i okopywanie polówek. Armaty polowe na ulicach miasta? Nie mogę spać. Siedzę w pokoju gospodarza i korzystając ze światła trochę rozmyślam, trochę piszę.

14 września

Zaledwie położyłem się wczoraj spać, zbudził mnie wartownik, oznajmiając że na szosie dzieje się coś dziwnego. Nie wie czy nie trzeba budzić porucznika. Rzeczywiście, szosą na Łuck, która przebiega obok nas, jedzie w pośpiesznym tempie olbrzymi sznur wozów i samochodów. Wygląda to już nie jak ewakuacja, ale bezładna ucieczka. Chcę zasięgnąć języka, ale nie mogę na szosie zatrzymać żadnego wozu. Jest już dość późno, za chwilę zacznie się rozwidniać. Po chwili wahania decyduję się obudzić porucznika. Poleca on zarządzić zbiórkę i przygotować na wszelki wypadek kawę, a sam swym małym samochodem pojechał do sztabu. Gdy wrócił po godzinie, bo jazda „pod prąd” nie należała do łatwych, żołnierze byli już po śniadaniu, a wozy w całkowitym pogotowiu. Okazuje się że miasto jest pospiesznie ewakuowane i Niemcy są o niespełna 15 km. Zbliżają się skokami, poważną kolumną tankową. W mieście zostają tylko formacje przeznaczone do obrony miasta, a wszystkie inne oddziały wycofują się. Nasz sztab zwiął zaraz po północy, znów „zapomniawszy” zawiadomić podległe sobie jednostki. Zresztą uciekali tak pośpiesznie, że na kwaterze zostało sporo rzeczy! Porucznik z triumfem przywiózł dwa piękne białe koce. Sztab prawdopodobnie pojechał do Łucka.

Wobec tego i my musimy jechać i to zaraz. Wyruszamy

zanim jeszcze wzeszło słońce i jedziemy dość szybko. Na szosie są już tylko nieskończone szeregi wozów chłopskich, „podwód” wiozących piechotę, bardzo kiepsko umundurowaną i źle uzbrojoną. Całe oddziały nie mają jeszcze karabinów. Większość nie ma zupełnie amunicji. Widok jest po prostu rozpaczliwy. Zziębnięci, nieludzko zmęczeni rezerwiści, przeważnie w starszym wieku, pędzeni są już od wielu dni z miejsca na miejsce, nie mogąc doczekać się sformowania regularnych oddziałów. „Oddziały” prowadzone są przeważnie przez podchorążych, nie mogących sobie zupełnie poradzić z wydobyciem odpowiedniego zaopatrzenia, choćby tylko żywnościowego, nie mówiąc już o jakichś określonych rozkazach. Na każdym punkcie postoju otrzymują inne informacje i inne zarządzenia, przeważnie improwizowane przez miejscowych komendantów etapu, również pozbawionych odpowiedniej łączności z centralnymi władzami wojskowymi. Wojsko jest tu już tylko sypką masą drobnych jednostek. Czy gdzieś dalej znajduje się jakiś ośrodek koncentracji?

Pomiędzy podwodami jest sporo wozów cywilnych uchodźców, wędrujących wraz z całymi rodzinami. Jedziemy lewą stroną szosy, bo w kierunku od Łucka nie ma żadnego ruchu. Porucznik w małym Fiacie jedzie znacznie przed nami i toruje nam drogę.

Zaraz po świcie szosa zaczyna pustoszeć. Wozy wojskowe, a za nimi i cywile, zatrzymują się na postoje dzienne we wszystkich możliwych miejscach ukrycia: laskach, coraz rzadszych na Wołyniu, po chałupach wiejskich, tu przeważnie dość odległych od traktu.

My jedziemy naprzód, gdyż nigdzie na horyzoncie nie widać śladów samolotów. Koło 10 rano mijamy jakąś wioskę przepełnioną kawalerią. Wczoraj samolot niemiecki dostrzegł tu żołnierzy i bombardował wieś. Rzucił zaledwie parę bomb, ale wywołał panikę koni, których dość dużo padło, bo się wzajemnie pokaleczyły tak, że sporo trzeba było dobić. Dowódca oddziału, rotmistrz, wydaje naszemu porucznikowi rozkaz opuszczenia szosy w ciągu 15 minut, gdyż spodziewa się dziś również nalotu. Nie ma co dyskutować. Jest rangą starszy, a teraz nikt nie pyta o uprawnienia do wydawania

rozkazów. Porucznik wobec tego żąda wyznaczenia kwater. To mityguje zapędy rotmistrza do komenderowania naszą stacją. Dowiadujemy się że możemy robić co się nam, zapier... podoba, ale posterunki ułańskie jakoby rozłożone na znacznej przestrzeni wzdłuż szosy mają rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do każdego, kto po 10.30 będzie jechać szosą. Mamy więc jeszcze trochę czasu – jedziemy dalej. W przepełnionej końmi i ułanami wsi nie moglibyśmy nawet marzyć o znalezieniu miejsca dla samochodów i ludzi. Nigdzie co prawda w pobliżu nie dostrzegamy „posterunków ułańskich”, ale skręcamy z szosy w pierwszą drogę polną, widząc o parę kilometrów jakieś zabudowania folwarczne.

Gospodarz, Ukrainiec, przyjmuje nas bardzo gościnnie, ale obawiając się nalotu prosi o wprowadzenie samochodów do stodół. Są one tak wielkie, że w jednej mieścimy wszystkie nasze wozy. Ludzie mają surowy zakaz wychodzenia ze stodoły. Będziemy tu stać do zachodu. Szoferzy i prawie wszyscy inni zabierają się wobec tego do naszego autobusu. Podoficerowie pracują na równi z innymi. Rozbieramy i czyszcimy świece, rozrządnik, karburator, koła. Praca wre jak w prawdziwym warsztacie samochodowym. W ten sposób czas prędzej schodzi i nie będziemy się nudzić. Okazuje się że nasz autobus to jest stary grat, w którym na pewno będzie się ciągle coś psuć. Trzeba się z nim cackać jak z zepsutym jajkiem... Chłodnica zaczyna coraz lepiej przeciekać, ale na to nic poradzić nie możemy – nie mamy narzędzi do lutowania. Trzeba wziąć zapas wody i dolewać po drodze, póki nie uda się zdobyć lutownicy i lutu. Po obiedzie samochody są doprowadzone do porządku. Jeszcze mamy parę godzin czasu, wyjedziemy przed zachodem, aby wykorzystać możliwość szybszej jazdy za widna. Notuję zdarzenia dnia. Samoloty, które kilkakrotnie przeciągały nad nami przed południem, nie fatygują się żadnymi działaniami wojennymi.

16 września

Krzemieniec. W lecie tego roku zastanawiałem się czy nie przyjechać tu na międzynarodowe uroczystości ku czci

Słowackiego, zapowiadane na drugą połowę września w Krzemieńcu. Nie miałem kogo wysłać, bo Breza miał czas zupełnie zakorkowany, a sam nie chciałem na kilka dni opuszczać redakcji w okresie ostatecznych przygotowań do „rozkręcania” naszego tygodnika, ani też nie czułem się dość mocny w „słowackologii”, aby tu z korzyścią pracować. Sprawa pozostała w zawieszeniu i tylko na wszelki wypadek zacząłem się rozczytywać w Kleinerze i Hoesicku. Teraz jestem w Krzemieńcu, ale uroczystości się nie odbędą. Przy najmniej w tym roku.

Po opuszczeniu ostatniego, przed Łuckiem, miejsca postoju, jechaliśmy bardzo długo. Szosa skończyła się dość szybko, a właściwie musieliśmy ją porzucić, bo przed samą wojną zarządzone były poważne remonty szosy i urządzone objazdy drogami polnymi. „Drogi” te zostały tak poniszczone przez ruch ewakuacyjny, że trzeba było z dużym trudem szukać dalszych objazdów. Mimo suszy przez wiele „dróg” nasze samochody nie mogły przejechać. Do Łucka dobrnęliśmy koło południa. Zatrzymaliśmy się na głównej arterii przelotowej w środku miasta. Porucznik poszedł szukać sztabu, a my narzędzi blacharskich i lutowniczych. Nasza chłodnica cieknie coraz gorzej. Przy wjeździe do miasta widzimy pośpiesznie kopane rowy przeciwtankowe i ustawiane pojedyncze działa polowe. W Łucku!

Znałem to wojewódzkie miasto przed jedenastu laty. Przyjeżdżałem tu wielokrotnie, jako do ośrodka emigracji zamorskiej z południowo-wschodnich dzielnic Kraju na inspekcje i wywiady. Obecnie nie poznaję miasta. Rozbudowało się i zeuropeizowało znakomicie. Pamiętam go w postaci przypominającej bardziej małe brudne miasteczko, nawet nie powiatowe w dzielnicach centralnych, niż stolicę Wołynia. Obecnie ulice są uporządkowane, choć zabrukowane fatalnie „kocimi łbami”. Wyrosło sporo zupełnie przyzwoitych kamienic.

Podczas postoju na ulicy zastaje nas nalot. Jakiś samotny samolot niemiecki rzucił trzy bomby. W mieście wybuchła kompletna panika. Mieszkańcy biegają jak stada owiec na rozległych przestrzeniach ogrodów na tyłach domów. Cywilni funkcjonariusze LOP-u z przepaskami bezskutecznie usiłują

zaprowadzić jakiś porządek, kierować obywateli z przepelnionych rowów przeciwołtamkowych do bardziej luźnych. Nalot kończy się po paru minutach, ale żadnych sygnałów nie ma – panika trwa nadal. Na niebie pojawiają się dwa nasze samoloty łącznikowe, grające tu, zdaje się rolę myśliwców. Niemiec też nie musiał być prawdziwym bombowcem, bo uciekł równie szybko jak się zjawił. Teraz dopiero zaczyna strzelać artyleria. Orientujemy się, że są to dawnym obyczajem zwykłe „75” ustawione na specjalnych rusztowaniach. Strzelają szrapnelami, ale... do naszych własnych samolotów łącznikowych. Słyszałem już o tym, że większe szkody w naszym lotnictwie wyrządziła nasza własna artyleria, niż myśliwce niemieckie. Nie chcieliśmy temu wierzyć, teraz widzimy sami. Nasze samoloty lecą nisko starając się umknąć spod ognia artylerii. Szrapnele wybuchają zupełnie blisko maszyn. Oto są skutki niemądrej i głupio stosowanej „tajemnicy wojskowej”. Oficerowie i podoficerowie rezerwy, nawet w lotnictwie!, nie znają zupełnie sylwetek naszych własnych samolotów nowszych typów, a znaki rozpoznawcze są często trudno widoczne.

Porucznik wraca. Sztab jest. Zapewne nie zatrzymamy się tu dłużej, ale mamy przenocować. Otrzymaliśmy kwaterę o dwa kilometry za miastem, przy stacji pomp wodociągów miejskich. A więc Łuck ma już nawet wodociągi. Będziemy mieć czas na polutowanie chłodnicy, na porządne umycie się, a nawet wykąpanie w rzece. Wyjedziemy jutro o brzasku. Koncentracja naszych lotniczych wojsk odbywa się jakoby gdzieś w okolicach Zaleszczyk. Pod samą rumuńską granicą. Podobno do rumuńskich portów miały już jakoby przybyć pierwsze transporty samolotów bojowych z Anglii. Przyjmujemy tę wiadomość z dużym zadowoleniem, nadzieją i otuchą. Radość jest tak powszechna, że powstrzymuje mnie to od wypowiedzania moich wątpliwości. Ja sam obawiam się, że to jest tylko również „propagandowa” plotka puszczona dla podtrzymania nastrojów, jak i wiadomości o uderzeniu Francji na Niemcy. Gdybyż to była prawda! Ale mój dziennikarski nos kazałby się zapytać jakie to są angielskie samoloty i gdzie mamy pilotów, którzy by na nich umieli latać? Dziennik, wydawany w Łucku przez grupę

ewakuowanych warszawskich dziennikarzy, który oczywiście natychmiast po przyjeździe kupuję – jest zupełnie pusty. Komunikaty sztabowe mówią o walkach w rejonie „trójkątu bezpieczeństwa”, koło Kutna i nawet koło... Grudziądz. Rozumiemy, że mogą to być tylko walki partyzanckie, choćby nawet prowadzone przez znaczniejsze oddziały wojska. Oficjalnie pisze się też, że Gdynia, Hel i Westerplatte bronią się po bohatersku. Ale sprzed ilu dni jest ta wiadomość? Dlaczego nie ma nic o Warszawie, która jest odcięta i otoczona? Resztę gazety wypełniają drobne wiadomości i zarządzenia lokalne, oraz „własne podsłuchy radiowe”. Podobno Włochy występują z jakimiś próbami „mediacji”, jakoby w naszej obronie. Puszczają wiadomość o jakichś dramatycznych rozmowach i nawet „zamachu” na Mussoliniego. To są najoczywistsze bzdury. Prędzej bym uwierzył że trzęsienie ziemi zniszczy i zatopi w morzu całe Niemcy, niż że faszyci ruszą z jakąkolwiek akcją pomocy dla Polski. Albo że Watykan kiwnie najmniejszym palcem. Nie rozumiem, czy nasi oenerowcy i endecy są tacy naiwni i naprawdę spodziewają się czegoś od faszystów, czy też jest to całkiem świadome tumanienie opinii, aby przecież dodać jakąś nadzieję, póki rozbita obrona nie zdoła zorganizować jakiegos oporu, choćby na południowo-wschodnich kresach. Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy pobici klęskowo. Zostaliśmy zmiażdżeni gorzej niż w 20 roku. Cała nadzieja w tym, że dopiero podczas rzeczywistej klęski Polacy zaczynają myśleć bardziej realnie i konstruktywnie, dopiero w rozpaczę wydobywają z siebie talenty, zdolności i natchnienie.

Po przybyciu na miejsce postoju zaczyna się dla nas dość twardy dzień pracy. Musimy przepakować Fiata, bo podróże przez bezdroża powywracały wszystko „do góry nogami”. Pusty Fiat pojedzie jeszcze do miasta wyfasować dla nas nową porcję benzyny i prowiant. Porucznik jedzie do miasta. Sierżant objawia sporo energii i organizuje pracę. Jestem niemal wolny, wobec czego zajmuję się swoim mundurem i kocami, potem idę kąpać się w rzece. Jest upał tak ogromny, że woda w rzece jest jak grzana wanna. Siedzę nad wodą prawie do zachodu. Po powrocie zastaję roboty prawie ukończone. Fiat jest już zapakowany bardzo porządnie, benzyny mamy tyle,

że moglibyśmy jechać „do Morza Czarnego po samoloty”. Ten żart szofera wydał mi się dość ponury.

Tylko autobus jest wciąż jeszcze „rozbebeszony”. Niemieckie samoloty nie pokazały się więcej. Po kolacji idę na spacer szosą w stronę Łucka. Przyłączył się do mnie Drecki. Dowiedział się od szofera, że koło kilometra od nas stoi przy szosie zupełnie dobrze wyglądający motocykl. Idziemy go obejrzeć. Po drodze zatrzymują nas jacyś cywile. Mają w podwórze samochód naładowany walizami. Zagadują dość niezręcznie o benzynę. Proponują po prostu abyśmy ją ukradli dla nich, ofiarowują 50 dolarów za litr! Cena benzyny rośnie! Przyjmuję to z humorem i żartobliwie odpowiadam, że ja sam to nie, ale mogę im przysłać żandarma. Znajdujemy motocykl. Jest porzucony ale zewnętrznie w dobrym stanie. Oczywiście bez kropli benzyny. Drecki decyduje się go zabrać i taszczy ciężką maszynę z przyczepką do oddziału. Okazuje się jednak, że prócz braku benzyny, jakieś łożyska są gruntownie pozacierane i motor jest na nic bez gruntownego remontu. Na to nikt nie ma czasu i ochoty. Ponieważ próbując wlać do niego chyba ze dwa litry benzyny, posyłam naszego kucharza, który zgłasza się na ochotnika, z tym motorem do owych cywilów na szosie. Ma im powiedzieć, że w zepsutym motocyklu jest trochę benzyny. Mogą ją sobie „wysyfonować”. Sudra idzie chętnie. Na pewno sprzeda im tę benzynę po dobrej cenie. Chłopak wraca dobrze już po północy. Bawił w mieście. Przynosi mi w prezencie paczkę luksusowych papierosów „Nil”.

Rano wyruszamy w dalszą drogę. Jedziemy dość wolno ale bez większych przeszkód. W południe mieliśmy postój i obiad w jakimś miasteczku, którego nazwa wyleciała mi z pamięci. Sprawdzę później na mapie i dopiszę (Mirohoszcza). Potem minęliśmy Dubno. Jesteśmy już w kraju „sienkiewiczowskim”. Zaczynają się jary, bardzo charakterystyczne, oraz wzgórza. Dubno jest malutkim miasteczkiem o jednej właściwie ulicy – przelotowej. W wielu miejscach przecinają ją teraz rowy przeciwczołgowe. Wąskie przejazdy mają być podminowane. Saperzy i paki dynamitu leżą tuż przy brzegu szosy.

Zapada zmrok, kiedy wjeżdżamy do Krzemieńca. Będzie-

my tu nocować, ale poza miastem, gdyż samo miasto jest przepełnione uchodźcami cywilnymi. Na ulicach i bocznych uliczkach tłoczy się pełno samochodów cywilnych, wozów i rowerów. Przejeżdżając główną ulicą miasta i mijając długi szereg, ciągnących w tę samą stronę wozów, na jednym z nich widzę grupę kolegów z Klubu Sprawozdawców Sejmowych – Grosterna, byłego prezesa syndykatu (wyjątkowo miły i porządny kolega, brat głośnego ministra „Gwiazdowskiego”, polskiego urzędnika w Genewie) i wesołego zawsze, zbierającego wszystkie zakulisowe plotki Singera (Regnis). Wołam do nich w przejeździe, nawet się oglądają, ale mnie zapewne nie poznają w mundurze, w grupie żołnierzy.

Zatrzymujemy się na nocleg o jakiś kilometr za miastem. Po ustawieniu samochodów i rozmieszczeniu ludzi, porucznik wybiera się do komendy wojskowej miasta. Proszę aby mnie zabrał ze sobą, chcę odszukać kolegów-dziennikarzy i dostać od nich trochę informacji. Porucznik zabiera mnie do samochodu – mam wrócić „o własnej parze” przed 11-tą. Mam dziś wprawdzie „służbę”, ale musi mnie zastąpić sierżant.

W mieście odszukanie dziennikarzy nie należy do zadań najłatwiejszych. W miasteczku jest ze trzydzieści tysięcy uchodźców. Liczę jednak na to, że o dziennikarzach będzie coś wiedział Komitet Obywatelski, zajmujący się przydziałem kwater. Informują mnie że dziennikarze zostali umieszczeni w Liceum. Sławnym Liceum Krzemienieckim. Podniecenie w mieście jest duże, tym bardziej że wczoraj miasto było bombardowane. Zrzucano co prawda tylko pięć bomb, ale ofiar było dużo. Oglądam po drodze domki rozbite eksplozjami. Jedna bomba miała być rzekomo iperytowa. Zakazana ulica jest wyewakuowana i zamknięta. Bardzo mnie to interesuje, ale nikt nie umie udzielić bliższych informacji, a na szukanie tych wiadomości nie mam czasu. Nie zdaje mi się aby Niemcy używali teraz iperytu, gdy właściwie idą gdzie chcą i zabierają co im się podoba.

W Liceum jest miejscowy Komitet – jakieś paniusie – ale naturalnie nikt nic nie wie. „Komitet” dawno już stracił głowę, jeżeli ją w ogóle kiedykolwiek miał. Chodzę sam po salach i rozpytuję. Wreszcie uchodźcy wskazują mi pawilon, gdzie musieli być umieszczeni dziennikarze. Pawilon jest

pusty. Na prowizorycznych pryzkach leżą jakieś łachmany, ale nie robi to wrażenia aby ktoś tu mieszkał. W korytarzu jakiś jegomość czyści buty – nie wygląda mi na dziennikarza – nie znam tej twarzy z Warszawy, gdzie wszyscy znaleźliśmy się, przynajmniej z widzenia. Informuje mnie, że jest dziennikarzem z Włocławka. Owszem, była tu grupa kolegów z Warszawy, nazwisk nie zna i nie wie gdzie są – może poszli do miasta szukać jakiejs kolacji, bo to co im dostarcza Komitet w Liceum jest trudne do zdobycia wystarczając zaledwie na czwartą część obecnych, a nawet gdy się dostanie, to poza chlebem wszystko inne jest właściwie niejadalne.

Robi się już zmrok. Stoję na dziedzińcu Liceum paląc papierosa i rozmyślam co robić. Szukać ich w mieście, to zadanie takie, jak znaleźć szpilkę w stogu siana. Nie ma rady trzeba wracać do oddziału. Przelotnie tylko spostrzegam urocze piękno budynków licealnych i położenie miasta wśród malowniczych wzgórz. Jest tu tak pięknie, że nawet w takiej chwili narzuca się to jako główne wrażenie. Ale szybko gęszy je widok tłumów obdartych, zmęczonych śmiertelnie, przerażonych ludzi, którzy sami nie wiedzą jak zjechali się tu z wszystkich dzielnic kraju i których jedyną troską jest zdobyć kawałek chleba i możliwość jechania gdzieś dalej. Gdziekolwiek, aby mieć jakieś znośne warunki mieszkania i życia.

W samych wrotach spotykam i z trudem poznaję Hiżę. Stary warszawski dziennikarz, zniszczony fizycznie i psychicznie „zdarty” od lat. Ostatnio na łaskawym niemal chlebie „wisiał” przy *Gazecie Polskiej* jako autor „niedoli i smutków”.

I on mnie z trudem poznaje, z trudem przypomina sobie, nie z powodu munduru. Coś się w nim gruntownie załamało, jest to ruina człowieka. Ileż to wspomnień wiąże się z tym człowiekiem! Znam go od piętnastu lat! Poznałem w czasach „młodości chmurnej”. Sławna kawiarnia „Kresowa” na rogu Nowego Świata i Wareckiej, założona i prowadzona przez damy, które po wojnie polsko-bolszewickiej straciły „dobrą” na Kresach, co zostały po tamtej stronie. Była tam kiepska kawa i marne krzeselka, ale był ogródek od podwórza „intymny”, zasłonięty od Wareckiej murem. A poza tym panie kresowe podawały pół czarnej z czarującym uśmiechem zdegradowanych księżniczek i mówiły inteligentne zdania

uroczym dialektem „kresowym”. Kawiarnia ta stała się w swoim czasie jakby „klubem” młodzieży artystycznej – literackiej, malarskiej, aktorskiej. Poza młodymi przychodziło tam trochę starszych. Stałym gościem był smutny Daniłowicz, sławny facecjonista Franc Fiszer, zanim się zadomowił w Ziemiańskiej, no i wielu innych amatorów atmosfery fermentującego wina niedojrzałych intelektów i talentów. Hiż, wtedy jeszcze dziarski starszy pan, przychodził co dzień po południu i bardzo zaprzyjaźnił się z naszym gronem, które tam spędzało całe popołudnia i wieczory. Wylęgła się z tego później „grupa Kwadrygi”. Rozrzewniają mnie te wspomnienia. Pierwsze moje redaktorskie obowiązki pisma *Kwadryga* tam się zjawily. Nasi przyjaciele „filistry” spośród bywalców „Kresów” płacili nam drukarnię i prowokowali nasze niedojrzałe intelektu do tytanicznych wysiłków. A najbardziej czynny był właśnie Hiż. Ileż to razy stawiał nam, wiecznej „gołocie” pół czarnej, za jakiś udany, złośliwy „witz”, piosenkę, wiersz, czy inne wyczyny „artyzmu”. A niekiedy nawet zabierał tego i owego z nas na „pięciominutowy spacer” – na kilka większych wódek do pobliskiej „wytwornej” knajpy „Astoria”, gdzie była również klika artystyczna, pisarzy młodych także, ale już znanych i zarabiających nieźle – grupa „Pikadora” późniejsza „Skamandra” i *Wiadomości Literackich*. Tam głównym „menedżerem” pisarzy był adiutant Marszałka, szalawiła, „piękny Bolcio”, Wieniawa-Długoszowski. A u nas był inny Długoszowski, starszy gość, zupełnie fantastyczna postać, na wpół anarchista, dziennikarz, często podejrzewany o komunizm, gdy w rzeczywistości był to tylko alkoholizm i piekielna fantazja „szlachecka”.

Ten sam Tadzio Hiż. Cóż się z nim stało? Ów, błyszczący dowcipem, inteligencją, wiedzą – wiecznie młody starszy pan. Stoi teraz przy mnie na drżących nogach, załamany, nie pamiętający co powiedział na początku zdania, zrujnowany cień człowieka. A jeszcze na dwa tygodnie przed wojną gawędziliśmy w Sejmie tak spokojnie – strzelał błyskotliwymi powiedzonkami jak zawsze, choć był już mocno podstarzały. W każdym razie dowiedziałem się od niego, że Grostern i Singer dostali się na stacji do jakiegoś pociągu ewakuacyjnego i pewnie już odjechali, dobrze nie

wiadomo dokąd. On sam jest zupełnie schorowany i nie może dalej jechać. Zostanie tu, w Liceum i będzie czekać na dalszy bieg wypadków.

Wracam pieszo do oddziału, ale ta wizyta i smutna rozmowa poruszyła we mnie falę wspomnień. Jakże nieodpowiednia chwila i miejsce.

Ten sam Tadzio Hiż sprowokował kiedyś Kostka (Gałczyńskiego) perspektywą całej butelki wódki do napisania sześciu sonetów – każdy w ciągu 10 minut z zegarkiem w rękę i każdy w innym stylu, od klasycznego, przez barokowy, romantyczny, do „secesyjnego” Młodej Polski. Powstał w ten sposób na bibułkowych serwetkach kawiarnianych cykl doskonałych parodii stylowych. Pamiętam taki dziwny wieczór w ogródku, po burzliwym dniu jakichś rozruchów ulicznych, gdy na tejsze Wareckiej, pod redakcją *Robotnika* pobiła się bojówka komunistyczna z socjalistami, a obie śpiewały „Czerwony Sztandar”. Potem policja aresztowała przez cały dzień w różnych miejscach miasta grupki zaczynające śpiewać „Czerwony Sztandar”. A właśnie my, w tym samym ogródku darliśmy się na cały głos śpiewając tę samą pieśń rewolucyjną... po włosku. Refren *bandiera rossa triumfera!* słyhać było chyba na Placu Trzech Krzyży. Śpiewaliśmy, bo właśnie tego wieczoru siedział z nami inny nasz mecenas, przemiły i inteligentny pan – wysoki urzędnik policji – późniejszy nadkomisarz Nagel i... też z nami śpiewał. Nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego Nagel został policjantem. Mógł być z równym powodzeniem profesorem uniwersytetu, czy dyrektorem teatru. Fantastycznie wykształcony, wrażliwość artystyczną rzadko spotykana. Usiadł zapewne do roboty gdy „Polska wybuchła” i trzeba było od razu opanować wszystkie śrubki administracji i tak już został. To był nasz przysięgły przyjaciel. Z iluż to on wybawiał nas kłopotów już dużo później, gdy nasze własne zarobki pozwalały od czasu do czasu na pijackie awantury po nocach! Kochany „mecenas Goździk”. Prosiłszy go, aby do „Kresów” przychodził, jak Wilde, z zielonym goździkiem w klapie, jako nasza „nadzieja”, a gdy się wykręcał, że nie ma zielonych goździków, to fabrykowaliśmy mu je sami, przez moczenie zwykłych, różowych w amoniaku. Kwiatki te, które istotnie

nosił w butonierce, budziły przez pewien czas żywą sensację. Ileż to numerów *Kwadrygi* jemu zawdzięcza ujrzenie światła dziennego. A później, tylko dzięki niemu nie poszedłem do kozy za dwa skonfiskowane numery *Czerwonego Lwa*, zabawnego pisma tygodniowego, które miało być „brukowcem literackim”. Dzięki niemu i szefowi innego naszego kolegi z bandy *Kwadrygi*, Tadzia Zajączkowskiego. Wtedy jeszcze nie zurzędniczałego, młodego, „obiecującego” poety. Co się dzieje teraz z całą tą bandą? Gdzie jest „Olaf” – Feldman, nasz piosenkarz i Gałczyński, genialny poeta, a zmarnowany pijak i moralna szmata? I Sebyła, Markowski, Olek Maliszewski i tylu innych?

W obozie obejmuję służbę zaraz po powrocie. Musimy trzymać aż trzy warty, bo części samochodowe i benzyna są po prostu beczelnie rabowane. Cała prawie stacja kolejno pełni służbę posterunków wartowniczych. Nie będę spać, muszę pilnować zmiany posterunków. Siedzę w chałupie gospodarza i piszę.

Stary chłop, zapewne Rusin, choć o tym się nie mówi, nie jest zmartwiony perspektywą okupacji niemieckiej. Niestety, więcej tu takich. Nasza idiotyczna polityka mniejszościowa na tych terenach przynosi teraz gorzkie owoce. Jest już prawie północ, gdy przynosi mi szklankę gorącej herbaty z rumem – noc jest chłodna. Widząc, że siedzę i piszę, wyobraził sobie widocznie, że muszę być z „dwójki” i opracowuję jakiś raport. Chce ze mnie wyciągnąć wiadomości co naprawdę jest z wojną. Nie okazuje jednak zdziwienia, gdy wyznaję, że w istocie nic nie wiem. Częstość go papierosem. Na dobranoc opowiada mi co usłyszał w dzienniku radiowym. Hel i Gdynia wciąż się bohatersko bronią!

18 września

Z Krzemieńca wyjechaliśmy dość wcześnie rano, ale całą drogę odbywaliśmy w dużym tłoku. Cała szosa wypełniona jest transportami wojskowymi. Jedziemy stosunkowo powoli, bo wymijanie wozów jest niemożliwe. Po południu nie-

spodzianie zrywa się burza. Jedziemy w ostrej ulewie. Deszcz nie przestaje padać do późnej nocy. Drogi, mocno zniszczone ruchem, stają się uciążliwe. Po ciemku i w ulewie mijamy Tarnopol, próbując tu i ówdzie znaleźć jakiś nocleg. Z wielkim trudem umieszczamy się poza miastem. Wprowadzamy samochody na obszerny dziedziniec obrośnięty dokoła drzewami. Po ciemku orientacja jest trudna. Przy przejeździe ostatniego naszego wozu, autobusu, mostek prowadzący z szosy do obejścia, załamuje się pod jednym kołem. Wóz jest unieruchomiony. Po nocy i w czasie deszczu nie można myśleć o wydobyciu go z pułapki. Zostawiamy wóz na mostku, wydajemy ludziom „suche porcje” i kawę, której skąpą ilość mogliśmy ugotować w kuchni gospodarza. Porucznik, szef i ja każemy się wartownikowi obudzić o pierwszym brzasku. Ściągamy najsilniejszych ludzi i zabieramy się do podniesienia autobusu i zamaskowania go pod drzewami. Na szczęście deszcz już nie pada, ale gliniasta ziemia jest rozmoczona zupełnie i praca jest ciężka. Jest już duży świt gdy uporaliśmy się z tym zadaniem. Dziedziniec, choć dobrze zasłonięty, jest niewielki i manewrowanie trzema wozami będzie tu niełatwe. Stracimy dużo czasu przy wyjeździe, ale mamy zatrzymać się tu ze 2-3 dni. Motor i chłodnica autobusu wymagają przyzwoitego remontu. Szoferzy z pomocnikami zabierają się od razu do tej pracy. W południe gospodarz, który jest kolejarzem, przynosi nam dziwną wiadomość, że wojska bolszewickie przekroczyły granicę i jakoby idą nam na pomoc. Zawiadamiam natychmiast porucznika – rozumiemy że sytuacja jest zła. Nie bardzo wierzymy tej pogłosce, wydaje się ona absurdalna. Tymczasem zaczyna się nalot. Nasze wozy są dobrze zamaskowane ale samoloty mają wyjątkowo dobry cel w Tarnopolu, gdzie wszystkie ulice i podwórza są po prostu zapchane wojskiem najróżniejszych broni. W wielu miejscach zamaskowanie oddziałów i samochodów jest zupełną kpiną. Jednak Niemcy nie rzucają bomb. Formacja 12 samolotów krąży spokojnie nad nami. Napięcie nerwowe wzrasta z każdą chwilą. Kiedyż wreszcie rzuca te bomby? Nagle nad nimi pojawiają się trzy samoloty myśliwskie o nie znanej nam sylwetce. „Angielskie, angielskie” rozlegają się radosne

wołania z drugiej strony szosy, gdzie w zabudowaniach cegielni stacjonuje duży oddział saperski. Bardzo szybkie myśliwce wykonują kilka pięknych zwrotów, a Niemcy, bez walki wycofują się. Maszyny myśliwskie nie gonią napastników. Krążą coraz niżej nad Tarnopolem, jakby popisując się swymi precyzyjnymi wirażami, a potem również odlatują. Jesteśmy obaj z porucznikiem zdrętwiali z wrażenia. Widzieliśmy obaj zupełnie wyraźnie pięcioramienne gwiazdy na skrzydłach samolotów. A więc wiadomość kolejarska nie była plotką!

Porucznik zarządza natychmiastowe przygotowanie samochodów do drogi. Nie ma czasu na gruntowne reperowanie autobusu. Trzeba jak najszybciej dostać się do naszego miejsca przeznaczenia. Nie wiemy jak i dlaczego pojawili się bolszewicy, ale niczego dobrego to nie wróży. Przychodzą nam na pomoc? Po podpisaniu paktu z Niemcami? Przecież po to go podpisali aby ośmielić Hitlera do zaczęcia wojny. Czy to jakaś nowa bolszewicka prowokacja?

Porucznik jedzie do miasta po informacje. Jest tu sztab dywizyjny. U nas praca przybrała tempo prawdziwie wojenne. Nie zważamy już na rozkaz maskowania się, cała załoga bierze gorączkowy udział w doprowadzeniu wozów do stanu umożliwiającego podróż, ostatecznie, zaledwie kilkudziesięciu kilometrów. Czekać na powrót porucznika siedzę w chacie gospodarza i staram się wyciągnąć go na rozmowę. I oni też dostali wczoraj zarządzenie pozostania na stanowiskach w każdym wypadku. Tutaj rozkaz tym dziwniejszy, że od kilku dni już żadne pociągi nie kursują. Nie wiadomo nawet gdzie i jakie uszkodzenia są na linii.

Porucznik wraca dość późno, jest już koło 5-tej. W sztabie nic nie wiedzą, czekają na jakieś rozkazy, spodziewają się zarządzeń. Były podobno radiowe zawiadomienia z Moskwy o mającym nastąpić wkroczeniu wojsk na nasze terytorium, ale w sztabie nikt nie słuchał radia moskiewskiego, a wiadomości z drugiej ręki są sprzeczne ze sobą i nazbyt fantastyczne. O parę kilometrów od Tarnopola zatrzymał się i okopał mały oddział Straży Granicznej, wycofujący się przed zmotoryzowanymi kolumnami bolszewików. Jadą oni śmiało, nawołując do niestrzelania i sami też nie strzelają. Chorąży,

dowodzący tym oddziałem Straży, nie mogąc znikąd otrzymać rozkazów – nie strzelał dotychczas, ale wycofuje się przed bolszewikami. Niedaleko Tarnopola udało mu się oderwać od wojsk czerwonych i kazał się okopać, nawiązawszy łączność ze sztabem dywizji. Tu też nic nie wiedzą, ale drobne grupy podchorążych oraz policjanci kierują się w stronę okopanej Straży, aby ją zasilić. Zabierają też na własną rękę amunicję i granaty ręczne. Bez rozkazu! Bałagan i rozprzężenie jest już na całego!

Referuję porucznikowi wiadomości kolejarские o tym, że wczoraj w nocy przejechał tędy, omijając miasto bokiem i nocując w pobliskim folwarku marszałek Śmigły-Rydz. Odjechał przed świtem. Nad ranem przejechać miał także, bez zatrzymania się, minister Beck. Obaj jechali na Zaleszczyki.

Porucznik decyduje się nie czekać na rozkazy ze sztabu, obcej zresztą dywizji, i próbować przedostać się pod Śniatyn, gdzie jest nasz punkt koncentracji. Badamy dokładnie mapę. Mamy tylko jedną drogę możliwą do jazdy. Żadnych wariantów nie da się opracować.

Ładujemy ludzi, ruszamy. Idzie nam bardzo kiepsko. Szosa zapchana jest uciekinierami z Tarnopola. Raz po raz powstają zatory. Nie ujechaliśmy więcej niż trzy godziny, gdy zostajemy definitywnie unieruchomieni. Na szosie mnóstwo wyższych oficerów w dość żałosnym stanie podniecenia i zdenerwowania. Nasz porucznik chwytą jakiegoś wojskowego motocyklistę i jedzie z nim bokiem szosy naprzód, zbadać przyczynę zatrzymania ruchu. Tymczasem od strony miasta nadjeżdża grupa oficerów ze sztabu. Przywożą do wszystkich oddziałów rozkaz gen. Paszkiewicza, który oznajmia że obejmuje komendę nad wszystkimi jednostkami, znajdującymi się w okolicy Tarnopola, zawiadamia, że wojska sowieckie pojawiły się na tym terenie i kategorycznie zabrania jakiegokolwiek akcji zaczepnej wobec bolszewików. Dowódcy oddziałów mają odebrać amunicję od żołnierzy i zaplombować skrzynki amunicyjne. Jakiś fertyczny kapitan ze sznurami adiutanckimi przyczepił się do naszego oddziału. Bardzo mu się podobał Fiacik porucznika. Sierżant (zawodowy) schował się, wobec czego ja zostałem na sztychu. Kapi-

tan zaczyna się rządzić, zapytuje szofera co to za oddział, gdzie dowódca i poleca zbiórkę aby odebrać amunicję. Nie pozwalam ludziom wychodzić z autobusu. Spokojnie stawiam dwóch wartowników na początku i na końcu naszego „transportu”, metodycznie każę im ładować broń na tempa, jak na paradzie, po czym melduję się kapitanowi jako pełniący funkcję zastępcy d-cy. Kapitan zaczyna mi wydawać polecenia. Chce zabrać amunicję i „odwieźć” ją naszym Fiacikiem do miasta. W tym miejscu przestaję być służbisty. Parskam śmiechem, co mocno detonuje kapitana i odpowiadam mu, że pomysł jest doskonały, tylko nie da się wykonać, bo ja nie mam rozkazu pod nieobecność dowódcy słuchać jakiegokolwiek oficera. Kapitan wściekły odchodzi bez słowa. Zaczął się już zmierzch, gdy wraca porucznik. Szosę o parę kilometrów dalej zablokowali bolszewicy tankami. Grożą strzelaniem jeżeli zbliży się jakiś oddział uzbrojony. Parę samochodów cywilnych przejechało spokojnie. Wreszcie zostaje wydany rozkaz „zawracać do Tarnopola”.

Zawrócenie na ciasnej szosie nie należy do sztuk najłatwiejszych. Jest już zupełnie ciemno, gdy dojeżdżamy z powrotem do miasta. Próbuję namówić porucznika, abyśmy przed samym miastem, przed rzeczką skrócili w połąną drogę i przebijali się nią w kierunku południowym. Porucznik się waha. Mimo wszystko trudno wiedzieć jak naprawdę wygląda sytuacja – tak poważne złamanie dyscypliny wojskowej może okazać się ciężką zbrodnią. Decyzja: zrobimy to jutro rano, może tymczasem sztab będzie mieć jakieś szczegółowsze dane. Na przedmieściu wjeżdżamy w jakieś podwórze, ustawiamy samochody i nocujemy w wozach. Niektórzy żołnierze, jakby wiedzeni instynktem, zmieniają bieliznę na czystą. Podoba mi się ta myśl, idę za ich przykładem. Po północy porucznik próbuje dostać się do sztabu – dostaje odpowiedź od jakichś oficerów służbowych, że generał śpi i że rano wchodzi do miasta bolszewicy. Zgodzili się, aby oddziały wyjechały z Tarnopola na miejsce przeznaczenia, ale postawili warunek złożenia broni. Generał się zgodził i wydał rozkaz rozbrojenia się! Porucznik wraca zielony ze zgrzyzoty. To już koniec. Musimy uciekać na własną rękę. Nasze 12 karabinów układa-

my na siatkach bagażowych, są tam prawie niewidoczne. Zastawiamy je barografami, anemometrami i tym podobnym sprzętem obserwacyjnym stacji meteo, wydobytym naprędce z Fiata. Oddamy tylko rewolwery, dwa piękne wisy. Broń boczną (bagnety) też. Całą resztę nocy przepakowujemy z porucznikiem stację. Niszczymy wszystkie instrukcje, klucze, mapy. Niszczymy całą kancelarię i ewidencję oddziału. Wszystko to po kolei idzie do ogniska, które palimy na środku podwórza. Zaciemnienie jest już niepotrzebne. Jesteśmy wszyscy jak porażeni gromem. Nie walczyliśmy, nie zaczęliśmy nawet jeszcze pracować – a tu już – koniec. Bo dlaczego nas rozbijają? To wydaje się mocno podejrzane.

Do rana siedzę na swym miejscu w autobusie. Załoga przeważnie śpi. Ja wypalam akumulator, świecąc sobie małą lampkę. Kończę notowanie wydarzeń dnia. Mam jeszcze ze dwie godziny do świtu. Palę zwitki machorki jeden po drugim i zabieram się do czytania „Atlantydy” Mereżkowskiego, której bodaj czwarta część została już w moim tłumaczeniu wydrukowana przed samą wojną w arkuszach. Po co zabrałem tę książkę ze sobą do wojska? Nie umiałbym powiedzieć. Ale czy to nie jest właśnie teraz taka nasza mała, narodowa Atlantyda?

24 września

Niewiele dni upłynęło od ostatniego mojego zaglądania do notatnika, a tyle wydarzeń mam do zanotowania i tyle rzeczy stało się z oszałamiającą szybkością, iż nie wiem czy zdołam wszystko ponotować. Tym bardziej, że wielu nazw już nie pamiętam, będę je może kiedyś mógł sprawdzić z mapą.

Zaraz po świcie owego rozstrzygającego dnia w Tarnopolu ruszyliśmy w drogę. Trasa, wyznaczona przez bolszewickiego już komendanta miasta, prowadzi przez rynek. Tu stoi oddział bolszewicki i przepuszcza samochody, odbierając broń i amunicję. Wszystkie ulice wylotowe zamknięte są przez bolszewickie czołgi. Przeważnie 25-tonowe. Na rynku stoją małe czołgi 12-tonowe z ciężkimi karabinami maszynowymi.

Tak jak przypuszczaliśmy, bolszewicy zadowalają się rewolwerami, do autobusu wypełnionego żołnierzami zagładają tylko pobieżnie. Jedziemy dalej. Aby szybciej wydobyć się z tej pułapki. Niestety droga jest zatarasowana wozami, które bolszewicy wypuścili wcześniej. Nikt ruchu nie reguluje, nieustanne zatory sprawiają, że posuwamy się bardzo wolno. O dziewiątej wyjeżdżamy nareszcie z miasta. Jesteśmy jeszcze przed mostem, od którego widać drogę idącą pod górę na przestrzeni jakichś dwóch kilometrów. Postoiśmy tutaj, bo posterunki bolszewickie wstrzymują samochody, póki furmanki nie przesuną się poza most. Zapowiada się to chyba na pół godziny. Mamy jeszcze około 5 km do bocznej drogi, w którą zamierzamy skręcić. Benzyny mamy dość. Paru żołnierzy wychodzi z wozu, próbują czy nie udałoby się w podmiejskich domkach kupić czegoś do jedzenia. Wychodzę z nimi. Dzień jest znów pogodny – zapowiada się chyba burza, bo upał już doskwiera, mimo że jest dopiero dziesiąta. Jestem właśnie na podwórzu najbliższego domku, gdy nagle w mieście rozlegają się strzały karabinowe. Myślę, że jakiś oddział nie pozwala się rozbroić. Powstaje straszliwe zamieszanie. Czołgi bolszewickie, stojące dokoła miasta, zaczynają natychmiast odjeżdżać na pobliskie wzgórza, strzelając od czasu do czasu z działek i karabinów maszynowych do miasta. Wozy z szosy spędzane są wprost do rowów, ludzie uciekają w pole i kładą się w bruzdach. Drogą z miasta galopuje oddział czerwonej konnicy. Na błoniu przed rzeczką ustawia się w szyku rozbitym. Z miasta jakieś karabiny strzelają gęsto. Wśród bolszewików kilku już spadło z koni. Czołgi walą do miasta na ślepo. Kule gwizdzą na wszystkie strony. Załoga stacji już dawno wyskoczyła z samochodów, pochowali się wszyscy poza pagórkiem ziemi nad piwnicą w tym właśnie podwórzu, gdzie jestem. Patrzyłem jak urzeczony zza płotu na manewry bolszewickiej konnicy i czołgów. Otrzeźwia mnie granat, wybuchający na ulicy – opryskując mnie błotem z przedwczorajszej ulewy. Wycofuję się za piwnicę do reszty załogi. Brakuje dwóch ludzi, schowali się zapewne gdzieś dalej. Kule gwizdzą nad naszymi głowami, co chwila jakaś stuka w ścianę domku przy którym jesteśmy skuleni. Jakaś twarz wyjrzała przez okno. Wbiegam do domku i każę się

wszystkim położyć na podłodze. W mieszkaniu są dwie kobiety, dwoje dzieci i młody chłopiec, może 18-letni, Polacy. Zaledwie zrozumieli w przerażeniu co do nich mówię i ułożyli się za wielkim piecem, gdy cała seria z karabinu maszynowego rozbija szyby w oknie i strąca z przeciwległej ściany obrazy świętych nad łóżkiem. Ale to jest niemal ostatnia seria. Ogień cichnie. Jeszcze tylko tu i ówdzie w mieście, do którego bolszewicy wrócili, rozlegają się pojedyncze strzały. Z naszego podwórza widać obok domu, poprzez dwa ogródki, kawałek ulicy. Widzimy jak bolszewicy żołnierze strzelają tam, do wyprowadzonych z domu kilku oficerów sztabowych.

Paru naszych żołnierzy próbuje wrócić do autobusu – jest już pod strażą bolszewicką, która nie pozwala nikomu zbliżyć się. Porucznik wydaje rozkaz zdjąć dystynkcje podoficerskie i zniszczyć dokumenty osobiste, zarówno wojskowe jak cywilne. Sam zdejmuję gwiazdki. W beretach lotniczych (czapki zostały w autobusie) jesteśmy teraz wszyscy jednakowi. Trwało to parę minut. Zaledwie skończyliśmy, na podwórzu wpada oddział bolszewicki z nastawionymi karabinami, oficer z naganem w rękę. Spędzają nas pod ścianę, pojedynczo każdy zostaje obszukany, czy nie ma broni. Szukają tych co strzelali, są w strachu, że lada chwila może zza węgła paść strzał. Czerwony dowódca pyta o naszego oficera. Odpowiadam po rosyjsku, że uciekł już wczoraj wieczorem. Czerwony pyta co to za oddział – dowiedziawszy się że stacja meteorologiczna, oznajmia nam, że możemy być zadowoleni. Związek Sowiecki bierze nas „w obronę”, nie potrzebujemy więcej słuchać naszych dawnych dowódców. Jesteśmy „tymczasem” wzięci do niewoli, mamy spokojnie czekać na tym podwórzu na dalsze rozkazy. Domagam się od bolszewika, żeby nam pozwolił z autobusu zabrać nasze plecaki i płaszcze. Odpowiada, że naturalnie, każdy żołnierz zabierze swoją własność, ale później, najpierw to musi być zbadane. Tymczasem już nasze samochody odjeżdżają – czerwoni szoferzy zabierają wozy z naszymi rzeczami. W naszym podwórzu pozostali tylko dwaj wartownicy. Jesteśmy uwięzieni. Upływa bez zmian ze dwie godziny. W mieście wciąż słychać pojedyncze strzały. Powoli

jeden z wartowników pozwala się wciągnąć do rozmowy. Opowiada że te strzały to już nic – to swoi, bolszewicy „likwidują” naszych „zdradzieckich panów” – oficerów i podoficerów, którzy urządzili „napad” na spokojne oddziały sowieckie. Jak się skończy to będziemy wolni. Jak to wolni? Po prostu zostaniemy „zawiezieni” do Rosji i tam uwolnieni. Będziemy mogli pracować – będzie nam „bardzo dobrze”. Powoli dowiaduję się, że strzelać zaczęli podobno jacyś cywile z okien. Zastrzelono sporo bolszewików. To „panowie” próbowali złamać ich bolszewicką opiekę nad „ludem pracującym”, objętą gdy cała polska władza już się skończyła. Nasz los jest prosty: pomaszerujemy do obozu jeńców, a gdy tylko koleje zostaną naprawione, to pojedziemy gdzieś pod Ural, bo tam potrzeba ludzi. Żołnierz rozwiewa nasze nadzieje choć minimalne co do naszych rzeczy. Dostaniemy, naturalnie, każdy płaszcz i koc, ale przecież wszystko jedno czy ten sam któryśmy mieli – każdy jest *kazionny*. Trzeba tylko trochę poczekać, bo tak od razu nie można wszystkiego załatwić.

Perspektywy są jasne. Trzeba się przygotować na długą niewolę, gdzieś w głębi Rosji. Zbyt dobrze znam i pamiętam Rosję z poprzedniej wojny, aby się nie orientować jakie to będą straszliwe warunki. Otrzymawszy łaskawe pozwolenie wejścia do domu oddaję siedzącym tam kobietom parę drobiazgów „łakomych” – ładny portfel, papierósnicę itd. Małej dziewczynce, może dwunastoletniej, która siedzi nad książką, daję w prezencie swoje wieczne pióro i automatyczny ołówek w srebrnej oprawie. Daję mi za to (według moich życzeń) drewnianą łyżkę, zwykłe blaszane pudełko na tytoń, pół paczki machorki (moja została w autobusie), kawałek prostego mydła, szpulkę nici i dwie igły. To całe zaopatrzenie, które potrzebne jest w niewoli. Piszę też u nich krótki list i adresuję do rodziców. Poczciwi ludzie przyrzekają mi że list wyślą jak tylko będzie to możliwe. Nie wątpię, że będzie to niedługo możliwe. Rosja nie jest w wojnie z Niemcami, to już wiem na pewno.

Wracam do żołnierzy. Sytuacja jest bez zmian. Jest już czwarta, ale nikt z nas nie czuje głodu. Strzały w mieście nie tylko nie cichną, ale stają się coraz gęstsze. Rzucam pro-

pozycję ucieczki. Chodząc po podwórku zauważyłem, że jesteśmy pilnowani tylko od ulicy, tymczasem z boku domu jest wąskie przejście, którym można się wydostać do sąsiedniego ogrodu. Stamtąd przez jeszcze jeden, czy dwa ogrody, na oko puste, można dosięgnąć dużej kępy drzew, jakby lasku leżącego już właściwie poza miastem. Ryzyko jest duże, bo lasek może być obsadzony, ale ostatecznie jako żołnierzy pewnie nie czeka nas nic więcej niż powtórne wzięcie do niewoli. A może się uda. Wiemy, że z wcześniej zagarniętych oddziałów bolszewicy puścili wolno i pozwolili odejść żołnierzom, jeżeli mają rodziny tu, na terenie południowo-wschodnich kresów. Kazano im po prostu iść do domu.

Decydują się prawie wszyscy z wyjątkiem dwóch żołnierzy, którzy wolą czekać spokojnie na miejscu. Pojedynczo, korzystając ze znudzenia wartowników, przemykamy się za dom. Pierwszy idzie porucznik – ja ostatni. Przeskakujemy płotki i biegniemy w kierunku kępy drzew w odstępach parumetrowych.

Gdy dostajemy się do „lasku” okazuje się, że to jest cmentarz. Za nim jest droga, pusta, potem kawałek pola ze stogiem pośrodku, a dalej jakiś las, już chyba prawdziwy. Porucznik składa radę wojenną, w której uczestniczymy wszyscy. Jesteśmy trochę zaskoczeni tym, że tak łatwo udało nam się „uciec”. Map nie ma oczywiście nikt z nas. Tylko paru ma zegarki. Porucznik oświadcza, że musimy się podzielić na małe grupy po 3-4, bo bez broni tylko w małych grupach mamy szansę zdobywania noclegu i żywności. Pieniądzy mamy bardzo mało, ja np. tylko koło 5 zł., cała reszta została w plecaku, ale w ogóle nie wiadomo czy za pieniądze da się coś kupić.

Ci co mają krewnych lub znajomych we wschodnio-południowej części Polski, szczególnie na wsi, powinni próbować przedostania się do nich i czekania na dalszy rozwój wypadków. Inni mają dwie drogi – do Rumunii, lub na Węgry. Ja oznajmiam, że idę na Węgry. Rumunów znam nieco i wiem, że u nich, bez pieniędzy lub cennych rzeczy do sprzedania, szanse dania sobie rady są nikłe. Na Węgrzech może być łatwiej. Liczę też że zagraniczna sieć prasowa nie

uległa jeszcze rozbiciu, a wśród nich jest wielu moich osobistych znajomych. To powinno wystarczyć, aby najbliższy konsulat wydał mi jakiś dowód osobisty i ułatwił dalsze kroki. Przyłącza się do mnie dwóch starszych strzelców – Drecki i Heniek, ślusarz z Warszawy, którego nazwiska nigdy nie mogłem zapamiętać, a teraz wstydzę się pytać, gdy jesteśmy od dawna po imieniu.

Żegnam się z porucznikiem, który zdecydował iść na Rumunię. Pod samą granicą ma tam jakiś kawałek ziemi. Powoli, grupami rozchodzimy się w różne strony, mając wziąć właściwy kierunek marszu dopiero za godzinę, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać.

Jesteśmy teraz we trójkę. Idziemy w stronę lasu prosto przez pole. Na trzech mamy jeden chlebak i jedną manierkę. W chlebaku pół bochenka chleba, ręcznik wojskowy i puszka „żelaznej porcji”. W lasku wyłamujemy dla siebie laski, aby mieć choć cokolwiek w ręku. Trafiamy na ścieżynę i idziemy nią w kierunku mniej więcej południowym. Postanawiamy, że naszym pierwszym celem jest Stanisławów. Tam musimy odpocząć, zdobyć ubrania cywilne, a przede wszystkim jakieś informacje, mimo że w Stanisławowie nikt z nas nie ma znajomych. Tyle tylko, że ja pamiętam nazwisko i adres jednego prenumeratora *Przekroju*, który był wzruszająco serdecznym przyjacielem pisma i często korespondował z redakcją. Nie mam wprawdzie żadnych dokumentów, ale wystarczy gdy powiem treść ostatnich listów i odpowiedzi, aby się zidentyfikować. Aby go tylko zastać w mieście.

Dochodzimy do wioski Gaj, pierwsza pod Tarnopolem. Omijamy ją szerokim łukiem, ale psy nas wyczuły i szczekają zajadle. Nie wzbudza to jednak zainteresowania mieszkańców. W niedalekim mieście strzelają coraz gęściej. Znow się odzywają karabiny maszynowe.

Po minięciu długiej na półtora chyba kilometra wsi decydujemy wstąpić do obejścia położonego opodal wsi. Widać, że jest to zamożny gospodarz. Przyjmują nas nieufnie, nasze siwoniebieskie mundury często brane są za niemieckie, szczególnie gdy jesteśmy w czarnych beretach. Ale brak broni i polski język szybko przełamuje strach gospodarzy. Jest już blisko zachodu, a my od świtu nie jedliśmy nic. Zapytujemy

czy można by kupić mleka? Można, owszem, ale po co nam mleko? Gdy się dowiadują, że jesteśmy głodni, gospodyni, stara kobieta, powiada że ma dla nas coś lepszego niż mleko. Sami będą zaraz jeść wieczerzę, wystarczy i dla nas. Dostajemy ogromne michy gęstej zupy i suto kraszone kartofle. Zjawia się sam gospodarz, chłop chyba 70-letni, ale jeszcze w pełni sił. Są to Rusini. Bogacz miejscowy i ludzie religijni. Mają krewnego księdzem greckokatolickim w mieście. Bolszewików boją się jak ognia, co wzmacnia sympatie do Polaków. Jeszcze parę dni temu wyszczuli by tu nas zapewne psami – tu się przecież zaczyna okolica najbardziej zajadle antypolska, ale dziś bolszewik strzela w mieście do klasztoru greckokatolickiego, gdzie broni się garść strzelców miejscowych i mnisi ruscy. Toteż jesteśmy ugośczeni niemal serdecznie. Zjawia się wyrostek – najpierw spode łba przygląda się nam, słysząc polską mowę. Później, widząc przychylność gospodarza, którego nazywa dziadkiem i on się rozkrochmala. Wcale nie głupi chłopiec. Skończył cztery klasy gimnazjum w mieście i pracuje w wiejskiej ukraińskiej kooperatywie.

Gospodarze wypytują dokąd idziemy. Mówimy im, że do Stanisławowa, zamierzając dostać jakieś wskazówki marszu. Kiwają głowami – droga daleka i... trudna. Szczególnie dla Polaków. Radzą zatrzymywać się tylko u najbogatszych gospodarzy, bo ci z nienawiści do bolszewików będą dla prostych polskich żołnierzy bardziej przychylni, albo szukać przysiółków, bo tam pewno będą polscy koloniści. Wytaczają nam drogę od wioski do wioski z mijaniem głównych dróg, przynajmniej na następne dwa dni. Dostajemy też nazwisko znajomego we wsi, w której mamy jutro nocować, bo już jest zdecydowane, że dziś przenocujemy tutaj. Przychodzą jeszcze krewniacy, dwoje, kobieta i mężczyzna z Tarnopola. Są bardzo przerażeni, i nie objawiają żadnego zdziwienia na nasz widok. Przynoszą wieści z miasta.

Okazuje się, że strzelać zaczęli członkowie Strzelca z okien domów na rynku i w pierwszej chwili wystrzelali cały oddział, rozbijający żołnierzy. Nie przewidzieli, że nie uda się im unieszkodliwić czołgów. Czołgi ustawiły się przy stosie broni i otworzyły ogień do okien. Jednocześnie do miasta

podeszli KOP-owcy i słysząc strzały, zaczęli szturmować najbliższe czołgi. Podobno wybili załogę z dwóch czołgów na drodze, ale zmuszeni zostali do odwrotu zanim zdążyli objąć zdobyte czołgi. Zamknęli się w starej baszcie i walczą do tej pory. Strzelcy z miasta zamknęli się w klasztorze ruskim, a część policji i trochę żołnierzy – w katedrze katolickiej. Wszystkie te punkty są otoczone przez bolszewików i walka trwa, beznadziejna. KOP-owcy chcieli się już poddać, ale bolszewicy jednego parlamentariusza zastrzelili, a drugiemu kazali wrócić i oznajmić, że zgadzają się przestać strzelać, ale za karę, że KOP-owcy napadli na czołgi, co drugi będzie rozstrzelany. Wobec tego walka trwa dalej.

Spśród żołnierzy rozbrojonych rano, bolszewicy puścili do domu większą część. Po napadzie KOP-u, rozwścieczeni wystrzelali prawie wszystkich rozbrojonych i zatrzymanych oficerów, których trzymali w ogrodzie przy starostwie. Zakonnikom ruskim kazali opróżnić klasztor, który zajmują dla zakoszarowania wojska, pozwolili im wrócić do domów, ale przedtem kazali pochować wystrzelanych oficerów nago. Pilnowali aby wszystkie ich rzeczy, a nawet drobiazgi osobiste i tabliczki identyfikacyjne zostały złożone na samochodzie ciężarowym, specjalnie na to przeznaczonym. Jedną zakonnicę, która chciała ukryć zdjęty z szyi zabitego medalik – zastrzelili na miejscu.

Ile w tym prawdy, nie wiem. Trudno dopytać się co ta kobieta widziała naocznie, a co tylko słyszała. Ale mieszkała obok starostwa i jakoby patrzyła na to wszystko z okna.

Zmierzcha się już, gdy do pukaniny dołącza się odgłos strzałów artyleryjskich. Rozmowa milknie. W tej chwili wbiega zdyszany chłopak – „poczta” wiejska i oznajmia, że patrol bolszewicki „z tanką” wjeżdża już do wsi. Gospodyni nas prosi, abyśmy sobie poszli. Boi się, że będzie z nimi „bogaczami” bardzo źle, jeżeli tu bolszewicy znajdą polskich żołnierzy. Sami nie mamy ochoty spotkać się z nimi tak blisko Tarnopola. Zabieramy się szybko do odejścia, żegnamy gościnnych ludzi. Gospodyni daje nam na drogę koszyk jabłek. Ruszamy szybko w stronę lasu. Właściwie i tu już jest las, ale rzadki i bez poszycia. Do prawdziwego mamy ze 200 metrów. Wyraźnie słychać szcęk gąsienic we wsi. Są od nas nie dalej niż

50 m. Idziemy szybkim krokiem. Nagle za nami pada strzał, a potem cała seria. Nie ma żadnej wątpliwości że to do nas. Biegiem przebywamy ostatnie 100 m, ale przed samym lasem automatycznie padamy wszyscy na ziemię gdy zaterkotał karabin maszynowy. Strzela czołg, ale patrol ukrył się za chatami i nie posuwa się ku nam. Może obawiają się, że jesteśmy czujką jakiegoś większego oddziału w lesie. Czołg szczeka krótkimi ale częstymi seriami. Wstać nie możemy, bo kule tną pnie drzew o jakieś 15 cm nad naszymi plecami. Naturalnie nie widzą nas, strzelają na ślepo, toteż biorą pod ostrzał coraz szerszy pas lasu. Sytuacja jest bardzo denerwująca, póki jednak nic nie robią poza strzelaniem i my leżymy spokojnie. Po chwili od strony czołgu słyszymy wystrzał jakiś inny. W górze rozbłyska zielona rakietą. Za nią dwie niebieskie. Nie wiemy co to ma znaczyć, ale nas to denerwuje. Zaczyna się robić coraz ciemniej i boimy się, że bolszewicy mogą ku nam posuwać się. Zaczynamy się ostrożnie czołgać w tył. Szczęście nam sprzyja – nie przeszliśmy nawet 10 metrów, gdy nagle grunt się obniża: jar niewielki wprowadzie ale z daleka zupełnie niewidoczny, a dość głęboki aby w nim można stać. Na dnie jest nawet jakaś ścieżka. Idziemy tak szybko jak możemy bez tupania. Karabin maszynowy co chwila siecze liście nad nami. Posuwamy się w kierunku północno-zachodnim, jak się orientuję z widocznej już Małej Niedźwiedzicy. Jest to niezupełnie zgodne z naszymi zamiarami, ale trudno. Przynajmniej oddalamy się od miasta i od patrolu bolszewickiego. Od strony miasta strzały armatnie gęstną coraz bardziej, ale wkrótce wszystko ucicha. Idziemy dobrym tempem. Szliśmy tak z pół godziny, gdy jar się skończył razem z lasem. Wychodzimy na pole. Noc jest bardzo ciemna, księżyc nie ma. Po wyjściu z lasu bierzemy kierunek wprost na południe idąc na przełaj przez pole. Idzie się teraz bardzo trudno, gdyż znaczna część łąnów jest już zaorana, a ziemia, lepka i tłusta lgnie do naszych wojskowych butów.

Szliśmy parę godzin. Sporo czasu zajęło nam przekroczenie toru kolejowego, który nam przeciął drogę, bo nie wiedzieliśmy czy tor nie jest patrolowany i musieliśmy zachować całą ostrożność wojskowego „podchodzenia”, a przy tym nie stracić łączności ze sobą.

Poza torem, gdy wyszliśmy na jakieś bardziej wzniesione miejsce, Tarnopol wyłonił się zza lasu. A raczej nie Tarnopol a wyraźna łuna pożaru w jego stronie. Strzałów nie słysząc, ale ogień wyraźnie narasta. Jesteśmy oddaleni od miasta o jakieś 10-12 km, ale wiatr niesie wyraźny swąd spalenizny. Idziemy wciąż poprzez puste pola, coraz bardziej niepewni kierunku, bo niebo się zachmurza. Łuna płonącego Tarnopola odbija się krwawo od chmur. Zaczyna padać drobny deszcz. Po upływie pół godziny marsz poprzez zaorane pole staje się wprost niemożliwy. Napotkawszy jakąś miedzę idziemy nią w zachodnim kierunku. Łany są tu bardzo długie. Przechodzimy jedną drogą polną, potem drugą, potem jakiś jar z małym na dnie strumykiem. Deszcz pada coraz większy. Dochodzimy znów do lasu. Iglasty z bardzo gęstym poszyciem. Jesteśmy już dobrze przemoczeni i zziębnięci mimo marszu. Szukając jakiegoś większego krzaka, pod którym moglibyśmy zanocować, na tle pożaru widzimy nagle sylwetkę wielkiego stogu. Szybko biegniemy 50 m. Jest to wielki stóg żyta, obok niego młockarnia i byle jak porozrzućcana słoma. Widać, że młóci się tu z wielkim pośpiechem. Wkopujemy się głęboko w stóg. Mimo starannie „wymoszczonego” gniazda szczękamy zębami z zimna. Spać zupełnie nie można. O świcie deszcz już nie pada. Wyglądając ostrożnie ze stogu widzimy w pobliżu zabudowania folwarczne, których w nocy nie dostrzegliśmy wcale. Na folwarku zaczyna się ruch, więc wychodzimy z brogu. Drecki idzie na dziedziniec. My czekamy, obserwując z ukrycia jakiego dozna przyjęcia i ewentualnie będziemy mu ułatwiać odwrót. Las jest tuż. Ale przyjęcie nie jest wrogie. Idziemy i my. Gospodarz jest Rusin, raczej opryskliwy, ale dostajemy gorącego mleka i chleba. Potem idziemy spać na gumno. Mają nas zbudzić na południowy posiłek. Dostajemy zwój lnianych płacht – będziemy mogli wysuszyć mundury. Śpimy niedługo, zmieniając jedną czujkę, bo ponure miny domowników nie dają nam spokoju. Bardzo złośliwie wyrażają się o polskim wojsku. Musimy znosić to w milczeniu, bo przymówki nie przekraczają granicy obrazy, a my nie mamy wyboru. Korzystamy z posiadania igły i nici i czynimy nasze mundury mniej jaskrawo „wojskowe” przez

obszycie metalowych guzików suknem z owijaczy. Spodnie są długie i mogą uchodzić za cywilne. Patki wypruwamy. Możemy teraz udawać jakichś oficjalistów. Obiad dostajemy skromny – chude kwaśne mleko i kartofle, ale dobre i to bo pieniądze od nas nie biorą.

Po obiedzie ruszamy dalej, wypytując o drogę do wsi, która miała być naszym pierwszym etapem. Nie jest bardzo daleko, powinniśmy dojść przed wieczorem. Od Tarnopola jesteśmy oddaleni o 17 km. Idziemy lasem.

Jest to jakieś „byłe” nadleśnictwo państwowe. Zbliżając się do niewielkiej wioski, rozłożonej na wzgórzu polany, spotykamy idącego w tę samą stronę Rusina. Mimo obustronnej nieufności, a może właśnie dlatego, nawiązuje się „dyplomatyczna” rozmowa. Rusin jest byłym gajowym nadleśnictwa i przywiązany do swojej pracy. Ubolewa nad gwałtownym niszczeniem lasu, jakie już „chamy” zaczęły. Powoli wciągamy się w pogawędkę. Gajowy radzi nam nie zbliżać się do tej wioski, bo „tu są ludzie niedobre”. Ostrzeżenie znamienne, choć nie mieliśmy zamiaru zbliżać się do wsi (Czartorii?).

Idziemy bokiem polany, mając tyły wioski o jakieś 300 m. Tu i ówdzie spod chałup przyglądają się nam wyrostki, ale idziemy pewnym krokiem i nie zwracamy na nich uwagi. Za wioską rozciąga się druga polana, zupełnie płaska. U jej brzegu stoi zamaskowany od góry krzakami przybitymi do drągów – samolot. Poznajemy z daleka – „erwudziak”. Stajemy jak wryci. Przebiega mi pokusa, aby zabrać samolot, jeżeli jest w nim benzyna i uciekać górą, mimo że żaden z nas nie jest pilotem. Erwudziak jest łatwy do prowadzenia. Gajowy dostrzegł moje wahanie i widocznie zrozumiał – nie jest bardzo trudno rozpoznać, że mamy mundury lotnicze.

– Niech panowie o tym nie myślą. Z tej maszyny nic nie będzie. Zostawili tu ją piloci i poszli piechotą, bo coś się w motorze popsuło. Rano był tu już patrol bolszewicki, wypuścił benzynę na ziemię i kazał chłopom pilnować samolotu, jak oka w głowie. Siedzą tam w krzakach z karabinami.

Idziemy dalej. Oczywiście próba porwania zepsutego

samolotu byłaby pomysłem niewykonalnym. Jest nas więcej niż erwudziak nawet w doskonałym stanie mógłby zabrać. Przechodząc dalej, widzimy wyraźnie, że prawa goleń samolotu jest złamana, a za maszyną siedzą na ziemi i grają w karty chłopcy wiejscy. Karabiny ich leżą na ziemi.

Przerywają grę i wyzywająco przyglądają się nam gdy przechodzimy. Las się kończy. Do dzisiejszego celu podróży mamy jeszcze około 4 km. Gajowy nas żegna, idzie w inną stronę, ale objaśnia szczegółowo jak iść nie wychodząc na większą drogę. Staramy się wędrować ścieżkami i drogami polnymi.

Zaczyna się zmierzchać gdy wchodzimy do wsi. Jest to wieś bardzo duża o kilkuset chałupach, rozciągnięta wzdłuż trzech, przecinających się dróg, a właściwie dwie wsie razem (Chodacków?). Jedna większa, ukraińska, druga polska „kolonia”. Chałupa, o którą pytamy, należy do części ukraińskiej i znajduje się prawie na końcu wsi. W tej dużej i ludnej wsi nie wzbudzamy większej sensacji, tym bardziej że skwapliwie potwierdzamy pytanie czy jesteśmy krewnymi gospodarza, o którego pytamy. Nie znając dobrze miejscowego dialektu ukraińskiego, mówię po rosyjsku, wiedząc z doświadczenia że w tej okolicy Rusini starają się polskiego „nie rozumieć”. Do wsi wróciło już trochę rezerwistów, a bolszewików jeszcze nie było, gdyż główny trakt jest odległy o kilkanaście kilometrów.

Gospodarstwo, do którego wchodzimy, jest dość oryginalne. Dwie chaty obok siebie zawierają dwie rodziny, siedzące na nie podzielonym gruncie spadkowym. Przyjęci jesteśmy bardzo gościnnie, gdy powołujemy się na staruszków z naszej pierwszej wsi. Są to krewniacy bardzo w rodzinie szanowani. W chatach są tylko kobiety i dzieci. Jedna jest wdową od roku, a drugiej mąż został zmobilizowany i nie wiadomo gdzie jest. Prawie wszyscy rezerwiści ze wsi już wrócili, a on jeszcze nie i nikt nie wie co się z nim dzieje. Pułk do którego należał miał kilka ostrych walk w odwrocie spod Przemyśla. Prócz dwóch kobiet jest jeszcze jedna w chacie młoda dziewczyna, siostra jednej z gospodyń. Wdowa i mąż-rezerwista są rodzeństwem, dziedzicami gruntu.

Dostajemy znakomitą kolację i obfite poślanie do

stodoły, gdzie lokujemy się w sąsięku, wysoko wypełnionym zbożem. Na drugi dzień rano dostajemy śniadanie, które nas wprawia w zdumienie. Jajecznica chyba z tuzina jaj na wędzonce. Wszystkie kobiety są z nami, siedzą przy stole, choć nie uczestniczą w jedzeniu. Po podwórzu biega pięcioro, czy sześcioro dzieci. Jedno, najwyżej roczne jest w chacie.

Toczy się rozmowa, z której dowiadujemy się, że pomiędzy wsią „ukraińską” a „kolonią” panują stosunki napięte. Nasze gospodynie trzymają raczej z Polakami, gdyż same należą do najbogatszych gospodyń i są z tego powodu przez resztę wsi otoczone zawiścią. Teraz, gdy przychodzą bolszewicy, kobiety instynktownie czują niebezpieczeństwo raczej od swoich. Obawiają się że we wsi „będzie krew”.

W końcu zaczynają nas namawiać, żebyśmy zostali tu dłużej. Pójdziemy jeżeli chcemy, gdy się trochę uspokoi i wyjaśni sytuacja wojenna, a tymczasem możemy pomóc w gospodarstwie, które wymaga pracy, a znalezienie najemnika jest obecnie niemożliwe. Rozumiemy teraz obfitość posiłków! Aby nas bardziej zachęcić do pozostania, opowiadają nam o licznych rabunkach, jakich parobcy wiejscy już zdążyli dopuścić się na wędrujących rezerwistach, obdzierając ich z mundurów i doskonałych butów wojskowych. W każdej wsi znalazło się parę karabinów, nie wiadomo skąd, a żołnierze są bezbronni.

Wreszcie dowiadujemy się, że kobiety planują przeniesienie naszego noclegu do chat i rozdzielenie nas pomiędzy dwie chałupy. Dziewczyna zupełnie wyraźnie zaczyna wiejskie flirty z przystojnym Dreckim.

Zaczyna mnie to trochę przstraszać. Trzeba jednak zostać przynajmniej jeden dzień, aby odpracować przyjęcie. Jest zaległych szereg drobnych robót gospodarskich. Jest też jakieś pilne młócenie, bo trzeba na gwałt zawieźć żyto do młyna na wymianę, póki jeszcze Żyd-młynarz wymienia ziarno na mąkę. Zaraz po śniadaniu zabieramy się do młocki. Pracujemy cały dzień – obiad kobiety przynoszą nam do stodoły, gdzie młócimy, naturalnie cepami. Moim towarzyszom zaczyna się uśmiechać propozycja gospodyń. Wędrówka poprzez zbolszewizowaną ukraińską okolicę, zawsze nie-nawistnie nastawioną do Polaków, nie jest perspektywą pociąg-

gającą. Mamy do przejścia do Stanisławowa około 60 km, a tam dalej jest zupełna niewiadoma. Zaczynają argumentować za przyjęciem zaproszenia. Niemalą rolę gra perspektywa „nocnych” obowiązków wobec młodych i ponętnych Rusinek, które są najwidoczniej bardzo „wygłodzone”.

Zaczynam oblewać moich towarzyszy zimną wodą. Oświadczam, że w każdym razie ja jutro rano idę dalej – z nimi czy sam. Niech robią co uważają za słuszne. Nie uda się im ukryć przed wsią na długo, że nie są naprawdę krewnymi. Trudno przewidzieć jak by się do nas ustosunkowała jakaś przysła władza bolszewicka, czy miejscowy sowiet, który tu lada dzień powstanie. Na żadne „wyjaśnienie” sytuacji nie ma co liczyć. Łatwiej może się uda przemknąć do granicy właśnie teraz, podczas powszechnego bałaganu, niż później, gdy trzeba będzie mieć jakieś dokumenty, a na pewno pieniądze, których żaden z nas nie ma. Wszyscy razem mamy około 20 zł. Moja argumentacja ostudza ich zapał. W rezultacie wszyscy decydują iść dalej.

Wieczorem spada na mnie obowiązek oznajmienia o tym kobietom. Wyznaczoną porcję żyta wymłóciliśmy, odwiali i zawiązali piękny worek, który władowaliśmy na wóz.

Staram się mówić tak aby nie zrazić kobiet, nastawionych do nas bardzo przychylnie. Tłumaczę im, że zostalibyśmy bardzo chętnie, ale nie chcemy narażać ich na niebezpieczeństwo. Jesteśmy Polakami, czego się nie da ukryć, bo nie mówimy miejscowym językiem, a za przechowywanie Polaków-żołnierzy mogłyby ich spotykać bardzo ciężkie przykrości. Musimy wobec tego iść dalej i pójdziemy jutro rano. Proszę aby nam wskazały trasę i może kogoś ich znajomego we wsi, gdzie moglibyśmy się zatrzymać wieczorem na nocleg.

Z rozczarowaniem i smutkiem uznają wreszcie, że tak będzie najlepiej i dla nich. W nocy słyszymy dalekie pojedyncze strzały. Orientujemy się, że zamierzone wędrowanie głównie nocami i lasami jest trudne. Nie znając dróg i okolicy narażalibyśmy się na błędzenie i spotkania z rabusiami wiejskimi. Trzeba plan zmodyfikować.

Po wyjściu ze wsi, która się nazywa Nastasów, postanawiamy iść drogą polną, razem z gospodynią, odwożącą żyto

do młyna. Tak dojdziemy do rzeki Strypy, a potem będziemy iść wzdłuż rzeki aż do Dniestru.

Środa, 20 września

Nie wyszliśmy bardzo wcześnie, bo po śniadaniu gospodynie zapakowały nam tobołki prowiantu na drogę, potem trzeba było zaprzęgać konia i gdy wreszcie dotarliśmy do młyna było już prawie południe. Żyd-młynarz jest zamknięty na klucz w komorze bez okien przez swego czeladnika, wyrostka Rusina, który założył sobie czerwoną opaskę na rękaw i oznajmia nam, że objął młyn z ramienia „władzy ludowej” i Żyda odda czerwonej armii, która tu ma przyjść jutro. Bez ceremonii każe Dreckiemu, który jest najbliżiej zdjąć z wozu przywieziony worek ziarna i zanieść do składu. Kobiecie, która się wtrąca mówiąc, że to jej żyto i chce najpierw zobaczyć jaką dostanie za to mąkę, odpowiada że dziś da jej tylko pokwitowanie na ziarno dostarczone do ludowego młyna, a mąkę Komitet ze wsi Nastasów rozdzieli sprawiedliwie na zebraniu w niedzielę. – No, jazda, czego czekasz! woła po rusku do Dreckiego potrącając go trzymanym w rękę wiekowym karabinem, na którym miał założony cienki rosyjski, czworograniasty bagniet, ale jak wszyscy widzieliśmy, nie miał zamka. Drecki, rośły, o głowę od wyrostka wyższy, odruchowo – jak się potem tłumaczył – stuknął go, odpychając, otwartą dłońią w nos i twarz, co wystarczyło, że chłopak potknął się, w tył przewrócił i uderzywszy głową o kamienne schodki domu, stracił przytomność.

Wszyscy zrozumieliśmy, że stała się rzecz fatalna, ale nie tracąc czasu we trzech zabraliśmy mu karabin, związali ręce i nogi postronkiem i zakneblowali jego własną czapką wpakowaną między zęby i przywiązaną sznurkiem. Kolbą „karabinu” rozbiliśmy drzwi komory, w której Żyd nie przestawał lamentować od chwili gdyśmy przyjechali. Wyszedł z niej przerażony, ale nie tracący zimnej krwi, rośły, pięćdziesięcioletni mężczyzna, bardziej wyglądający na ruskiego chłopca niż na Żyda.

Powiedział nam, że ten jego czeladnik na własną rękę, podstępem zamknął go w komorze przedwczoraj i już kilkunastu chłopom zabrał zboże w taki sam sposób, w jaki zamierzał zabrać tej kobiecie. Nie wie, czy był on w porozumieniu z jakąś bandą, czy robił to na własny rachunek, ale nikt inny z tego niby-Komitetu jeszcze się tu nie pokazał. Kobiecie, którą znał od dawna jako swoją klientkę, dał na wóz ostatnie we młynie dwa worki mąki nie zabierając jej żyta i umówił się, że przyjdzie do niej wieczorem. Kazał jej od razu jechać szybko do domu i nic nikomu nie mówić co się tu stało. Tylko coś ugotuje i zje, zabierze parę drobiazgów i ucieka stąd. Wstąpi do niej i zobaczy co dostanie za mąkę, a potem pójdzie do Zbaraża, gdzie już przed miesiącem wysłał do krewnych całą rodzinę.

Po odjeździe gospodyni mocno wstrząśniętej całą historią, młynarz z naszą pomocą przeniósł związanego i wciąż nieprzytomnego chłopaka do tej samej komory, gdzie siedział zamknięty, choć teraz rozbite drzwi nie dały się zamknąć. Przymocował je deską przybitą gwoździami do framugi. Nie pytał nas o nic, ale gadał bez przerwy, mniej więcej chaotycznie, na wpół po polsku, na wpół po ukraińsku, mieszając całe zdania w żargonie. Krzątał się przy tym cały czas, zbierając jakieś rzeczy w tobołki, a równocześnie gotował jakieś kluski z cebulą na kominie. Potem usiadł razem z nami przy stole narzekając, że nie ma mleka ani żadnej omasty, ale radził jeść aby nie być o pustym brzuchu. Sam jadł łapczywie, najwidoczniej dobrze wygłodniały w komorze, ale nam nie szło to w gardło, zresztą mieliśmy rano obfite śniadanie. Upłynęła nie więcej niż godzina od naszego przyjazdu do młyna. Żyd dał nam spory bochen czerstwego chleba żytniego i radził bez zwłoki iść dalej, wskazując jak się kierować polami do wsi Wesołówka, gdzie mieliśmy zanoć u gospodarza, reemigranta z Ameryki, nazwiskiem Kinoch. Idąc dobrym krokiem mieliśmy tam być jeszcze przed nocą.

Szliśmy wytężonym krokiem chcąc oddalić się jak najszybciej od młyna, a kiedy, jak zwykle, przystaliśmy po godzinie marszu na parominutowy odpoczynek, zobaczyliśmy słup czarnego dymu. Nie mieliśmy wątpliwości, że wkrótce po naszym odejściu Żyd podpalił swój młyn.

Czwartek, 21 września

Do Wesołówki doszliśmy o zmroku, ale dzięki dokładnemu opisowi, jaki dała nam gospodyni w Nastasowie, znaleźliśmy bez trudu i bez pytań obejście Kinocha. Przyjmuje nas bez entuzjazmu, ale pozwala przenocować w pustym sąsieku. Przed nocą przynosi nam zresztą do stodoły trzy wielkie pajdy chleba ze słoniną i wydaje trzy snopki słomy do pośłania na klepisku, ale poleca wynieść się przed świtem bez pożegnania i iść spokojnie, bez pośpiechu wprost przez wieś. Rzeczywiście, nikogo nie spotkaliśmy we wsi i nikt nas nie widział, mimo że już było prawie zupełnie widno. O parę stająn za wsią spotkaliśmy dwóch pilotów, którzy nagle wyłonili się za pagórkiem z bocznej ścieżki. Wydostali się z matni w Kopyczyńcach i zamierzają iść do Lwowa. Obaj mówią doskonale po ukraińsku toteż idą swobodnie, nie obawiając się miejscowych Rusinów. Odradzają nam iść wzdłuż Strypy do linii kolejowej informując, że Buczacz i najbliższe okolice są silnie obsadzone przez komitety „czerwono-czarnych” Rusinów zorganizowane przez bolszewików, którzy mają silny garnizon w Buczacz. Orientując się nieźle w okolicy radzą przedostać się bocznymi drogami do Żłotej Lipy, od której mamy być o około 30 km i iść wzdłuż niej, ale nie dochodząc do samego Dniestru zawrócić na wschód do przystanku kolejowego Komarówka. Pociągi wciąż jeszcze chodzą choć bardzo nieregularnie. Armia Czerwona nie obsadziła jeszcze linii i kontrola jest tylko na większych stacjach. O Stanisławowie nie ma co myśleć, jeżeli nie mamy tam pewnych adresów i gotowych melin. Ale może się nam uda złapać pociąg idący wprost do Worochty. Cała ta narada zajęła nam sporo czasu toteż już dobrze rano idziemy dalej. Mijamy spalone tej nocy kolonie polskie koło wsi Sinikowce i wskazaną nam przez pilotów krótszą drogą przez wieś Bieniawę przechodzimy Strypę. W Bieniawie, przed mostem uzbrojona „milicja” ludowa rewiduje nas czy nie mamy broni, ale bez większych kłopotów idziemy dalej. Zaraz za mostem we wsi Sosnowa znów zatrzymuje nas „milicja” i tym razem idziemy do urzędu w dawnym wójtostwie, gdzie podlegamy całej indagacji.

Okazała się tu doskonała rada pilotów, dzięki której, przed rozejściem się z nimi, na posiadanych przeze mnie przypadkowo formularzach do raportów meteorologicznych (dla lotników i artylerzystów), jakie miałem w kieszeni munduru i które zresztą po odcięciu urzędowego nagłówka używałem do robienia tych notatek – wypisałem po rosyjsku zaświadczenie, że jesteśmy pracownikami naukowymi stacji meteorologicznej na Pop Iwan (tj. koło Worochty) i władze Armii Czerwonej demobilizują nas i każą niezwłocznie udać się z powrotem do stacji na Pop Iwan, oraz polecają wszystkim władzom i instytucjom po drodze ułatwić nam podróż. Podobnej treści „dokument”, z odpowiednimi zmianami, zrobiłem też dla naszych spotkanych pilotów. Na ceratowym opakowaniu „indywidualnego opatrunku” wyrysowany chemicznym ołówkiem na mokro wzór pieczęci z pięcioramienną gwiazdą i nazwami władz wojskowych posłużył dla zrobienia odbitki „pieczęci”.

Nasz „dokument” jest długo oglądany i jego treść musimy wielokrotnie powtarzać z polska po rusku, ale rosyjski język napisu i niezbyt wyraźna pieczęć, jednak na prawdziwym urzędowym, choć polskim, formularzu robią na nich pewne wrażenie. Chcą nas zatrzymać pod pozorem zakwaterowania, ale odpowiadamy że do noclegu jeszcze daleko, a my mamy wyraźny rozkaz wracać do swojej stacji bez zwłoki. Wydostaliśmy się wreszcie już dobrze po południu, ale za to dostaliśmy jeszcze przed odejściem miskę mamałygi i mleka do manierki. Przed nocą doszliśmy do polskiej kolonii Ogińszczyzna, gdzie dostaliśmy nocleg u gospodarza nazwiskiem Nędza.

Piątek, 22 września

Dostaliśmy kwaśne mleko na kolację i nocleg w izbie. Wyszliśmy wcześniej rano i na południe doszliśmy do miasteczka Podhajce. Jest to końcowa stacja bocznej linii kolejowej do Lwowa. Pociągi jeszcze nie kursują na tej linii, bolszewików tu nie ma. W jakimś ni to Komitecie Obywatelskim ni to Radzie Opiekuńczej dostajemy gorącą

herbatę do własnego chleba. Spotykamy tam dwóch cywilnych Polaków, od których dowiadujemy się wkrótce, że też starają się dostać do Worochty. Na ich propozycje decydujemy się iść razem z nimi. Są lepiej zorientowani w tej okolicy i nawet mają małą mapę. O 30 km stąd, w Monasterzyskach jest inna linia kolejowa, po której podobno pociągi chodzą, a linia prowadzi wprost do Worochty. Po drodze spotyka nas kolumna wozów. Są to „podwoły” zarekwirowane przez naszą armię wycofującą się na Lwów. Zwolnione w Brzeżanach wracają puste do domu. Dostajemy od nich podwoję do Monasterzysk, ale gubimy się przy tym z naszymi przygodnymi cywilami, gdyż wsiedli na inną furę. Musimy tu nocować, bo pociąg jest dopiero rano. Noclegu nie udaje się dostać. Siedzimy przez całą noc w gromadzie ludzi z tobołkami, którzy tak jak i my czekają na pociąg.

Sobota, 23 września

Rano wyjechaliśmy z Monasterzysk. Konduktor, który zresztą nikogo nie pyta o bilet, w korytarzu, gdzie staliśmy przy wejściu, aby w razie czego wiać, rozpoznał może nie tyle mundury, które nie mają już guzików z orłami, patek i dystynkcji, ale buty, oświadczył, że w Stanisławowie żandarmi bolszewicy wezmą nas od razu ze stacji do obozu jeńców. Ale możemy wysiąść w Chryplinie bez kontroli, a tam, koło południa będzie pociąg do Worochty. Stosujemy się do tej rady i mimo szalonego zatłoczenia krótkiego, z trzech wagonów złożonego pociągu przyjeżdżamy do Worochty o zmierzchu. Po wyjściu ze stacji nie zatrzymujemy się, aby nie wzbudzać zainteresowania własną osobą jakichś podejrzanych typów, którzy już na stacji pilnie przyglądali się wszystkim podróżnym, a parę osób zatrzymali pytając o dokumenty, szliśmy dość powoli niepewni co z sobą dalej robić. Wiedziałem, że stacja Pop Iwan na Howerli jest więcej niż 20 km od Worochty, ale nigdy tu nie byłem, nie wiedziałem jak się tam dostać, zresztą nie mieliśmy pojęcia, czy polska obsługa stacji jeszcze jest i jeżeli jest, to co nam może pomóc. Ostatecznie, była to stacja „cywilna”. Tak nas idących mijają

jakaś starsza pani, którą widzieliśmy już na stacji, wypatrującą widocznie kogoś kto miał przyjechać, a nawet którą jeden z owych podejrzanych osobników legitymował. Przechodząc koło nas, obrzuciła nas bystrym spojrzeniem i półgłosem rzuciła: „Polacy?” Tak, odpowiedziałem równie cicho. „Wojskowi?” Tak. „Macie nocleg?” Nie. „To idziecie ze mną”. Dostaliśmy doskonały nocleg. Wypoczywamy świetnie, nie potrzebując wystawiać „czujki”.

Niedziela, 24 września

Willi, w której nocowaliśmy, wydaje się niezamieszkała. Jest tu kilka łóżek z materacami i kocami samodzielowymi, parę stołów i stołków. W kuchni trochę garnków, talerzy i kubków. Parę łyżek. Poza tym nie ma tu nic. Niewielki ogród przy willi zarośnięty zielskiem. Dokoła krzaki jak na porębie. Najbliższy domek o jakieś 300 metrów w stronę miasta, ledwo widoczny za kępą drzew. Droga bita, od której willa odsunięta jest o jakieś 20 metrów, prowadzi prosto do lasu odległego o jakieś pół kilometra. Zanim moi towarzysze pobudzili się, zjawiła się nagle pani, która nas tu wczoraj przyprowadziła. Przyniosła w koszyku dzbanek z gorącą kawą i jakiś zapas jedzenia „na drogę”. Według jej informacji, starostwo jest już wyewakuowane i żadnych władz administracyjnych łącznie z policją nie ma. Są jakieś podejrzane samorządne grupy ukraińskiej „milicji” obywatelskiej, ale jeszcze nie zorganizowane. Jedyna dla nas droga, przez zieloną granicę. Pozostawanie w Worochcie dla mężczyzn w wieku „wojskowym” jest niebezpieczne. Powinniśmy bez zwłoki przejść na stronę węgierską. Dostaję informacje jak się kierować przez las, aby uniknąć spotkania z kimkolwiek. Szczególnie dziś jest czas właściwy. W niedzielę nie ma nikogo w tartaku.

Pani odmawia podania swego nazwiska. Domaga się abyśmy zapomnieli o adresie noclegu. Tak będzie praktycznie, na wypadek wpadki w ręce bolszewików czy Ukraińców. Z niewyraźnych wzmianek domyślam się, że Pani ta stara się zorganizować meliny i ośrodek informacyjno-przerzutowy

przez granicę węgierską, ale jeszcze nie ma oczekiwanego przewodnika i musimy iść sami. Jest nieco zawiedziona gdy dowiaduje się, że mimo mundurów lotniczych nie jesteśmy nawet z obsługi, ale tylko meteorolodzy. To znacznie zmniejsza naszą wartość. Mamy opuścić willę niepostrzeżenie, nie później niż o 3-ciej, gdyż przed wieczorem sprowadzone tu będą dwie rodziny uchodźców cywilnych.

Wychodzimy do lasu zaraz po 2-giej po południu, ale mam tylko ustne wskazówki. Jesteśmy bez żadnej mapy, planu, kompasu, czy latarki. Na trzech mamy tylko jeden płaszcz, dwa chlebaki i trzy manierki. Tylko jeden z nas ma dwadzieścia kilka złotych, ja wciąż zdołałem uchować swój kieszonkowy zegarek.

Po skręceniu z drogi w las we wskazanym miejscu, idziemy bez ścieżki, terenem powoli wznoszącym się w górę, porośniętym niezbyt gęstym młodym lasem świerkowym. Mamy w ten sposób dojść do góry Kukol, na której grzbiecie przechodzi granica. Po naszej stronie straży granicznej polskiej już nie ma, a objęte przez bolszewików i Ukraińców posterunki graniczne jeszcze jakoby nie wysyłają patroli granicznych. Mamy się jednak strzec patrolu węgierskiego, który podobno schwytanych na granicy odstawia do posterunku granicznego i oddaje władzom, a więc w tym wypadku bolszewikom. Nie bardzo chce się wierzyć, że tak jest, ale nie mamy ochoty sprawdzać tego na własnej skórze. Tymczasem grunt zaczyna się pokrywać śniegiem a równocześnie zapada ciemność. Posuwamy się bardzo powoli starając się iść cicho i nie zmylić kierunku południowego. Śnieg staje się coraz głębszy, a równocześnie jest miękki i mokry, bo nie ma mrozu. Zaczyna się wciskać do butów poprzez cholewki (nie mamy owijaczy). Iść jest coraz trudniej. Słyszymy w pewnej chwili trzask gałęzi i kroki. Stoimy bez ruchu dłuższy czas, aż w ostatniej chwili orientujemy się, że w poprzek naszej trasy idą niedźwiedzie. Co najmniej trzy, a więc zapewne niedźwiedzica z małymi. Spotkanie z nimi może być wcale nieprzyjemne, bo choć zazwyczaj karpackie niedźwiedzie nie należą do agresywnych i ustępują z drogi człowiekowi, to przecież właśnie niedźwiedzica z małymi należy do wyjątków. Zorientowawszy się, że idą wprost na

nas, wchodzimy na drzewa aby nie zwracać na siebie uwagi i czekamy aż się to towarzystwo przesunie. Trwa to jednak dość długo, bo niedźwiadki łożą tam i z powrotem, kopią w śniegu, baraszkują. Siedzimy na drzewach co najmniej pół godziny, czego nie mogę sprawdzić, bo mój zegarek nie ma fosforyzujących wskazówek. Schodzimy wreszcie na dół zmarznięci na kość, a równocześnie przemoczeni topniejącym śniegiem, który osypuje się z gałęzi przy najmniejszym ich poruszeniu. Jest pełne zachmurzenie, więc bardzo ciemno mimo pokrywy śnieżnej. Jest dobrze po północy gdy wchodzimy na jakąś porębę, gdzie znajdujemy szałas wśród szeregów przyzm ustawionych z porąbanych pni jak na podpory kopalniane. Po długich wysiłkach udaje się nam nareszcie rozpaścić ognisko, które zakładamy w szałasie, aby nie świecić. Poza tym robi się w ten sposób szybko ciepło i możemy wysuszyć mundury, a przede wszystkim onuce i buty. Gotujemy wodę ze śniegu co ułatwia spożycie reszty suchych zapasów żywności (chleb z serem).

25 wrzesień

O świcie wyszliśmy z szałasu i kierujemy się na południe na oślep, bo zanim słońce nie wydobędzie się choć trochę spoza chmur, nie możemy odgadnąć kierunków. Zalecana niekiedy metoda kierowania się mchem porastającym pnie drzew jest może dobra w dużym starym lesie, ale tu w młodym lasu świerkowym każde prawie drzewo powiada szczupłym mchem co innego. Jest już blisko 10-ta gdy słońce zaczyna się przedzierać, a równocześnie wyszliśmy z lasu i idziemy halą z nielicznymi kępami kosodrzewiny. Za jednym z kolejnych pagórków wychodzimy na kilka szałasów pasterskich. Grupa owiec pasie się po drugiej stronie hali. Jest tylko jeden pasterz, toteż nie czynimy nawet wysiłków ukrycia się. Przeciwnie, wdajemy się w rozmowę. Dowiadujemy się, że jesteśmy już na węgierskiej stronie. Przeszliśmy granicę wcale jej nie zauważywszy. Dostajemy trochę mamałygi i wskazówkę dalszej drogi. Wkrótce dochodzimy do ścieżki i bez zbytniego pośpiechu maszerujemy, nie

spotykając zresztą ludzi. Parę razy włączymy w oddali na jakichś górali przy robocie. Przed wieczorem dopiero dochodzimy do niewielkiej osady i linii kolejowej. Stacja nazywa się Jasina. Tu meldujemy się na posterunku żandarmerii. Dostajemy kolację żołnierską i nocleg na sianie. Jesteśmy tu w towarzystwie trzydziestu kilku takich samych jak my polskich żołnierzy przybyłych przez zieloną granicę. Przychodzili tu przez cały dzień z okolic bardziej na zachód położonych niż Worochta, z której my idziemy. Niektórzy mają broń, którą Węgrzy zabierają. Jesteśmy poinformowani pogodnie, ale z nie ukrywanym lekceważeniem, że zostajemy „internowani” zgodnie z międzynarodowymi przepisami i zostaniemy przetransportowani w głąb kraju do obozu.

Wtorek, 26 września

Po śniadaniu, które składa się z manierki czarnej „kawy”, ćwierć kilo żytniego chleba i kawałka wędzonej paprykowanej słoniny, ładujemy się do wagonów kolejowych. Jest nas teraz, wraz z przybyłymi koleją z sąsiednich stacyjek, tylu, że zapełniamy trzy normalne wagony pasażerskie. Jedziemy tylko kilka godzin, bo linia kolejowa przechodzi przez granicę Rumunii. Na ostatniej stacji Węgrzy ładują nas na samochody ciężarowe. Nie możemy jako internowani przejeżdżać w węgierskim pociągu przez terytorium rumuńskie. Samochody wiozą nas do miejscowości Taracköz, gdzie znów ładujemy się do wagonów kolejowych. Tym razem jest to już cały zestaw kilkunastu wagonów osobowych całkowicie wypełnionych internowanymi żołnierzami polskimi. Mamy swobodę odszukania oddziałów znanych, formacji itd. Z wojsk lotniczych nie ma nikogo, ale przy nas formuje się grupa podoficerów z cenzusem i kilku podchorążych. Wszystko piechota. Dwaj podchorążowie, którzy odkryli że mają ze mną jakichś wspólnych znajomych w Warszawie przysiadają się do nas na dobre. Są to Krzysztof Sienko i Kazimierz Gołębiowski.

Środa, 27 września

Jedziemy cały dzień dość powoli, z długimi postojami. O godzinie 1.30 zatrzymujemy się poza stacją, której nazwy nie zauważyłem, gdzie dostajemy gorącą zupę i chleb. Po dłuższym postoju jedziemy dalej aż do nocy. Przed wieczorem dostajemy suchy prowiant (chleb i paprykowana słonina). Potem jedziemy dalej.

Czwartek 28 września

Rano dojeżdżamy do Budapesztu. Pociąg nie zatrzymuje się, choć sunie z szybkością wolnego marszu. Objeżdżamy w ten sposób miasto i przejeżdżamy przez most na Dunaju. W ciągu dnia oglądamy z okien wagonu Balaton. Wieczorem dojeżdżamy do stacji Nagykanizsa, gdzie wyładowujemy się, ustawiamy w kolumny i pieszo maszerujemy około pół kilometra do zabudowań nieczynnej fabryki kawy Francka. Tu mieści się obóz już zawierający sporo internowanych, nie tylko wojskowych ale i cywilnych uchodźców, ale wciąż jeszcze nie urządzony. Nocleg b. zły na tymczasowo wydanych snopkach słomy i po „suchym” prowiancie.

Piątek, 29 września

Kompanie obozowe zaczynają się organizować. Cały dzień schodzi na porządkowaniu pomieszczeń fabrycznych (składy). Wszystkie budynki mieszkalne, których tu jest kilka, zajęte są przez uchodźców cywilnych. Chaotyczne kierownictwo polskiego komendanta (który sam się nie pojawia) jest po prostu wzorem bałaganiarstwa. Węgry nie wtrącają się, ale i nie pomagają. Posterunki przy bramie nie wypuszczają tylko wojskowych. Cywile chodzą do miasteczka jak chcą.

Sobota, 30 września

Dalsze porządkowanie obozu. Polskie władze zarządzają sporządzanie najrozmaitszych spisów, rejestrów itp., na co wystawia się na dziedziniec z tuzin stołów, zasiadają jacyś podoficerowie „służbowi” wyznaczeni przez komendanta (polskiego) i zaczyna się gryzienie ołówków i psucie papieru. Cały dzień czekam bezskutecznie na zapowiedzianego urzędnika konsulatu, przez którego chcę się skomunikować ze światem, dostać informacje, odnowić swoje niedawne przecież prasowe kontakty. Za pośrednictwem pań z cywilnego zespołu obozowego kupuję karty pocztowe ze znaczkami. Warty obozowe zostały wzmocnione w wyniku ucieczki kilku internowanych, z których zresztą większość żandarmi przyprowadzili z powrotem.

Niedziela, 1 października

Pogoda psuje się. Dieta obozowa b. niewystarczająca. Cywilni uchodźcy dostają jakieś zapomogi z konsulatu, czy też Towarzystwa Polsko-Węgierskiego w Budapeszcie, które zorganizowało Komitet Opieki. Toteż kupują oni dodatkową żywność w miasteczku, dokąd bez trudu węgierska warta wydaje im przepustki. Dla nas warunki złe. Słoma wydana na sienniki jest najwidoczniej używana od dawna na noclegi, gdyż jest straszliwie zawoszona. Palimy całe jej stosy na placu, ale spanie na cienkich niewypchanych siennikach jest równie trudne. Polskie dowództwo obozu obiecuje starać się o czystą słomę. Piszę listy (kartki) do Stefana Czarneckiego w Paryżu i do Józia Radziwińskiego w Belgradzie. Poczte dostarczają do obozu i zabierają żandarmi węgierscy. Władze węgierskie obchodzą się z nami „bezbarwnie”. Nie okazują żadnej szczególnej życzliwości, ale też żadnej wrogości. W stosunku do nas „z cenzusem” i podchorążych, którzyśmy na zarządzenie polskich władz naszyli białe sznurki na mankiety rękawów, żołnierze węgierscy prawie stają na baczność. Ale wśród nich samych, cały ich oddział zajmuje barak przy

bramie obozu, obyczaje węgierskie budzą nasze zdumienie. Żołnierze bici są po pysku przez oficerów często i za byle co. Może dlatego oficerowie węgierscy, których jest tu sporo, bo dowódcą obozu jest oficer w stopniu majora z całym swym sztabem, unikają bezpośredniego kontaktu z żołnierzami polskimi. Posługują się w tym celu trzema podoficerami, którzy mówią nie tyle po polsku co po słowacku. To wystarcza aby porozumiewali się z nami zupełnie łatwo. Dowiadujemy się też, że bardzo łatwo jest uzyskać jakąś drobną koncesję, pomoc czy zarządzenie od oficera węgierskiego, jeżeli przychwyci go ktoś „z cenzusem” białej opaski na rękawie, sztywnie zaszalutuje i zwróci się po francusku.

Środa, 4 października

Poza bałaganem i coraz to nowymi spisami, nic nowego. Zapowiedzianego urzędnika konsulatu nie widać. Węgrzy wypłacili nam żołd w wysokości 3 pengö. Nawiązałem kontakt z cywilnym uchodźcą (z rodziną). Jest to lekarz, który znał Palucha, lekarza w Warszawie, szwagra Syruczka (kolega redakcyjny z czasów *Kuriera Czerwonego*. Mieszkaliśmy w tym samym domu. On na parterze, na pierwszym piętrze Rzymowski, a ja na drugim i ostatnim, na tej samej klatce schodowej). Czekam na obiecaną wizę i mam wyjechać przez Turcję do Syrii. Piszę znów listy.

Niedziela, 8 października

W dalszym ciągu nic nowego. Nuda. Wysłałem listy do konsulatu i do Towarzystwa Polsko-Węgierskiego w Budapeszcie. Razem z wspomnianymi z nazwiska kolegami z pociągu, z którymi mieszkam w jednym baraku, postanowiliśmy zorganizować gazetkę obozową, korzystając z tego, że w baraku żołnierzy węgierskich jest radio i przez głośnik nadają oni wszystkie dostępne na ich aparacie dzienniki radiowe. Słychać je wyraźnie w całym prawie obozie, ale nie

ma tu prawie nikogo kto rozumiałby dzienniki po francusku i angielsku. Wielu rozumie po niemiecku, ale to wszystko jest propaganda podobnie jak dzienniki włoskie. Zbieramy składkowo trochę pieniędzy i jedna z pań podejmuje się jutro kupić w miasteczku parę tabliczek kleju stolarskiego i butelkę gliceryny. Z tego zamierzam zrobić płytę hektograficzną. Zwykły ołówek „chemiczny”, rozmiękczony przez zawinięcie go przez noc w mokrą szmatę, nieźle zastępuje tusz hektograficzny.

Wtorek, 10 października

Napisałem kartkę do Wieczorkiewicza, podpisaną jak było z nim umówione nazwiskiem Pawłowski. Dziś otrzymałem krótką wiadomość od Radziwińskiego.

Czwartek, 12 października

Sprawy rozwijają się tak powoli, że nie ma co notować co dzień. Podoficerom z cenzusem i podchorążym Węgrzy niespodzianie podnieśli żołd do wysokości 50 pengö dziennie. Nie wiemy kiedy ta wypłata nastąpi i za jaki okres wstecz. Tymczasem sfabrykowałem płytę hektograficzną. Gołębiowski wykaligrafował ołówkiem chemicznym dwie stronicę tekstu dość drobnym pismem. Tytuł: *Gazeta Internowanych* Nr 1., Nagykanizsa, 12.X. ,cena 5 fil. Zawartość: wiadomości, które zanotowałem z południowych audycji Radio Paris oraz BBC. Niestety hektograf nawalił po odbiciu zaledwie kilkunastu egzemplarzy. Klej stolarski, który dostaliśmy, jest wyraźnie zafałszowany jakimiś dodatkami, a gliceryna też jest pewnie ersatz, toteż płyta kruszy się i drze przy odbijaniu.

Sobota, 14 października

Przy pomocy krawca z cywila, który mieszka razem z nami w jednym baraku, ja i paru innych zaczęliśmy przera-

biać nasze mundury na odzież o mniej wojskowym wyglądzie. Szczególnie mundury lotnicze dobrze się do tego nadają. Po niewielkich poprawkach kołnierza, zamianie guzików i ufarbowaniu na ciemny granat wyglądają dość „cywilnie” aby warta przy bramie nie zatrzymywała. Żołdu jeszcze nie wypłacono, ale udało mi się wczoraj wyjść z obozu. W miasteczku kupiłem paczkę żelatyny i niespodziewanie zobaczony w oknie wystawowym tusz hektograficzny. Dziś sfabrykowaliśmy płytę z samej żelatyny i odbiliśmy z powodzeniem 50 egzemplarzy drugiego numeru „Gazetki”, które rozchwymano w ciągu godziny. Drugi obóz internowanych znajduje się w barakach wojskowych o jakiś kilometr od nas. Siedzą tam tylko wojskowi z piechoty. U nas jest zbieranina: poza nami trzema lotnikami, jest kilkunastu podchorążych, oraz żołnierze i podoficerowie z wojsk łączności, z intendenty, luzacy, trochę ułanów, paru łapiduchów i drugie tyle osób cywilnych z rodzinami i dziećmi. Obóz wojskowy jest zorganizowany bardziej formalnie. Komendantem (polskim) jest tam kpt. Głód (*nomen omen*), który próbował rozszerzyć swoją władzę i na nasz obóz (bez powodzenia). Przysłał on dziś łącznika po gazetkę, co wskazuje, że ma tu swój „wywiad”. Musieliśmy dla nich dodrukować tuzin egzemplarzy.

Środa, 18 października

Wypłacono żołd podoficerski. Mogliśmy też dostać przepustkę do miasta. We trójkę (z moimi podchorążymi) wyszliśmy przed południem. Zjedliśmy przyzwoity obiad w miejscowej restauracji (od dnia przybycia do N. nie byliśmy ani razu syci), po czym do zakładu kąpielowego i rozkosz ciepłej wanny. Wysłałem z miasta nowe listy do Radz., do Czarn., a także do rodziny w W. Z obozu „wojskowego” dostaliśmy zaproszenie, abyśmy pisali naszą gazetkę na ich maszynie do pisania używając ich specjalną kalkę hektograficzną. Poprawia to wygląd pisma uderzająco, no i przyspiesza wykonanie numeru. Kpt. Głód zapowiedział, że

da nam do numeru oficjalne oświadczenia władz polskich i parę słów wypowiedzi od niego jako komendanta obozu.

Poniedziałek, 30 października

Nadal nic nowego. Napisana na maszynie gazetka z datą 22-go wyszła w objętości czterech stron, z czego jedną zajęła „Odezwa” do żołnierzy z patetycznym wyliczeniem obowiązków jakie na nas spadły, a w których nie ma ani słowa o dalszej walce, staraniach o dołączenie do oddziałów we Francji itd.

Niestety będzie to ostatni egzemplarz naszej „Gazetki”, gdyż kpt. G. stara się objąć swoją cenzurą także i zwykłe wiadomości o wydarzeniach wojennych i politycznych, zbierane i redagowane na podstawie dzienników radiowych z Paryża i Londynu. Jego projekty propagandowo-cenzuralne są tak idiotyczne, że moje dawne dziennikarskie sumienie nigdy się na coś podobnego nie zgodzi.

Czwartek, 2 listopada

Dostałem wiadomość od Radziwińskiego, który zorganizował dla mnie pomoc przez jednego ze swych kumpli z Ataszatu Wojskowego w Budapeszcie. Przygotowuję nielegalne opuszczenie obozu.

Niedziela, 5 listopada

Wyszedłem przed wieczorem z „dętą” przepustką cywilną w ubraniu przerobionym i ufarbowanym. Przez całą sobotę uczyłem się słów i wymowy, aby kupić bilet kolejowy do Budapesztu. Wieczorem na stacji, dość pustej, czekałem na otwarcie kasy, która zaczyna funkcjonować na parę minut przed pociągami, który tu przychodzi po dziesiątej i prawie natychmiast rusza dalej. Odbyło się wszystko bez kłopotów. Przechodzący przez stację patrol żandarmów węgierskich nie

zwrócił na mnie uwagi. Na głowie miałem jakąś starą cyklistówkę, którą dał mi lekarz dr. P., u którego rodziny bywałem ostatnio w obozie prawie codziennie na pogawędkach. Tylko moje buty są nieomylnie wojskowego typu. W pociągu jest prawie pusto. Notuję te słowa zanim postaram się zasnąć na siedząco. Mam jechać całą noc.

Poniedziałek, 6 listopada

Moje przygotowania do wyprawy obejmowały także skopiowanie części planu Budapesztu, abym idąc ze stacji do biur ataszatu nie potrzebował pytać o drogę. Pociąg przyszedł o 8 rano. O wiele za wcześnie, gdyż R. pisał mi, że biuro otwiera się dopiero o 10-tej, a na ulicy przed biurem lepiej nie czekać. Po drodze, niedaleko stacji znalazłem jakąś robotniczą kawiarenkę, gdzie moje ubranie nie mogłoby zrobić większego wrażenia, a słowackie nazwisko na szyldzie pozwalało sądzić, że rozmówię się po słowacku. Było w tym pewne ryzyko, ale nie miałem wyboru. Kręcenie się przez dwie godziny po ulicach byłoby większym ryzykiem. Podejrzani o pochodzenie wojskowe byli skrętnie wyłapywani przez liczne patrole żandarmerii i odstawiani do obozów. Tak mnie przynajmniej informował w obozie ktoś, kto miał te informacje od urzędnika konsulatu, jaki od czasu do czasu odwiedzał cywilów w obozie. Ja sam, w ciągu dzisiejszego dnia takiego patrolu nie widziałem. O dziesiątej dostałem się do biura i spotkałem z p. M., który obiecał Radziwińskiemu załatwić moją sprawę. Istotnie od razu zaprowadził mnie do jakiegoś Komitetu Opieki nad Uchodźcami, gdzie bez większych formalności rozebrano mnie i dano, bardzo podłego gatunku ale nowe, kompletne ubranie cywilne łącznie z koszulą, krawatem, skarpetkami i półbutami. Byłem więc zewnętrznie „ucywilizowany”. Potem umieszczono mnie na jedną noc w trzeciorzędnym hoteliku „Imperial”, gdzie nikt mnie o żadne dokumenty nie pytał.

Wtorek, 7 listopada

Znów wizyta u p. M., który oznajmił mi, że według jego informacji moje nazwisko znajduje się na liście osób przedstawionych władzom węgierskim przez Niemców. Tych osób Węgrzy mają nie wypuścić przez żadną granicę. Wobec tego załatwił już z Konsulatem, gdzie mają mi wydać paszport na inne nazwisko i z inną datą urodzenia. Mój wygląd pozwalał mi przypisać wiek 40 lat. Paszport mam dostać jutro, a tymczasem dostaję jakieś zaświadczenie, na którego mocy władze węgierskie wydadzą mi uchodźczy dowód osobisty. Formalności z tym związane zajmują mi prawie cały dzień. Musiałem zrobić fotografie paszportowe. Nie byłbym sobie z tym dał rady w żaden sposób gdyby R. nie był domyślny i w liście obszernym, który na mnie czekał u M., nie przysłał mi trochę pieniędzy. Przed wieczorem po wielogodzinnym czekaniu i prawie godzinnej rozmowie z urzędnikiem węgierskim, który szczegółowo wypytywał mnie o to co robiłem, gdzie mieszkalem, jak i dlaczego wydostałem się z kraju i co mam zamiar dalej robić (na to wszystko miałem dobre wskazówki w liście od R.), otrzymałem wreszcie węgierski dowód osobisty na nazwisko Jan Pawlak, z zawodu nauczyciel z Worochty, zaangażowany w ruchu anty-bolszewickim i dlatego zmuszony do ucieczki przed Armią Czerwoną. Kupiłem małą walizkę, maszynkę do golenia z węgierskimi żyłetkami itp. drobiazgi. Umieściłem się w lepszym (choć wcale nie droższym) hotelu „Central”, gdzie naturalnie musiałem okazywać swój nowy dowód osobisty.

Środa, 8 listopada

W konsulacie jeszcze nie przygotowano dla mnie paszportu. Wysyłam depeszę do Czarneckiego o pieniądze. Na mieście przypadkowo spotkałem Hinterhofa, z którym niewiele więcej niż rok temu byliśmy razem jedynymi dziennikarzami przybyłymi z Warszawy na *Anschluss* i wjazd Hitlera do Wiednia. Dopiero w dniu przybycia Hitlera razem

z jego otoczeniem przyjechał cały „cyrk” Smogorzewskiego, który urządził dla nas „konferencję prasowo-informacyjną” w naszym poselstwie wiedeńskim, razem z ówczesnym sekretarzem poselstwa, Włodarkiewiczem, którego znałem już dawniej, od czasu gdy ożenił się z dawną wieloletnią moją koleżanką redakcyjną z *Kuriera Porannego*, Stefcią Bassis. W dwa dni później, ostrzeżony przez moich słowackich przyjaciół i informatorów wymknąłem się z łap Gestapo wyjeżdżając tramwajem do Bratysławy, podczas gdy oni czekali na mnie w hotelu i pilnowali stacji kolejowej. Natomiast Hinterhof wpadł, został aresztowany i przesiedział w Gestapo kilka miesięcy. Nasze władze mimo hałasu w Związku Dziennikarzy nie potrafiły nic pomóc. Ostatecznie wyciągnęli go Węgrzy, bo chłop miał szczęście, że był żonaty (i to od niedawna) z siostrzenicą admirała Horthyego.

Nigdy nie byłem z nim w zażyłej znajomości, bo jako dziennikarz starałem się być jak najdalej od „dwójki”, której on był oficerem, choć w cywilu i w pracy dziennikarskiej. Ale teraz niespodziane spotkanie ucieszyło mnie. H. zabrał mnie do swego domu. Mieszka, naturalnie, bardzo wytwornie. Jego żona, osoba czarująca, przyjęła mnie herbatą, ciastkami i długą pogawędką. Informacje polityczno-wojskowe, jakie dostałem od H., dały mi dużo do myślenia.

Czwartek, 9 listopada

Dziś dostałem paszport polski na swoje nowe nazwisko, od razu z wizą francuską. Włoską mam otrzymać tylko osobiście zgłaszając się do włoskiego konsulatu. Wysłałem depeszę do Koellerowej, co kosztowało mnie 122 fil. Kupiłem zapas papieru i pióro i cały dzień siedziałem w pokoju hotelowym pisząc serię listów na wszystkie strony świata, do wszystkich znajomych i kolegów, których adresy pamiętałem.

Piątek, 10 listopada

Wizyta u pośła Walewskiego dość zastanawiająca. Na

moje żądanie aby zatelefonował do Czarneckiego, do Paryża, który na pewno przyjmie zwrotny koszt telefonu, mówi mi, że komunikował się już z Cz. za pośrednictwem swych władz i wie, że Cz. jest chwilowo w Paryżu nieobecny. Nie wiadomo na jak długo. Pieniądzy dla mnie nie przekazał. Radzi mi stanowczo siedzieć spokojnie na miejscu, korzystać z zasiłków Komitetu i nie próbować wyjeżdżać, bo moje nazwisko nie pozwoli mi przejechać przez granicę. Zatem posł nie wie, że jego biuro wystawiło mi już paszport na inne nazwisko. Byłem dość ostrożny aby go o tym nie uświadamiać. Poszedłem od razu do Włochów, gdzie dostałem wizę bez trudności. Wracam zgodnie z instrukcją do M., nie ma go dziś w Budapeszcie, ale dostaję zostawiony przez niego bilet kolejowy do granicy francuskiej w Modane. Bilet jest jednak dwuosobowy. Przedstawiają mi niejakiego p. Bartnickiego, jakoby dziennikarza, z którym mam razem jechać dziś wieczorem. Otrzymujemy po dwa dolary w gotówce.

Wtorek, 14 listopada

Przejeżdżamy granicę bez większych trudności, mimo że nasze nazwiska sprawdza bez ogródek żandarm stojący na korytarzu wagonu w liście obejmującej pięć arkuszy maszynowego pisma; dojeżdżamy do Fiume, gdzie mamy zmienić pociąg i przenocować. Następnego dnia pociąg całą godzinę zatrzymuje się w Trieście, gdzie przesiadamy się znów na inny pociąg. Nie mamy za co kupić śniadania, bo nocleg w Fiume i kolacja pochłonęły wszystkie moje zasoby pieniężne. Po południu dojeżdżamy do Mediolanu, gdzie mamy czekać prawie do północy na dalszy pociąg. Składamy wobec tego wizytę w konsulacie RP, gdzie przyjmuje nas konsul generalny A. Żm. Dostajemy 100 lirów, co pozwala nam zjeść pierwszy tego dnia posiłek, a mnie pozwala wysłać depeszę do Czarn. i kilkanaście kart pocztowych do Polski.

Dziś rano byliśmy w Turynie, gdzie znów musimy się przesiadać i czekamy parę godzin. Spędzamy je zwiedzając stary środek miasta – sklepy w podcieniach, jakieś zabytki

architektoniczne, ale na głódno to wszystko wydaje się niezbyt interesujące. Przed wieczorem dojeżdżamy do granicznej stacji Modane, gdzie jest już jakaś Misja Wojskowa, która nas wyławia od razu przy kontroli paszportowej i odstawia do jakby koszar. Jest tu już kilkudziesięciu takich samych podróżnych, jak my, z Węgier. Dostajemy nocleg i obiad.

Niedziela, 19 listopada

Rano sformowano z nas transport, który załadowano do wagonu osobowego. Zajmujemy cały wagon. Nie ma mowy o skomunikowaniu się z jakimikolwiek władzami cywilnymi. Jeden zbiorowy bilet kolejowy, wraz z zapasami żywności otrzymuje „komendant” transportu. Jest nim por. rez. D. (nazwisko znane przed wojną w Polsce z głośnych wystąpień antyżydowskich). Jedziemy powoli, nie zatrzymując się na żadnych większych stacjach. Wagon z nami jest kilkakrotnie przeczepiany z jednego pociągu do drugiego. Drzwi wagonu są zamknięte. Jedziemy przeważnie przyczepieni do pociągów towarowych. Noce spędzamy śpiąc w wagonie na siedząco. W sobotę wieczorem wyładowujemy się gdzieś na przedmieściu Paryża w jakimś obozie wojskowym, dokąd nasz wagon przesunięto na jakąś bocznice kolejową. O wyjściu z koszar nie ma mowy, telefonu dostępnego też nie ma, wobec czego nie mam sposobu zawiadomienia Stefana, że jestem już w Paryżu. Dziwi mnie zresztą, że mimo mojej depeszy z Mediolanu, Stefan nie przysłał mi do Modane żadnej wiadomości, pieniędzy, czy choćby biletu na bezpośredni pociąg do Paryża. Coś mi się tu zaczyna nie podobać, potwierdzają się dziwne informacje Hinterhofa. W koszarach zaczyna się jakaś niby ewidencja, ale najwyraźniej „lipna” i nikt żadnych informacji nie może udzielić na temat dalszych losów czy przeznaczeń. Pełno zamieszania, bo organizuje się jakaś zbiorowa kolacja, na którą mają przyjechać jakieś ważne osobistości. Mam nadzieję, że wobec tego może zjawi się ktoś z PAT’a, albo ktoś ze znajomych osób z władz. Niestety tylko gen. Haller w towarzystwie kilku swych oficerów sztabowych.

Zjadają z nami kolację – raczej typowy francuski żołnierski obiad z *cidre*'m zamiast wina. Haller wygłasza do nas prawie godzinne przemówienie „patriotyczne”. Stek najbardziej głupowatych wyświechtanych frazesów. Idziemy spać w ordynku. Po rannym „apelu” ustawiają nas w szyku wojskowym i ładują z powrotem do wagonu. O żadnych przepustkach do miasta nie ma mowy. „Nie macie do załatwienia żadnych prywatnych spraw – to jest wojna”. Nie dostajemy żadnych informacji dokąd nas wiozą. Dowiadujemy się dopiero po przybyciu na miejsce, do nowego obozu wojskowego. Coëtquidan. Tu są całkowicie polskie koszary, władze i porządki.

Po wyładowaniu wszyscy mamy iść do biura ewidencyjnego. Podoficer, typowy „kanarek” który ma mnie „zewidencjonować”, oświadcza, że o żadnym uznaniu mojego stopnia podoficerskiego, cenzusu i specjalności nie może być mowy, póki nie znajdę jakiegoś oficera służby czynnej, który potwierdzi moje dane. Takiego mam szukać sam. Tymczasem będę wciągnięty na listę kompanii rekruckiej i od jutra rozpocznę zwykłe wyszkolenie. Na moje stanowcze protesty kapral powiada, że mam parę godzin czasu do apelu wieczornego, mogę iść do kantyny, przejść się po koszarach, może zobaczę kogoś znajomego. A wieczorem komendant zadecyduje co ze mną zrobi, jaki da mi przydział. Wtedy dostanę racje i mundur.

Jestem więc po prostu w pułapce. Ani moje wykształcenie, ani specjalności cywilne, czy wojskowe nikogo tu nic nie obchodzą i nikomu nie są potrzebne. Mam po raz trzeci w życiu przechodzić „wyszkolenie rekruckie”; zaczyna mnie ogarniać szewska pasja. Wychodzę na plac honorowy, przechodzę kantynę, pełną o tej porze. Nikogo znajomego nie widzę. Przechodzę znów przez plac obozu idąc w stronę budynków koszarowych i nagle wyrasta przede mną Szapiro. Powitania, wyjaśnienia. Pracuje w Paryżu w PAT'cie, gdzie kierownikiem jest Święcicki. Przyjechał przed chwilą, aby dostać od komendanta obozu jakieś dokumenty prasowe i oświadczenia, które są naturalnie tak tajne, że ich przez telefon podawać nie wolno.

Opowiada mi, że Czarn. od tygodni wścieka się, że nie

ma nikogo aby puścić w ruch zmontowany już projekt pisma codziennego z gotową drukarnią, biurem administracji itd. Przed tygodniem szturmował kierownika PAT'a aby sprawdził, dlaczego jeszcze nie przyjeżdżam z Budapesztu skoro wysłał do mnie przez konsula wszystkie dokumenty, pieniądze i bilety. Gdzie, kto i kiedy to wszystko zatrzymał? Szapiro robi do mnie oko – ktoś w otoczeniu Sikorskiego – z którym Cz. jest (przez córkę generała zamężną za L.) w jakoby bliskim kontakcie – robi wszystko co może, aby przeszkodzić planom Czarneckiego w wydawaniu dziennika, na który władze wojskowe nie mogłyby mieć decydującego wpływu. „Chciecie – mówi mi Szapiro – to was mogę zaraz zabrać do Paryża. Jestem tu samochodem i już wracam. Jesteście w cywilu, nikt was przy bramie nie zatrzyma”. Nie waham się ani chwili. Swoją walizeczkę mam jeszcze w rękę, poza tym żadnych innych rzeczy. Idziemy razem do małego sportowego samochodu Szapiry. Sadowię się obok niego. Ruszamy. Wartownik przy bramie salutuje – zna dobrze ten samochód z PAT'a, który tu pojawia się co parę dni. Wieczorem jesteśmy w Paryżu. W biurze PAT'a nie ma już nikogo prócz dyżurnej dziennikarki, której nie znam. Szapiro mnie przedstawia i wyszukuje ze spisów adres jakiegoś hoteliku w pobliżu gdzie mógłbym dziś przenocować. Jest o wiele za późno, abym dziś szukał Cz. Dają mi jakieś banknoty frankowe. Idę spać.

Poniedziałek, 20 listopada

Rano skomunikowałem się z Cz. Sprawy się wyjaśniają. Wysłał do mnie pieniądze i dokumenty do Budapesztu dwukrotnie. Razem z odręcznym listem sekretarza ministra Spr. Zagr. polecającego konsulowi, aby mnie niezwłocznie wyśłać z obozu internowanych i bez dalszych formalności wysłać przez Szwajcarię do Paryża. Po mojej depeszy z Mediolanu, Malhomme miał mnie spotkać w Modane, oddać pieniądze, które otrzymał w tym celu i wsadzić do pociągu idącego bezpośrednio do Paryża. Wszystkie te drogi porozumienia zostały w tajemniczy sposób zahamowane.

Naturalnie, nie jestem dość naiwny aby sądzić, że chodzi o moją nieważną osobę. Plan niezależnego dziennika w języku polskim, który miałby być własnością Czarn., najwyraźniej nie odpowiada rządowi czy sztabowi (albo obu) Sikorskiego. Tym bardziej, że Cz. jest także obywatelem francuskim (ma podwójne obywatelstwo) i ma dość duże „chody” u władz francuskich, wobec czego może być niedostępny do nazbyt wielkich nacisków. Leśniowski nie jest już jego urzędnikiem, ale oficerem z niezbyt jasno określonymi funkcjami w otoczeniu swego teścia. Dostaję od Cz. sporą zaliczkę na moje pobory dziennikarskie, które Cz. wyznacza według skali francuskiej, a poza tym jego urzędnik zabiera mnie do miasta do zwykłych dostawców gdzie Cz. ma otwarty stały rachunek i w ciągu pół godziny jestem zaopatrzony w przyzwoity garnitur, obuwie i bieliznę, otrzymuję też paszport polski na swoje prawdziwe nazwisko, co załatwione jest „od ręki”. Jutro otrzymam też dokument francuski. Ulokowany jestem w przyzwoitym hotelu i mam od jutra rozpocząć urzędowanie w redakcji dziennika *Głos Polski* mieszczącej się w luksusowym lokalu w wieżowcu na placu Madeleine. W ciągu trzech dni mam rozpocząć codzienny druk pisma.



Na tym notatnik się kończy. Dziennika dalej nie prowadziłem z braku czasu. Dzieje kilkumiesięcznego redagowania codziennego pisma polskiego wymagałyby osobnego opracowania na podstawie dokumentów, które należałoby mozolnie wyszukiwać. Praca redakcyjna zaczynała się od rana, kiedy pełniłem funkcje sekretarza redakcji i nieformalnego redaktora, ustalając zawartość bieżącego numeru i projektując numery na parę następnych dni. Musiałem zebrać i zadiustować rękopisy, skomunikować się z przewidywanymi autorami i zamówić, oraz omówić żądane utwory. Byłem więc redaktorem nieformalnym ale faktycznym, Cz. dał mi kompletnie wolną rękę. Na formalne redagowanie przeze mnie pisma władze polskie nie mogły się zgodzić. Byłem przecież

członkiem Klubu Sprawozdawców Sejmowych z ramienia *Kuriera Porannego*. Uważano mnie powszechnie za blisko związanego z Adamem Skwarczyńskim i ze Stpiczyńskim, więc choć obaj oni już dawno nie żyli, jestem dla kliki Strońskiego – a może jeszcze bardziej dla Kota – zupełnie niejadalny.

Moje bliskie stosunki z Cz. powstały nie tylko z powodu jego planów stworzenia w Polsce wielkiego koncernu prasowo-wydawniczego, do którego zamierzał użyć moich umiejętności techniczno-dziennikarskich i drukarskich, ale z jeszcze dawniejszej (z jego przedstudenckich we Francji czasów) mojej zażyłości z całą rodziną w W-wie.

Prowadząc redakcyjnie dziennik, nie zamieszczający żadnych artykułów tzw. „wstępnych”, mających niby określać polityczne oblicze pisma, które oczekuje na mianowanie „redaktora naczelnego”, tymczasem mam „doradcę” czy „opiekuna” ustanowionego przez Rząd, którym jest Strzetelski (b. redaktor dziennika *ABC*), oraz „łącznika” ustanowionego przez Sztab, w osobie płk. Bogusławskiego (znanego mi ze Związku Literatów poetę). Na stanowisko naczelnego redaktora nie znaleziono żadnego kandydata, na którego mogłyby się zgodzić: a) właściciel pisma tj. Cz., b) Sztab, c) Rząd a właściwie Minister Informacji i Dokumentacji, który będąc sam znakomitym publicystą (i niewydarzonym redaktorem) niełatwo mógł zgodzić się na kogoś choćby w najlżejszym stopniu niezależnego od niego, a wreszcie d) Prezydent, a właściwie jego Biuro. Wiem o serii nieprawdopodobnych intryg i manewrów jakie się o to stanowisko toczyły. Wiem, że brali w tym udział Libicki, Czarnocki (też z *Kuriera Porannego*), Cat-Mackiewicz (i inni o mniej eksponowanych nazwiskach).

Po południu siedziałem w drukarni, pilnując składania, przygotowując tzw. depesze, tj. wiadomości polityczne i wojskowe z biuletynów agencji prasowych francuskich, amerykańskich i angielskich (a także PAT'a), jakie przychodziły dopiero nad wieczorem. Poza tym musiałem doglądać korektorek, którymi były różne panienki z „inteligencji”, ale zmieniające się chyba co tydzień, jako że praca była wyczerpująca i nudna w małym zatłoczonym pokoiku

redakcyjnym przy drukarni, pełnym hałasu i ruchu. Wreszcie łamałem numer i musiałem czekać, aby obejrzeć pierwsze egzemplarze z maszyny. W przerwie jadłem kolację w pobliskim robotniczym bistro „U Żermyń”, a do hotelu wracałem koło 2-3 w nocy. Dzień po dniu.

Pismo kulało zarówno redakcyjnie jak administracyjnie, mimo że udało się zorganizować dość fachowy zespół pracowników, bowiem wydawnictwo otoczone było taką siecią najrozmaitszych intryg i walk o wpływy toczonych w instancjach rządowych, sztabowych i „dwójkowych”, że utrzymanie jakiegokolwiek linii prasowej było kompletną niemożliwością bez osobistego wpływu jakiegoś redaktora naczelnego, który mógł być *persona grata* zarówno dla władz cywilnych, jak wojskowych. W tym czasie i w owej sytuacji polityczno-wojskowej takiego człowieka nie było i być nie mogło.



Na tym „Notatki” się urywają. Poniższy tekst o dalszych losach J. Horzelskiego jest fragmentem jego listu do Jerzego Giedroycia z 26 października 1992 r. Jerzy Horzelski zmarł w listopadzie 1993 r.

26.10.1992

Tu, tak samo jak we Francji, władze wojskowe nie chciały uznać mojej szarzy i specjalności żądając również świadectwa dwóch oficerów, którzy by mogli ten fakt potwierdzić. A w Anglii był tylko jeden taki, co nie chciało im wystarczyć. Co więcej, aby mnie w ogóle przyjąć, skierowano mnie na komisję poborową. Stanowiło ją czterech oficerów, z których, jak sądzę, tylko dwóch mogło być lekarzami (nazwisk ich oczywiście nigdy nie znałem). Po dwudniowym badaniu wydano mi świadectwo, że z powodu mojego stanu zdrowia nie nadają się w ogóle do żadnej służby wojskowej i tak sformułowany dokument (który oczywiście przechowuję) zalicza mnie do kategorii D. W ten sposób, po usunięciu mnie z zawodu dziennikarskiego, wyrzucono mnie po prostu na ulicę. Wprawdzie Grydzewski drukował mi od czasu do czasu jakieś felietony w *Wiadomościach*, ale ten dochód był rzecz jasna niedostateczny na utrzymanie. Szczęściem znalazło się paru

dawnych kolegów ze szkoły Wawelberga, którzy mogli stwierdzić, że ostatecznie otrzymałem stopień inżyniera mechanika już w roku 1925, wobec czego przyjęto mnie na członka Stowarzyszenia Techników i Inżynierów, co wystarczyło, że Anglicy dali mi posadę w fabryce samolotów, gdzie pracowałem jako konstruktor narzędzi koniecznych przy budowie i reperacji wielkich czteromotorowych bombowców, a także zostałem członkiem angielskiego związku techników i projektantów. Po kilkunastu miesiącach rozwijająca się działalność rządu emigracyjnego sprawiła, że jedno z ministerstw opracowało projekt cywilnych linii lotniczych w przyszłej niezależnej Polsce. Żądali Anglicy aby połączone to było z projektem obsługi meteorologicznej, uzgadniającej taką działalność z podobnymi obsługami państw wówczas alianckich. Cały ten resort prowadził inż. Ciołkosz, który jeszcze z kraju znał mnie i moje bliskie stosunki z G.I.M. Ponieważ byłem z Instytutem Meteorologicznym w bliskich stosunkach jeszcze od czasów mojej służby wojskowej i znali moje w tej dziedzinie wiadomości fachowe, kiedy w tzw. roku arktycznym gdy Polska wysłała wyprawę (...), Państwowy Instytut Meteorologiczny wydał mi świadectwo, że jestem jedynym dziennikarzem, którego sprawozdania z prac tej wyprawy polarnej są z góry całkowicie autentyczne naukowo. Przez to moje artykuły z tego tematu były wówczas drukowane w wielu gazetach i czasopismach.

Ciołkosz, poprzez rząd emigracyjny, zwrócił się do Anglików aby mnie zwolnić z pracy w wojennym reżimie w fabryce samolotów i ofiarował mi posadę referenta meteorologii w polskim ministerstwie. Pracę tę, nieźle wtedy płatną, prowadziłem i cały wielki projekt opracowałem w kilkanaście miesięcy. Wtedy miał się odbyć międzynarodowy kongres obsługi meteorologicznej lotnictwa cywilnego w Paryżu i ja zostałem tam wysłany jako delegat polski (jedyne). Czerwony urzędowy paszport, wtedy mi wydany, mam do dziś.

W Paryżu angielska trzyosobowa delegacja wciągnęła mnie do współpracy i sporządziliśmy wraz z Anglikami wspólny komunikat. Ale zaledwie wróciłem do Londynu i złożyłem polski tekst owej międzynarodowej umowy, rzecz skończyła się, bo polski rząd emigracyjny stracił swój status i

Anglicy uznali tymczasowy rząd utworzony przez bolszewików z Polski. Emigracyjni urzędnicy dostali wtedy trzymiesięczne pensje zamiast wypowiedzenia, i tak, jak inni, i ja zostałem na bruku. Nie mogłem w żaden sposób dojść do porozumienia z władzami emigracyjnymi, którymi zarządzili wtedy niepodzielnie Cat-Mackiewicz i prof. Kot. Mój angielski związek techników i konstruktorów starał się dla mnie o posadę w przemyśle, ale mogłem mieć tylko stanowisko menedżerskie, bo związek robotników miał z prawa wyłączność stanowisk robotników i młodszych menedżerów. Ale z prawa menedżer musiał mieć polisę ubezpieczeniową na życie, a okazało się że żadna firma ubezpieczeniowa nie zgadza się udzielić takiej polisy nikomu mającemu więcej niż 40 lat, a ja już wtedy miałem więcej. Toteż postanowiliśmy z żoną spróbować rolnictwa i z małym kapitałem odprawy wyjechalśmy do Walii, gdzie były wtedy małe farmy do nabycia za stosunkowo bardzo niską cenę.

Miejscowy oddział banku, w którym w Londynie otworzyłem sobie konto jako urzędnik, bez trudu podwoił mi kapitał dodając pożyczkę hipoteczną i kupiliśmy małą farmę, mimo że żadne z nas nie pochodziło ani z rodzin chłopskich, ani ziemiańskich. Tak więc, jako inteligenci, wybraliśmy farmę nie bardzo rolniczo obiecującą, ale o wspaniałym widoku na morze i 30 mil naokoło, położoną na sporym wzgórzu. Przy stosunkowo dużej pracy dawała ona dochód wystarczający, aby się utrzymać. Pracowaliśmy tam szereg lat, choć poza spłatą pożyczki hipotecznej nie mogliśmy ani zmodernizować domu, tj. chaty wiejskiej, ani też zaspokajać naszych „wybrednych” potrzeb intelektualnych.

Przy wzroście kosztów związanych z inflacją stawało się to coraz trudniejsze i przy pomocy życzliwych Walijszyków dowiedziałem się o wakansie dla inżyniera w miejscowym uniwersytecie, gdzie dostałem pracę i gdzie pracowałem do chwili odejścia na emeryturę. (Żona również pracowała w tutejszej instytucji naukowej – stacji hodowli roślin – początkowo jako tłumacz, a potem – mimo że Polka – jako redaktor wydawnictw naukowych stacji).

Jerzy Paweł HORZELSKI

Janusz RAKOWSKI

KULAWA ANALOGIA I ZANIEDBANE DOŚWIADCZENIA

Żadna epoka i żadne społeczeństwo nie może lekceważyć rzetelnego dorobku i doświadczeń przeszłości, choćby wytknęło sobie inne, nowe, odmienne drogi rozwojowe.

Eugeniusz Kwiatkowski

Dawniej i dzisiaj

W roku 1981, w czasach załamania się gospodarki PRL pod rządami Gierka i dyskusji na temat reformy gospodarczej, redaktor *Kultury* zwrócił się do mnie z sugestią skreślenia artykułu o naszych doświadczeniach w okresie międzywojennym. Ukazał się on w numerze 7-8, lipiec/sierpień tegoż roku pod tytułem „Wzory przeszłości”. Rzecz jasna, że rady i wskazania ekonomistów emigracyjnych, jak zresztą wszelkie odwoływanie się do historii, były wówczas przyszłowiowym grochem o ścianę.

Lecz oto – również z inicjatywy Jerzego Giedroycia – wpadł mi w ręce artykuł, opublikowany w *Gazecie Wyborczej* z 12-13 listopada 1994, nawiązujący do tych międzywojennych czasów. Tekst utrzymany jest w stylu modnej dziś dziennikarskiej „nowomowy”, z której trudno

czasem połapać się o co właściwie chodzi. Nosi tytuł „Pieniądze warte grzechu?” Ale zasadniczym tematem są nie pieniądze, ale *władza państwowa i urzędnicy*, którzy tymi pieniędzmi dysponują, oraz *afery finansowe*. Autorem artykułu jest Jarosław Kurski, b. bliski współpracownik prezydenta Lecha Wałęsy, którego reportaż z tej współpracy czytałem przed dwoma laty w tejże *Gazecie Wyborczej*, a później w książce, z mieszanymi uczuciami.

Autor pisze:

„Odkąd powstała instytucja finansów publicznych, gdzie jedni byli upoważnieni do wydawania pieniędzy innych, hasła ‘czystych rąk’ i ‘przezroczystych sakiewek’ zyskiwały w społeczeństwach poklask i wyzwały się zdolną obalić niejedną władzę”.

I dodaje: „Tak też było przed przewrotem majowym”, a więc wyraźna aluzja do przeszłości.

Administracja państwowa

Pierwszą moją reakcją po dwukrotnym przeczytaniu artykułu było pytanie, czy zajęcie się nim jest warte trudu. Autor nie jest ekonomistą. Polemika z artykułem dziennikarskim jest zajęciem niewdzięcznym, trzeba skoncentrować uwagę na punkty zasadnicze, tolerować niedomówienia i błędy. *Gazeta Wyborcza* świadomie, jak można przypuszczać, wywiesiła na wielki dzwon zagadnienie administracji państwowej w kontekście „wczoraj i dziś”. Temu zagadnieniu Kurski poświęca dobre dwie trzecie tekstu, na początku i w zakończeniu. Muszę obiektywnie przyznać, że na ogół przychylnie dla polskiej administracji międzywojennej. Może dlatego, aby czytelnik wyciągnął odpowiednie wnioski w odniesieniu do administracji dzisiejszej, o której Kurski nie pisze, ale od czasu do czasu czyni wyraźne aluzje.

Z historii Polski porozbiorowej Autor wyprowadza tezę, że Polska nie miała szczęścia do urzędników, szczególnie kadrowych, „wykształconych w zaborczych szkołach, zatrudnionych w zaborczych urzędach, służących w zaborczym wojsku”. Kadra urzędnicza była szczególnie skorumpowana w

zaborze rosyjskim. Słusznie podkreśla lepszą sytuację w zaborze austriackim, skąd wielu urzędników zasiliło polską administrację po odzyskaniu niepodległości. „Dziś – pisze Kurski – w pięć lat po solidarnościowej rewolucji, co rusz mamy do czynienia z takim samym spadkiem po komunizmie”.

Od 1918 roku do korpusu urzędniczego wchodzi inteligencja, która piastowanie urzędów w wolnym państwie przyjmuje jako misję. Ale zapal szybko się wyczerpuje, pojawiają się konflikty i rozczarowanie, że „niepodległa Polska nie doceniła swoich ułanów”. I tu jest drugi – moim zdaniem mniej słuszny punkt historycznej analogii, gdy Autor pisze: „Zupełnie tak jak dzisiejsza Polska nie rozpieszcza tych, którzy w szeregach opozycji, kazamatach podziemia i fabrycznych bramach tę wolność dla niej wywalczyli”. Bardzo zgrabna i ładna analogia: żołnierze Piłsudskiego i działacze Solidarności. Przysłowie głosi, że każdemu świętemu należy postawić świeczkę – sęk w tym jak wymierzyć jej wysokość.

Trudno przyjąć bez zastrzeżeń twierdzenie, że po przewrocie majowym Marszałek, nie mając swego parlamentarnego ugrupowania, postanowił „stworzyć z administracji społeczne i polityczne zaplecze władzy”. Zapleczem tym był utworzony przez płk. Walerego Sławka Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, złożony z ludzi różnych przekonań społecznych i politycznych, BBWR, jaki dla „wspierania reform”, ale też dla uzyskania osobistego poparcia utworzył Lech Wałęsa, nawiązując do tamtych czasów. Było oczywiście niegodne właściwych zadań administracji wciąganie urzędników do akcji politycznych, głównie na stanowiskach wojewodów i starostów. W każdym razie, Piłsudski nie musiał szukać oparcia w swej politycznej działalności tylko w wojsku i administracji. Ludzie z jego obozu nie odwracali się do niego plecami, jeśli zostali skarceni i zwolnieni z urzędów, jak to się dzisiaj dzieje w stosunku do prezydenta Wałęsy.

Są to oczywiście dygresje i uwagi na marginesie. Właściwy obraz administracji polskiej lat 1918-1939 – jak to już zaznaczyłem – jest obiektywny. Nawet powiedziałbym, w skonfrontowaniu z rzeczywistością dzisiejszą usłoneczniony. Jarosław Kurski maluje ten obraz na podstawie badań i prac historyków z czasów komunistycznych. Cytuje za prof.

Andrzejem Ajnenkiele: „Mieliśmy przed wojną kilka spektakularnych sukcesów: nowoczesne ustawodawstwo pracy, doskonałe kolejnictwo, system ubezpieczeń społecznych i nadzwyczaj sprawną administrację”. Píše, że prof. Jerzy Gołębiowski jest przekonany, że państwo reprezentowali na ogół „kompetentni, godni zaufania urzędnicy, dobierani bez klucza partyjnego”. W wersji Jarosława Kurskiego urzędnicy byli uprzywilejowani i materialnie zabezpieczeni. Urzędnik „był kimś”. Zostanie urzędnikiem było niezwykle trudne. Kandydat sprawdzany był od najmniejszego szczebla i surowo kontrolowany (co nie jest prawdą i uwypuklone chyba tylko jako wskazówka w rzeczywistości dzisiejszej). Urzędnicy postępowali uczciwie, ale – jak twierdzi Autor – „nie tylko dlatego, że mieli taki wewnętrzny imperatyw – po prostu nieuczciwi mogli wiele stracić. Dziś nisko uposażeni urzędnicy decydują o bilionach. Pokus jest wiele, a do stracenia mało”.

„Okazja czyni złodzieja, więc nie stwarzano okazji. Działyły sądy dyscyplinarne. Kto przepadł, tego bezlitośnie eliminowano z zawodu”. I tu wyraźna aluzja: „nie było tego co dziś – źle pojętej mafijnej solidarności zawodowej”.

Koniec II RP oznacza koniec tamtego okresu – koniec etosu. Podczas okupacji następuje fizyczna likwidacja korpusu administracyjnego. Od 1950 model administracji zmienia się na czysto sowiecki. Pojęcie „służby publicznej” (Ajnenkiel) zanika. Urzędnik PRL staje się tylko wykonawcą poleceń z góry a nie wykonawcą prawa. Ważny jest tylko okólnik lub zarządzenie naczelnika.

Dla uzupełnienia – interesujące są przytoczone przez Kurskiego cyfry rozrostu aparatu urzędniczego. Píše, że przed wojną 1939 wiceministrów i dyrektorów departamentów było 40, w PRL było ich 454. W 1939 r. urzędników było 55 tys., a u schyłku PRL – 161 tysięcy. Oczywiście kraj się rozwinął, powstały nowe miasta, ale też nieproporcjonalnie rozwinął się aparat administracyjny.

Niech mi wolno będzie wprowadzić małą poprawkę i zapytanie. Za moich czasów, w 1939 r., u schyłku II RP było 9 ministerstw, w każdym ministerstwie 1 (Sprawiedliwość) do 3 wiceministrów (z reguły 2) i 6 do 8 departamentów i

urzędów równoznacznych. W urzędzie Prezydenta RP nie było ministrów – tylko 2 dyrektorów departamentów cywilnego i wojskowego, a w Prezydium Rady Ministrów, przy niewielkiej liczbie urzędników – 1 wiceminister i 2 dyrektorów. Łącznie więc – jeśli się nie mylę – czołowa kadra bez ministrów wynosiła około 90 osób. Chciałbym wiedzieć jak liczna jest ona dzisiaj.

Afery i sprawy

Obraz administracji polskiej 1918-1939 nakreślony przez Kurskiego w *Gazecie Wyborczej* ulega nieoczekiwanie zaciemnieniu przez włączenie do niego spraw machinacji finansowych. Autor pisze:

„Czytając o aferach w Polsce międzywojennej miałem ciągle dominujące wrażenie *déjà-vu*. FOZZ, Art-B, afera alkoholowa, prywatyzacja Banku Śląskiego. A wtedy? (pyta): Afera Wspólnoty Interesów, sprawa zyrardowska, afera z prywatyzacją Państwowej Wytwórni Aparatów Telegraficznych i Telefonicznych, sprawa Huberta Lindego”.

Nie mam wątpliwości, że to nie miłość do historii dwudziestolecia Polski niepodległej, ale afery finansowe w III RP dały Autorowi i *Gazecie Wyborczej* natchnienie do wywieszenia sprawy na wielki dzwon w kontekście „wczoraj i dziś” administracji państwowej. To zagadnienie dzisiejszych machinacji finansowych jest właściwie głównym tematem artykułu pod atrakcyjnym tytułem „Pieniądze warte grzechu?”, ale te machinacje wspomniane są tylko w dwóch powyżej przytoczonych wierszach, dyskretnie, w skrótach, w założeniu, że są one dobrze znane czytelnikowi krajowemu. Autor patrzy na nie odytlnie, jeśli tak można powiedzieć, od przeszłości do terażniejszości. Afery i sprawy (używa obu pojęć) Polski niepodległej łączy i zestawia z aferami, z faktami dni dzisiejszych. Po prostu – *déjà-vu*!

Niech mi wolno będzie podnieść dwa zastrzeżenia, ważne – jak myślę – dla zrozumienia słuszności czy niesłuszności dokonywanych analogii. Pierwsze zastrzeżenie dotyczy pojęć

językowych „afera” i „sprawa”, drugie niejasności podmiotów czynów przestępczych.

Słowo afera ma w języku polskim wyraźny wydźwięk czynności kryminalnej, co najmniej nieładnej, którego nie ma słowo sprawa – dokładne tłumaczenie z języka francuskiego lub angielskiego. Jeśli sprawa nie jest – powiedzmy – „świętą” ale kryminalną, to trzeba ją tak wyraźnie nazwać. Po drugie – nie jest rzeczą obojętną czy podmiotem czynów przestępczych jest władza, ministrowie i ich pomocnicy kadrowi, czy osoby prywatne spoza tego grona. Niesprecyzowanie pojęć i podmiotów prowadzi do nieporozumień i kulawych analogii.

Jak i co „dèjà-vu”?

Taką kulawą analogią jest łączenie afer ubiegłego pięćciolecia III RP ze sprawami II RP o wielkim ciężarze polityczno-gospodarczym, które ciągnęły się niemal przez całe dwudziestolecie. Nie jestem dobrze zorientowany w tych pierwszych, ale przyjmuję za prasą krajową i Kurskim, że są to rzeczywiście *afer*y, działalność o charakterze przestępczym. Podmiotami tych przestępstw są osoby oficjalne lub prywatne. Jako takie są trudno porównywalne ze *sprawami* w Polsce międzywojennej, które Kurski powołuje na świadków przeszłości. Tutaj, trzeba otwarcie powiedzieć, czyny przestępcze – nie neguję że ich nie było – wiązały się z rabunkową gospodarką kapitałów zagranicznych na ziemiach polskich. Podmiotami przestępstw były zarządy tych kapitałów, spoczywające z reguły w rękach obcych obywateli. Tak było właśnie w sprawach Wspólnoty Interesów i Zakładów Żyrardowskich.

W sprawie *Wspólnoty Interesów* jestem najlepiej zorientowany. Byłem w 1939 r. delegatem ministra skarbu do Rady Nadzorczej tego wielkiego przedsięwzięcia po jego upaństwowieniu w roku 1937. Historię tego przejścia w dyspozycję polską opisałem w obszernym artykule opublikowanym niedawno, w roku 1993, w „Studiach Śląskich” Instytutu Śląskiego w Opolu. Stało się to z inicjatywy i staraniem dr Wandy Musialik, młodej histo-

ryczki, autorki obszernej, źródłowej biografii wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego.

Z czasów komunistycznych istnieje w kraju dość obiektywna literatura badaczy tych dziejów, że wymienię tylko prof. Zbigniewa Landaua, Mariana Marka Drozdowskiego, Hannę i Tadeusza Jędruszczaków.

Co ma do powiedzenia Autor artykułu w *Gazecie Wyborczej* o „aferze” Wspólnoty Interesów? Píše, że w Radzie Nadzorczej tego wielkiego przedsiębiorstwa zatrudniającego 31 tys. ludzi zasiadali 3 Polacy, z tytułami książę (2) i hrabia, nie mówiąc kiedy, że Spółka wykazywała fikcyjne straty i uchylała się od zapłacenia 100 mln złotych podatku, nastąpiły aresztowania dyrektorów i osadzenie za kratkami naczelnego buchaltera i wreszcie – w zakończeniu 12-wierszowego tekstu – że gen. Ferdynand Zarzycki minister przemysłu i handlu (j.r. 1932) miał powiedzieć z trybuny sejmowej, że zasiadający w Radzie Nadzorczej dygnitarze są „oszustami”. Żadnej daty kiedy to się działo i ani słowa o tym, że spółka była w tych czasach w zarządzie niemieckim, reprezentującym kapitał zagraniczny.

Trzeba wiedzieć, że Wspólnota Interesów obejmowała dwie spółki akcyjne: Katowicką Spółkę Akcyjną dla Górnictwa i Hutnictwa oraz Górnośląskie Zjednoczone Huty Królewska i Laura. Te spółki utworzone były w roku 1929 z zamiarem skoncentrowania kapitału w rękach niemieckich przy przyciągnięciu kapitału amerykańskiego. Podporządkowano je utworzonemu w tym samym roku Holdingowi z siedzibą w Nowym Jorku z udziałem Amerykanina W.A. Harrimana, polityka i finansisty, i Niemca Friedricha Flicka, głównego w tym holdingowym towarzystwie dysponenta. Gospodarka Flicka prowadzona była wbrew interesom ogólnopaństwowym i gospodarczym Polski, co wojewoda śląski Michał Grażyński meldował rządowi w Warszawie już w roku 1931. W rezultacie tej gospodarki obydwa przedsiębiorstwa zostały ponad wszelką miarę obdłużone, środki finansowe wypompowane do Niemiec ze szkodą dla polskiego Skarbu Państwa i dla samych przedsiębiorstw. Groziło unieruchomienie zakładów.

W listopadzie 1933 rząd polski postanowił wykupić

Wspólnotę. Wdrożono dochodzenie prokuratorskie i nadzór sądowy, wprowadzony w 1934 r. W marcu 1936 Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął uchwałę wyeliminowania dotychczasowych gestorów Wspólnoty i przejęcia jej w polskie ręce. Przystąpiono do rokowań ze stroną niemiecką, zakończonych podpisaniem w dniu 11 czerwca 1936 przez nadzorców sądowych protokołu przejęcia spółek. W myśl protokołu strona polska nabyła portfel akcji o wartości monetarnej 150 mln. zł tudzież wierzytelności niemieckie do tych spółek na ca 81 mln. zł, płacąc za to obligacjami tychże spółek. W ten sposób Wspólnota sama siebie wykupiła. 31 stycznia 1937 uchylono nadzór sądowy. Po reorganizacji wewnętrznej powołano nowy zarząd i nową Radę Nadzorczą. Największy koncern przemysłowy, produkujący około 40% ogólnej produkcji stali i 15% produkcji węgla stał się przedsiębiorstwem państwowym. Po wyjściu z impasu i w warunkach dobrej koniunktury powstałej w związku z realizacją polskich planów inwestycyjnego i zbrojeniowego produkcja ta zaczęła szybko wzrastać.

M. Drozdowski pisze: „Rozwojowi Wspólnoty w latach 1936-1939 towarzyszyła nagonka prasy Lewiatana i endeckiej, która wypowiadała się za repriwatyzacją Wspólnoty, popieraną także przez szereg sanacyjnych działaczy gospodarczych”.

Nikt jednak nie zarzucał malwersacji finansowych.



Jak sprawa Wspólnoty Interesów z kapitałem niemieckim, tak *Sprawa Żyrardowska* wiąże się z kapitałem francuskim i działalnością inwestorów francuskich w Żyrardowie i w Elektrowni Warszawskiej. Ta działalność – szczególnie jeśli chodzi o Żyrardów – nosiła niestety cechy działalności kryminalnej, tym przykrzejszej, że Francja była naszym sprzymierzeńcem. Ale i w tej sprawie – również ze względu na to, że podmiotem czynów przestępczych byli głównie cudzoziemcy – trudno porównywać ją z aferami Polski dzisiejszej. Analogia jest i tutaj kulawa.

Jarosław Kurski opisuje *Sprawę Żyrardowską* na ogół

zgodnie z faktami, lecz w niedokładnej dziennikarskiej interpretacji. O co właściwie chodzi?

Żyrardów był całkowicie zniszczony w czasie pierwszej wojny światowej. Sławne w całym świecie Zakłady Przemysłu włókienniczego przestały działać. Uruchomione zostały dość szybko wielkim wysiłkiem finansowym po odzyskaniu niepodległości ze względów społecznych i gospodarczych. W okresie 1919-1920 przemysłowiec francuski Marcel Boussac, specjalista w handlu bawełną, zakupił 1/2 akcji żyrardowskich i wystąpił do rządu polskiego o zwrot fabryki. Władze polskie przez długi czas wzbraniały się zadośćuczynić temu żądaniu. Po czteroletnich pertraktacjach zarząd państwowy nad zakładami został uchylony na skutek porozumienia zawartego w sierpniu 1923 pomiędzy ministrem przemysłu i handlu Władysławem Kucharskim, a reprezentantami Boussaca. W wyniku zawartego porozumienia rząd polski tytułem zwrotu 2,5 mln franków szwajcarskich wkładów na odbudowę fabryki uzyskał zwrot tylko około 20 tysięcy w przeliczeniu marek polskich na walutę szwajcarską. Porozumienie uznano w Sejmie za wysoce niekorzystne.

Trzeba pamiętać – muszę dodać – że działo się to w czasach szalejącej w Polsce inflacji. Nie skończyło się jednak na krytyce. Kucharski od września do grudnia 1923 piastował urząd ministra skarbu. W czasie tego „skarbowania” hiperinflacja osiągnęła w Polsce najwyższe nasilenie. 19 grudnia 1923 premierem został Władysław Grabski, który też objął Ministerstwo Skarbu i przeprowadził reformę pieniężną.

Dopiero w grudniu 1924 złożono w Sejmie wniosek o pociągnięcie Kucharskiego do odpowiedzialności za transakcję żyrardowską przed Trybunałem Stanu. Zabrakło jednak kilkunastu głosów do wymaganej konstytucyjnie większości.

Uzyskawszy wpływ na zarząd w Żyrardowie grupa Boussaca rozpoczęła gospodarkę nie licząc się zupełnie z interesami zakładów, nie mówiąc już o interesie państwa polskiego. Poczęto stopniowo usuwać wyższych urzędników i zastępować ich cudzoziemcami. Fałszowano bilanse, wystawiano fikcyjne rachunki na zakupy, księgowano fałszywie. Warunki pracy i płacy w Żyrardowie były daleko gorsze niż w innych tego rodzaju przedsiębiorstwach w Polsce. Boussaca

popierały władze francuskie i interwencje władz polskich – często na szczeblu dyplomatycznym – nie dawały rezultatu.

Trwało to dobre 10 lat, aż miarka się przebrała. Zmobilizowano polską mniejszość akcjonariuszy, którzy – w obronie swoich interesów – skierowali sprawę do sądu. Po stwierdzeniu przez Sąd Handlowy, że gospodarka grupy Boussaca ma cechy przestępstw karnych, zostało wszczęte śledztwo karne, zakończone nadzorem sądowym i podpisaniem w Paryżu układu między rządami polskim i francuskim z 30 listopada 1936. 20 grudnia 1936 przeprowadzono wykup przez Skarb Państwa portfeli akcji żyrardowskich, podobnie jak to miało miejsce ze Wspólnotą Interesów.

Przejęcie Zakładów Żyrardowskich w dyspozycję polską było głośnym protestem przeciwko szkodliwej wówczas działalności kapitałów obcych w polskim przemyśle. Na 7 miesięcy przed Żyrardowem, 29 maja 1936, też na mocy wyroku sądowego przejęto z rąk francuskich na własność miasta Elektrownię Warszawską.

Władza i afery

Afery i machinacje finansowe, korupcja, przekupstwo i łapownictwo – jak świat światem były i będą. Małe – należą do kryminalistyki, sądów i prasy bulwarowej. Większe, mogą mieć, i często mają, szerszy wydźwięk spraw społecznych i gospodarczych. Poważne znaczenie polityczne i ogólnonarodowe mają wtedy, jeśli czyny przestępcze popełnia *władza* jako taka, reprezentowana przez swych wysokich magistratów.

Zastrzegam się znów, że nie jestem dobrze zorientowany w sytuacji dzisiejszej w kraju. W Polsce międzywojennej – jeśli dobrze pamiętam – był jeden wypadek działalności przestępczej, w którą zamieszany był kadrowy przedstawiciel władzy, generał bryg. Michał Żymierski, w latach 1924-1926 drugi zastępca szefa administracji armii, legionista. W roku 1927, po przewrocie majowym, w związku z aferą zakupu masek gazowych skazany został na więzienie i wydalony z wojska. Być może – jak niektórzy twierdzili – wyrok był

niezupełnie sprawiedliwy. Wyjechał za granicę i był później marszałkiem Ludowego Wojska Polskiego.

Inny charakter miała wspomniana przez *Gazetę Wyborczą* sprawa Huberta Lindego, należąca też do okresu przedmajowego. Był on od grudnia 1918 organizatorem Pocztowej Kasy Oszczędności, w 1919 ministrem poczt i telegrafów i od lipca do września 1923 ministrem skarbu. W kwietniu 1926 postawiony został w stan oskarżenia za rzekome nadużycia w PKO i na dwa dni przed wyrokiem zastrzelony – jak twierdzono – przez płatnego mordercę na tle hysterii afer. Sprawa nieco podobna do zabójstwa prezydenta Gabriela Narutowicza, zabitego 16 grudnia 1922, w dwa dni po przejściu władzy od Józefa Piłsudskiego, również na tle politycznej hysterii. Linde został pośmiertnie zwolniony przez sąd od zarzutów.

Jarosław Kurski pisze: „Gdyby w Sejmie II RP była Komisja przekształceń własnościowych, odpowiednik odwołanego właśnie jej przewodniczącego Bogdana Pęka z pewnością ‘nie odpuściłby’ (?) sprawy prywatyzacji Państwowej Wytwórni Aparatów Telegraficznych i Telefonicznych w Warszawie. W 1925 r. rząd Aleksandra Skrzyńskiego pertraktował z firmą Ericson. Po zbadaniu sprawy okazało się, że wartość przedsiębiorstwa została zaniżona o 50%”.

Jest to znów wyraźna aluzja do Polski międzywojennej, ale nie bardzo rozumiem co chciał Autor przez tę aluzję powiedzieć. Analogia jest znów kulawa. Zarzuty zaniżania przy sprzedaży czy zawyżania przy kupnie wartości przedsiębiorstw w transakcjach międzypaństwowych czy wewnętrznych są specjalnym rozdziałem afer czy spraw finansowych. Działają różne motywy politycznej i gospodarczej natury i sytuacje w jakich transakcje te są dokonywane, nie mające zazwyczaj nic wspólnego (choć możliwe) z czynem przestępstwa. Chodzi zazwyczaj o polityczną odpowiedzialność przed parlamentem czy Trybunałem Stanu, jeśli wyrażnie nie wybija się na plan pierwszy element fałszowania dokumentów i osobiste korzyści.

Nie bardzo rozumiem dlaczego do sprawy nadużyć finansowych miesza Kurski udział przedstawicieli władzy w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa, a więc u siebie

w domu, lub w spółkach akcyjnych, gdzie akcje w całości lub większości są w rękach jednej rodziny. Autor wie, że w Polsce przedwojennej żaden minister nie zasiadał w radach nadzorczych podczas pełnienia urzędu. Ale cytuje nazwiska wiceministrów (4) i wyższych urzędników.

Było rzeczą naturalną, że ministrowie delegowali do nadzorowanych przez siebie przedsiębiorstw i instytucji swoich przedstawicieli, których rola nie wyczerpywała się tylko w udziale raz w roku w posiedzeniach rady nadzorczej. Piszący te słowa gdy otrzymał od ministra skarbu w początkach 1939 taką delegację do Wspólnoty Interesów nie pobierał od tej spółki żadnego wynagrodzenia, czy tzw. żetonów, a tylko dodatek funkcyjny wypłacany łącznie z uposażeniem. Mogłem być tylko jeden raz na posiedzeniu rady nadzorczej; otrzymałem stalowy nóż z inicjałami W.I. do rozcinania papieru, który leży jeszcze dzisiaj na moim biurku jako miła pamiątka.

Sprawa rych delegacji nie była uregulowana. Nie neguję, że w ministerstwach były różne zwyczaje. Ministerstwo Spraw Wojskowych często niepotrzebnie delegowało oficerów, których zadaniem miało być dbanie o interesy wojska. Kurski zaznacza, że dziś zwoływanie zbyt często (chyba nie „co rydzień”) posiedzeń rad nadzorczych tysięcy przedsiębiorstw państwowych jest sposobem „nabijania wysokich wynagrodzeń”. Tego nie było na pewno w Polsce międzywojennej przy kilkudziesięciu przedsiębiorstwach państwowych, aczkolwiek różne dodatki też były swojego rodzaju „nabijaniem” wynagrodzeń nie tak bardzo wygórowanych w porównaniu z uposażeniami w zakładach przemysłowych.

Afery i polityka

Podjęciu przez *Gazetę Wyborczą* sprawy nadużyć finansowych towarzyszyły – jak można przypuszczać – motywy natury politycznej. Powyżej tytułu artykułu tłustym drukiem przez 4 szpalty uwypuklono zdanie z tekstu, że hasła „czystych rąk” i „przezroczystych sakiewek” wyzwały siłę zdolną obalić władzę. Brzmi to jakby pogróżka lub przestroga

dla obecnej władzy w kraju z aluzją do przeszłości: „Tak też było przed przewrotem majowym”. Przestroga słuszna, ale niezupełnie słuszne sprowadzanie polityczno-wojskowej akcji Piłsudskiego do przewrotu pod hasłem walki z aferami, jak to może być rozumiane.

Piłsudski legitymując majowy zamach stanu 1926 mówił, że „za dużo było w kraju nieprawości”, w wywiadzie prasowym zaznaczył, że „oburzała go bezkarność nadużyć w państwie i zależność państwa od ‘nuworyszów’”. Nie było to jednak motywacją przewrotu, zmierzającego do poprawy stosunków społeczno-politycznych i ukrócenia tzw. „sejmowładztwa”. Nie pod hasłem „czystych rąk” cała lewica polska łącznie z komunistami i część prawicy poparły przewrót. Dla mas społecznych był to protest przeciwko rządowi nie umiejącym opanować kryzysu gospodarczego i rosnącego bezrobocia.

Wywieszanie hasła walki z nadużyciami i korupcją na sztandarze walki politycznej jest powszechnie używanym taktycznym chwytem, ale bardzo niebezpiecznym i szkodliwym w walce na dłuższą metę. Doświadczył tego właśnie obóz piłsudczykowski. Po przewrocie majowym powołano komisję do zbadania nadużyć i zrodziło się hasło „sanacji moralnej”. Był to polityczny błąd ludzi z otoczenia Piłsudskiego, którzy źle zrozumieli i interpretowali jego intencje. Komisja nie mogła poszczycić się odkryciem wielkich afer, poza tymi, które były już znane i poddane sądom przed majem. Opozycja antypiłsudczykowska skwapliwie wyłapywała wszelkie poczynania (nie tyle kryminalne co polityczne) niezgodne lub niezupełnie zgodne z prawem. Zarzuty stawiane przeciwnikom politycznym bumerangiem powracały, a hasło „sanacji” przyłgnęło do obozu z ironicznym wydźwiękiem tego słowa.

Czyny kryminalne, również na najwyższym szczeblu społecznym, należą do prokuratorów i sądów, które są w naszych zachodnich systemach demokratycznych władzą niezależną. Mieszanie ich do polityki w rozgrywkach partyjnych oddala czujność mas społecznych na istotne sprawy i zagadnienia życia państwowego. Stało się to obecnie we Włoszech, gdzie kryminalna akcja „Mani pulite”,

wciągnięta do rozgrywek partyjnych, zdeorganizowała cały system politycznego działania.

Można sobie życzyć aby w dzisiejszej Polsce, po niemal 50 latach komunistycznej deprawacji narodził się zdrowy system *państwa prawa* oparty na pozytywnych osiągnięciach i doświadczeniach Polski międzywojennej. Tego jeszcze dzisiaj nie widać. Nie jestem pesymistą i wierzę w twórcze siły polskiego narodu. Osiągnięto już dużo w trudnych warunkach, ale nie tak trudnych jak te, w których moje pokolenie musiało działać i improwizować po pierwszej wojnie światowej. Ale wolno się zapytać, dlaczego większe wzięcie mają dziś obce wzory, a nie rodzime polskie doświadczenia?

Dlaczego – jak się wydaje – zaniedbano doświadczeń końcowych lat II RP w zakresie współżycia nieuniknionych w warunkach polskich form przedsiębiorczości państwowej z przedsiębiorczością prywatną, nie ustalono po dziś dzień modelu tego współżycia jasnego dla społeczeństwa, rzucając się ślepo w politykę prywatyzacji i tzw. „wolnego rynku”, który jest idealnym wzorem tylko w teorii ekonomii politycznej, a nie istnieje w czystej formie nigdzie na świecie?

Dlaczego – jeśli się już pomija rzetelne wysiłki II RP w ustaleniu doktryny czy myśli przewodniej polskiej państwowości, która znalazła swój wyraz w Konstytucji z 23 kwietnia 1935 – zmarnowano 5 lat pracy nad nową ustawą zasadniczą, mającą utorować drogę do innych zmian ustawodawstwa z czasów komunistycznych i rozwiązania problemów łączących się z organizacją i administracją państwa prawa?

Odpowiedź na te pytania jest prosta: w roku 1989, gdy Polska odzyskała niepodległość, nie było w zakresie tej olbrzymiej problematyki odpowiedniego przygotowania. Zaszczepiona też została przez komunizm pogarda dla przedwojennych prób budowania polskiego modelu demokracji.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, w grudniu 1994

Autor pracował w latach 1932-1935 w Biurze Prasowym Prezydium Rady Ministrów (sprawy polityki gospodarczej), a w latach 1936-1939 był bliskim współpracownikiem Ministra Skarbu i wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego.

O WILEŃSKIEJ ARMII KRAJOWEJ. NA MARGINESIE ARTYKUŁU ZDZISŁAWA A. SIEMASZKI

W *Zeszytach Historycznych* ukazał się ostatnio interesujący artykuł poświęcony stosunkom wileńskiej Armii Krajowej z Niemcami¹. Zawiera on szereg kontrowersyjnych tez, z którymi – moim zdaniem – należy podjąć polemikę. Konieczna jest ona zwłaszcza tam, gdzie można sprostować nieścisłości czy wręcz błędne informacje, opierając się na dokumentach polskich, niemieckich oraz wytworzonych przez różne organa władzy sowieckiej, a znajdujące się w warszawskich czy wileńskich archiwach. W swojej polemice skoncentruję się na kilku kwestiach, być może inni badacze lub uczestnicy wydarzeń zajmą się innymi.

Zacznę od spraw drobniejszych. Przede wszystkim nie jest zgodne z prawdą historyczną stwierdzenie Z.A. Siemaszki, jakoby „terenem współpracy z Niemcami była gazeta *Goniec Codzienny* wydawana przez Niemców w języku polskim (...)”, który „był (...) w rzeczywistości wspólnym niemiecko-akowskim dziełem” (s. 207-208). Jako koronny argument Autor przytacza fakt, iż należało do AK wielu jego pracowników. Trzeba jednak postawić sobie pytanie zasadnicze: komu gazeta podlegała, przez kogo była cenzurowana (a więc kto nadawał jej kształt, wpływał w ten sposób na treść zamieszczanych tekstów) i wreszcie czyje cele realizowała? Wszystkie znane przekazy świadczą o tym, że podlegała niemieckiemu urzędowi propagandy, cenzurowana była przez niemieckich cenzorów, a realizowała cele propagandy niemieckiej. Zachowały się w Centralnym Archiwum Państwowym Republiki Litewskiej (CAP RL) w Wilnie materiały

1. Zdzisław A. Siemaszko, *Wileńska AK a Niemcy, Zeszyty Historyczne*, Paryż, 1994, z. 110.

redakcyjne, również z zaznaczonymi ingerencjami niemieckiej cenzury. Nigdzie zresztą na ziemiach polskich, które znalazły się pod niemiecką okupacją, nie mogły ukazywać się oficjalne pisma, które nie miały akceptacji władz okupacyjnych, niezależnie od języka w jakim były wydawane. Władze III Rzeszy traktowały propagandę jako groźną broń i starały się ją wykorzystywać z jak najlepszymi dla siebie rezultatami. Dlatego też powołano całe ministerstwo, na którego czele stanął Joseph Goebbels, a dla narodów podbitych uruchomiono różnego typu książki i gazety. Że spotykały się one z pogardą i były odrzucane przez te społeczeństwa, to już jest inna sprawa. Natomiast obecność żołnierzy AK w redakcji i drukarni pisma miała nie tylko cel wywiadowczy. Dowództwo AK bowiem planowało w przypadku wybuchu powstania powszechnego zajęcie drukarni, zapasów papieru, farby drukarskiej itp. i wykorzystanie ich do druku gazet powstańczych, odezw, ulotek, zaświadczeń itd. Praktyczna realizacja tych planów miała jednak miejsce tylko w Powstaniu Warszawskim². W różnych instytucjach niemieckich było zresztą zatrudnionych wielu żołnierzy AK, często dostarczających cenne informacje wywiadowcze, a przecież nikt nie uważa ich za instytucje polsko-niemieckie, realizowały one w każdym przypadku cele wojenne III Rzeszy.

Z kwestią *Gońca Codziennego* wiąże się kwestia współpracy – „falszywej”, jak pisze Z. A. Siemaszko – z tym pismem Józefa Mackiewicza. Należy w tym miejscu napisać o nie znanym badaczom dokumencie, który udało mi się odnaleźć w zbiorach Centralnego Archiwum Państwowego Republiki Litewskiej. Jest to wystawiony przez Gebietskommissara Wilna w dniu 5 XI 1941 r. w języku niemieckim „Spis wydanych nocnych przepustek pracownikom redakcji, administracji i drukarni wydawnictwa (*Goniec Codzienny*) *Tagesbote*”, adresowany do dowódcy Sipo i SD w Wilnie. Figuruje tutaj też nazwisko J. Mackiewicza, co świadczy o tym, że sami Niemcy uważali go w 1941 r. za człowieka blisko związanego z redakcją³. Kiedy napisałem o tym w

2. Piszę o tym w pracy: *Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939-1945*; W-wa 1987.

3. CAP RL, Fond R-614, Ap. 1, t. 31, k. 58-59.

Polityce, spotkało się to, zamiast z rzeczową argumentacją, z inwektywami pod moim adresem; wychodzę jednak z założenia że *amicus Plato, sed magis amica veritas*.

Momentami odnoszę wrażenie, że p. Z.A. Siemaszko rzeczową argumentację zastępuje insynuacjami. Pisze o „Wachlarzu”: „poza wrześniową granicę wyskoczyć nie zdołał (prócz nielicznych wyjątków), a do jego kierownictwa napłynęli oszuści i dyletanci, którzy powodowali duże straty i przesyłali fikcyjne meldunki. Projekt został wnet zlikwidowany *in odore* kompromitacji” (s. 203), powołując się w tym miejscu na monografię tej organizacji pióra dra Cezarego Chlebowskiego. Lecz z książki tej nic takiego nie wynika, wykonane przez „Wachlarz” akcje zostały w niej rzetelnie udokumentowane, a stwierdzenie p. Z.A. Siemaszki o fikcyjnych meldunkach może dotyczyć tylko jego Odcinka IV (który zresztą też przeprowadził szereg akcji bojowych, wymienionych przez C. Chlebowskiego). Całkowicie nieprawdziwe jest stwierdzenie o nieprzekroczeniu przez „Wachlarz” przedwrześniowej, wschodniej granicy Polski. Dotarł on przecież do Mińska, Charkowa (setki kilometrów na wschód od niej), Kijowa, Dyneburga. Straty „Wachlarza” wynosiły ok. 21% stanu osobowego, zaś organizacja do końca swego istnienia była w pełni zakonspirowana⁴. Swoją drogą ciekawe, kogo Autor uważa za „dyletantów i oszustów”? Może ponad dwudziestu cichociemnych, z których spora grupa poległa w czasie wojny, niektórzy stali się więźniami sowieckich łagrów (kpt. Władysław Kochański), a inni zginęli w komunistycznych więzieniach (mjr Bolesław Kontrym). A może twórców i dowódców „Wachlarza”, płk. dypl. Adama Remigiusza Grocholskiego, przedwojennego szefa adiutantury ministra spraw wojskowych Józefa Piłsudskiego i jego szefa sztabu, ppłk. Jana Włodarkiewicza? Odnoszę wrażenie, że Z.A. Siemaszko nie przeczytał dokładnie książki, na którą się powołuje.

Podobny przykład mamy też, gdy Z.A. Siemaszko pisze o osobie mjr. Aleksandra Krzyżanowskiego, komendanta Okręgu AK Wilno: „Wilk był zupełnie przeciętnym oficerem

4. C. Chlebowksi, *Wachlarz. Monografia wydzielonej organizacji dywersyjnej Armii Krajowej wrzesień 1941 – marzec 1943*, W-wa 1985, s. 228-229, 360, 386.

zawodowym artylerii, który po 23 latach służby w carskim i polskim wojsku uzyskał stanowisko dowódcy dywizjonu, tj... tuzina dział (...). Warszawa nominację [na komendanta Okręgu ZWZ-AK – przyp. G.M.] zatwierdziła (...), i w ten sposób Wilno otrzymało małokalibrowego komendanta” (s. 210). Czy nie lepiej jednak było przytoczyć opinie wystawione Krzyżanowskiemu przez jego przełożonych, opublikowane w książce Krzysztofa Tarki, na którą Z.A. Siemaszko kilkakrotnie się powołuje⁵. Myślę, że nie należy argumentów zastępować inwektywami. Faktem jest natomiast, że dowódcy poszczególnych okręgów Armii Krajowej, będąc często dobrymi oficerami i uczciwymi ludźmi, rzetelnie wypełniającymi swoje obowiązki, nie mogli sprostać nałożonym nań zadaniom o charakterze politycznym; wręcz przeciwnie, nie będąc politykami nie potrafili znaleźć wyjścia w trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Zaskakujące jest stwierdzenie p. Z.A. Siemaszki, że realizowanie przez wileńskie AK planu „Ostra Brama” było sprzeczne z rozkazami gen. Sikorskiego, przy powołaniu się na dokument z 19 XI 1941 r., zaś „autorem koncepcji tej akcji był oderwany od rzeczywistości płk Maciej Kalenkiewicz” (s. 219). Otóż trzeba przypomnieć, że „Ostra Brama” była kryptonimem „Burzy” na Wileńszczyźnie, realizowanej w lipcu 1944 r. W tym kierunku zostało wydanych szereg rozkazów przez dowódców różnych szczebli i absolutnie nie była to prywatna, indywidualna inicjatywa M. Kalenkiewicza (w tym czasie zresztą majora; zginął on w stopniu ppłk. w walce z oddziałami sowieckimi pod Surkontami w sierpniu 1944 r.). Od listopada 1941 r. miało miejsce tyle zmian zarówno na arenie międzynarodowej, jak i w sytuacji wewnętrznej, że wiele pierwotnych planów uległo zmianom. Wspomnę tylko o tym, że najpierw opracowywane były plany powstania powszechnego, a potem wykorzystano je do sformułowania planów „Burzy”. Swoją opinię o tej ostatniej przedstawiam na zakończenie.

Kolejną kwestią prowokującą do polemiki jest stwierdzenie Z.A. Siemaszki, że z Komendy Okręgu AK Wilno

5. K. Tarka, *Komendant Wilk. Z dziejów wileńskiej Armii Krajowej*, W-wa 1990, s. 19-26.

ofiara niemieckich aresztowań padł Zygmunt Andruszkiewicz, „którego zadenuncjowali do Gestapo jego prosowieccy wrogowie w kierownictwie AK, przypuszczalnie dlatego że on już był na tropie ich konkretnych sowieckich powiązań i dlatego że bronił Mackiewicza” (s. 204). Zygmunt Andruszkiewicz nawiasem mówiąc był krewnym ppłk. Juliana Kulikowskiego, szefa Oddziału I Komendy Okręgu, który po aresztowaniu w lipcu 1944 r. przez NKWD „Wilka” i jego oficerów objął Komendę Okręgu⁶.

Pojawiła się w ten sposób wizja Komendy Okręgu, współpracującej z jednej strony z Niemcami – kwestiom tym Z.A. Siemaszko poświęca całe akapity, a z drugiej strony – z Sowietami. Wydaje się więc, że należy precyzyjnie ustalić charakter stosunków z Niemcami z jednej strony⁷, a z drugiej przyjrzeć się bliżej rzekomym powiązaniom z NKWD. Istnieją po temu możliwości, jeśli zamiast powołania się na nie sprawdzone informacje z polskich relacji sięgniemy do dokumentacji NKWD. Od razu trzeba podkreślić, że dokumenty te zawierają wiele błędnych informacji, ogólników i sloganów, co świadczyłoby o tym, iż na przełomie 1943 i 1944 r. wiedza o AK sowieckich służb bezpieczeństwa na Wileńszczyźnie była bardzo skromna. Pozwolę sobie w tym miejscu przytoczyć tekst jednego z raportów:

Wyciąg z raportu Litewskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego z 27 X 1943 r.

PISEMNY RAPORT

Polskim ruchem nacjonalistycznym we wschodniej Litwie i zachodniej Białorusi kieruje przedstawiciel tajnego polskiego sztabu generalnego. Nazwisko tego przedstawiciela sztabu generalnego, a także inne dane są nam nie znane. Wia-

6. Relacja Stanisława Ochockiego z 1975 r., zbiory Romana Korab-Żebryka; J. Kijewska, A. Sanojca, *Schemat organizacyjny SZP-ZWZ-AK 1939-1945, Dzieje Najnowsze*, 1980, z. 3, s. 161-163.

7. Niezmiernie cennym do tego materiałem są dokumenty opublikowane przez Z.S. Siemaszkę, *Rozmowy z Wehrmachtem w Wilnie, luty 1944, Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1984, z. 69. Istnieją też niemieckie raporty z tych rozmów.

domo tylko to, że jest on oficerem wysokiej rangi polskiej armii. W/g naszych danych na 6 października 1943 r. centrum kierownictwa podziemnych nacjonalistycznych polskich organizacji znajduje się w Kalwarii (7 km na północ od Wilna, po drodze do Wierok). Przedstawiciele polskich organizacji w Landwarowie i Ejszyszkach jeżdżą z raportami i po dyrektywy 4-6 razy w miesiącu do Kalwarii. Wileńskie kierownictwo Polaków powiązane jest za pośrednictwem radia z Warszawą i Londynem⁸.

Polskimi nacjonalistycznymi organizacjami z zasady kierują oficerowie polskiej armii, endecy, piłsudczycy i inny element reakcyjny. Organizacje mają strukturę według zasad armii: oddział – 18 osób, pluton – 60 osób, kompania – 240 osób. Komendantów i ich zastępców wyznacza się z góry. Organizacje nie robią zebrań.

Polacy w Wilnie wydają nielegalną gazetę *Niepodległość*, wokół której grupują się reakcyjne polskie organizacje. Gazeta wychodzi 2 razy w miesiącu, format normalnej książki na 8-miu stronicach (1 lipca tego roku wyszedł 22-gi numer licząc od początku i 12-ty numer w tym roku). Pod tytułem gazety jest napis: „Organ ziemi wileńskiej”. Do zerwania stosunków między ZSSR i rządem Sikorskiego gazeta wpajała Polakom nienawiść do Niemców; Związek Sowiecki pomijało milczeniem. Teraz zawartość tej gazety jest bardziej antysowiecka niż antyhitlerowska; w lipcowym numerze z br. nad tytułem już jest napis: „Hitler i Stalin to dwa obrazy jednego zła”.

Ludność polska z wyjątkiem maleńkiej grupy znajdującej się na służbie [niemieckiej] nienawidzi tych ostatnich. Ale niemała część ludności polskiej nastawiona przeciw Niemcom wypowiada się za niezawisłą burżuazyjną Polską. Ta część Polaków, wpajając Polakom nienawiść do Niemców, jedno-

8. Bałamutne informacje o kierownictwie polskiego podziemia na Wileńszczyźnie świadczą o słabej – w tym czasie – orientacji sowieckich służb bezpieczeństwa o tym terenie. Przecież posiadanie agentów w Komendzie Okręgu pozwoliłoby na uzyskanie wielu istotnych i precyzyjnych informacji, w tym też danych personalnych, a nie tylko na stwierdzenie o „przedstawicielu tajnego polskiego sztabu generalnego”, oczywiście nieprawdziwe, jako że czegoś takiego nie było.

częśnie nastawia ich przeciw Związkowi Sowieckiemu. Reakcyjne warstwy narodu polskiego organizują swoje zbrojne organizacje, które powinny wystąpić zarówno przeciw słabnącym Niemcom, jak i przeciwko Armii Czerwonej.

W ostatnim czasie polscy nacjonaliści zaczęli organizować polską administrację, wyznaczając starostów, starszych i inne osoby na stanowiska, które powinny zająć miejsce władz okupacyjnych. Nacjonaliści próbują powstrzymać od aktywnego wystąpienia tę część polskiej ludności, która rwie się do walki przeciw Niemcom i udzielają wytycznych o gromadzeniu, dojrzewaniu sił do wygodnego dla nich momentu. Jest to spowodowane tym, że ruch partyzancki w Kraju Wileńskim ma coraz większy rozmach, a Polacy, zwolennicy natychmiastowej walki z Niemcami, wyslizgują się spod wpływów nacjonalistów, co zmusiło tych ostatnich do zorganizowania kilku partyzanckich oddziałów, które są uzupełniane Polakami – członkami oddziałów karnych, którzy powstałi przeciw Niemcom i przeszli na stronę partyzantów.

Polacy-partyzanci mają trochę inną taktykę niż *Niepodległość* i grupujące się wokół niej nacjonalistyczne organizacje. Partyzanci oznajmniają, że mają teraz jeden cel – bić Niemców. Powstrzymują się oni od wypowiadania swojej opinii na temat Zachodniej Ukrainy, Zachodniej Białorusi i Wilna, oznajmając, że stosunki między Polską a ZSSR będą odnowione i w tych tematach porozumieją się rząd polski i rząd ZSSR. W rozmowach z naszymi partyzantami Polacy oznajmują, iż oni, jako żołnierze, polityką się nie zajmują, a zamierzają tylko bić się ze wspólnym wrogiem – Niemcami. Oni robią wrażenie, że są skonsternowani polityką, którą prowadzi *Niepodległość*, zrzucają z siebie odpowiedzialność za tę politykę, ale mają nadzieję wpłynąć na *Niepodległość* w sensie zmiany jej polityki na naszą korzyść.

Wydawane przez polskich partyzantów gazety są bardziej powściągliwe, ale zajmowana przez nich pozycja nie jest szczerą. Są dane, że między swoimi przebąkują o tej chwili, kiedy zdołają rozbić naszych partyzantów, przegonić ich z polskiego kraju, a także nie wpuścić tutaj Armii Czerwonej. Przeciw Niemcom polscy partyzanci wielkiej aktywności nie wykazują. Oni uderzają tylko w ich słabe punkty i tylko

wtedy, kiedy są absolutnie pewni, że przeprowadzą operację nie ponosząc ofiar.

Oddziały partyzanckie, utworzone przez polskich nacjonalistów są wierne ich taktyce gromadzenia sił i wyczekiwania odpowiedniego momentu do wystąpienia.

Na to, że masy narodu polskiego nie popierają taktyki nacjonalistów, można podać następujący przykład: w rejonie Braśławia stary polski legionista organizował oddział partyzancki, do którego masowo zaczęli napływać ludzie. Sukces organizacyjny tego oddziału polegał na tym, że organizator postawił sobie za cel walkę z Niemcami i z tymi Polakami, którzy przeszkadzają Polakom bić się z Niemcami.

Istnieje niebezpieczeństwo, że nawet polskie oddziały partyzanckie nie znajdujące się pod wpływem nacjonalistów mogą dostać się pod ten wpływ, jeśli przez nas nie będzie prowadzona wśród nich odpowiednia praca⁹.

p.p. Naczelnik Litewskiego Sztabu Ruchu
Partyzanckiego (A. Snieczkus)

p.p. Naczelnik Oddziału Wywiadowczego
Podpułkownik Bezpieczeństwa Państwowego
(Baranauskas)

Za zgodność wyciągu: Zastępca Naczelnika Grupy
Operacyjnej NKGB i Litewskiej SSR
(Wosilus)¹⁰

Kolejna sprawa dotyczy „współpracy” z Niemcami, już o charakterze wojskowym (s. 209-218). Przede wszystkim należy przypomnieć fakt wydania przez KC WKP(b) Białorusi 22 VI 1943 r. uchwały nakazującej zwalczanie polskiego podziemia¹¹. Stanowiło to potężny impuls do rozpoczęcia

9. Trzeba stwierdzić, że liczne fragmenty tego meldunku zawierają nie tyle rzeczowe informacje, co propagandowe stwierdzenia, chętnie – jak się wydaje – przyjmowane przez zwierzchników.

10. CAP RL, Fond R-759, Ap. 1, t. 14, k. 17-18. Podobne informacje zawiera dokument opublikowany już przeze mnie: *Operacja „Sejm”*, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1993, z. 104. W zespole tym znajduje się zresztą wiele dokumentów informujących o starciach między oddziałami AK i partyzantki sowieckiej, warto je skonfrontować z polskimi źródłami.

11. M. Juchniewicz, *Polacy w radzieckim ruchu podziemnym i partyzanckim 1941-1944*, W-wa 1973, s. 299-300.

wzajemnych walk polsko-sowieckich. W tej sytuacji Niemcy – rzecz zupełnie naturalna z ich punktu widzenia – postanowili wykorzystać sytuację i zaczęli wspomagać uzbrojeniem i amunicją oddziały AK. Nie uważam jednak tego – w przeciwieństwie do p. Z.A. Siemaszki – za „operację” w sensie wojskowym; nie opracowano do jej przeprowadzenia żadnych planów, nie przedstawiono założeń i celów. Była to sytuacja wymuszona, przy czym jednocześnie obok swoistych „paktów o nieagresji” na niektórych terenach toczono w innych miejscach walki z Niemcami. Dowódca Okręgu Nowogródek, płk Janusz Prawdzic-Szlaski, wspomina, że oddziały tego okręgu stoczyły 83 walki z bolszewikami i 158 walk z Niemcami (dane niepełne)¹². Skłania to do wniosku, że nie było konsekwentnej polityki współdziałania z Niemcami i walki z Sowietami; raczej w zależności od sytuacji na danym terenie i z jednymi, i z drugimi walczone bądź rozmawiano, przy czym bardziej chyba chętni do rozmów byli Niemcy. Wydawane rozkazy nakazywały wyraźnie tworzenie oddziałów partyzanckich i ich walkę z Niemcami; rtm. J. Świda wspomina rozkazy otrzymane od komendanta Obszaru Białystok, płk. Edwarda Godlewskiego: „Pułkownik powierzył mi tworzenie na terenie Nowogródzczyzny oddziałów partyzanckich AK. Zadanie: dywersja i walka z Niemcami, ale poza tym – i to jako zadanie pilne – oczyszczenie okręgu z sowieckich oddziałów partyzanckich”¹³. Píše potem o walkach przeprowadzonych z Niemcami.

W 1944 r., w obliczu nieuchronnej klęski, różne instytucje niemieckie zaczęły szukać kontaktów z podziemiem w celu budowy polsko-niemieckiego sojuszu antybolszewickiego, nie tylko zresztą na Kresach, ale też w Generalnym Gubernatorstwie. Jest o tym mowa w wielu raportach dowódcy AK, gen. Tadeusza Komorowskiego. Ten ostatni już 28 II 1944 r. wysłał depezę, w której raportował o niemieckich usiłowaniach dotarcia do dowódców różnych szczebli, w

12. Prawdzic-Szlaski, *Nowogródzczyzna w walce 1940-1945*, Londyn 1976, s. 137. W odniesieniu do wileńskiej 6 Brygady informacje o walkach z jednymi i drugimi podaje W. Borodziejewicz, *Szósta Wileńska Brygada AK*, W-wa 1992.

13. J. Świda, *Wyjaśnienie dotyczące okresu 1943/1944 roku*, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1985, z. 73, s. 75.

tym też do niego, z propozycjami współpracy antysowieckiej i podkreślił: „bezapelacyjnie odrzucam i nie dopuszczam do żadnych rozmów”¹⁴. O staraniach niemieckich o nawiązanie współpracy antysowieckiej jest też mowa w innych jego meldunkach¹⁵. Pomijając inne kwestie, Niemcy sami usilnie starali się, aby z tych rozmów nic nie wyszło. Na przykład w „Meldunku sytuacyjnym nr 15” dowódcy AK z 28 VI 1944 r. czytamy: „Niemcy powołują nieoficjalnie komitety współpracy polsko-niemieckiej przeciw Sowietaom, szukając przez nie kontaktu z dowództwem AK dla przedstawienia AK na walkę z komuną, w zamian za zwolnienie więźniów politycznych”¹⁶. Jednocześnie zaraz potem w depeszy tej czytamy: „W Warszawie ogłoszono 16 VI listę 75 rozstrzelanych jako komunistów¹⁷. Egzekucje: 26 V w Kielcach 39 osób; 6 VI – w Chęcinach 60, w Jędrzejowie 20, w Radomsku 10, w Bełżycach 24, w Krakowie 40, w Zakopanem 20, poza tym w Okręgu Kraków 60”¹⁸. Trudno więc było prowadzić rozmowy z Niemcami o współpracy antysowieckiej w chwili, kiedy jednocześnie z rąk niemieckich ginęły setki ludzi. Trzeba zresztą wziąć pod uwagę, że od 1 IX 1939 r. Polska znajdowała się w stanie wojny z Niemcami; aby doszło do jakiegokolwiek porozumienia z nimi wcześniej musiałoby dojść do rozmów politycznych i traktatów pokojowych, a także całej masy innych ustaleń. Natomiast dotychczasowa, kilkuletnia polityka niemiecka spowodowała, że ogół społeczeństwa uważał właśnie III Rzeszę za zasadniczego, głównego wroga. Przez kilka lat podziemna prasa propagowała przygotowywanie się do walki z Niemcami, lansowała atmosferę nieubłaganej wrogości do nich. Zawarcie porozumienia w tej sytuacji było sprawą szalenie skomplikowaną, jako sprzeczne z dążeniami i nastrojami społeczeństwa; łatwo wyobrazić sobie reakcję na to rodzin tych, którzy właśnie

14. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, t. III, Londyn 1976, s. 293 (dalej cyt.: AK, III, nr strony).

15. Tamże, s. 352, 382, 388, 396, 435, 443.

16. Tamże, s. 494.

17. Nie oznacza to, że wszyscy ci ludzie nimi byli, w publikowanych przez Niemców listach rozstrzelanych często nie zgadzają się nawet nazwiska.

18. AK, III, s. 494.

zginęli z rąk niemieckich. Od wybuchu wojny nie było więc alternatywy wobec walki z III Rzeszą. Zaznaczyć trzeba, że nieco inne były nastroje na Kresach, gdzie społeczeństwo miało świeżo w pamięci okres okupacji sowieckiej 1939-1941 (w przypadku Wileńszczyzny faktycznie nieco krótszy, lato 1940–lato 1941). Na Kresach często zdarzało się witanie wkraczających w 1941 r. wojsk niemieckich jako zbawców¹⁹.

Czy zresztą pełna współpraca wojskowa polsko-niemiecka byłaby wtedy dla Polski korzystna, nawet gdyby była możliwa? Mam poważne wątpliwości, Niemcy bowiem ograniczali się w swoich ofertach tylko do możliwości uwolnienia aresztowanych wcześniej żołnierzy podziemia. Rozmowy nie wchodziły i wejść nie mogły na etap wyższy, kontaktów politycznych. Niemcy nie oferowali żadnych koncesji politycznych, nie obiecywali żadnych korzyści, które poza dozbrojeniem się i uwolnieniem ludzi miałyby strona polska. W 1943 i 1944 r. byli militarnymi i – co za tym idzie – politycznymi bankrutami i dlatego wiązać się z nimi nie należało. „Zwycięstwo Niemiec na wschodnim froncie leżało w interesie Polski i już najwyższy czas żeby przestać uważać za czarne owce tych, którzy starali się do tego zwycięstwa przyłożyć rękę” (s. 221), pisze p. Z.A. Siemaszko, nie biorąc pod uwagę faktu, że w tym czasie było już ono niemożliwe²⁰. Zbyt wielkie straty poniosła już III Rzesza, zbyt dużo wysiłku włożyli Anglosasi, wysyłając Sowietom potężne ilości zaopatrzenia, aby ci ostatni mogli pokonać III Rzeszę. Jej kapitulacja była już tylko kwestią czasu.

I jeszcze jedno. Czy współpraca z Niemcami przyniosłaby Polsce jakieś korzyści polityczne? Militarnie działania oddziałów AK w czasie „Burzy” nie mogły odegrać większej roli; sam Z.A. Siemaszko udowadnia to na przykładzie walk

19. Choć nie tylko, i chyba nie przede wszystkim przez Polaków; w Małopolsce Wschodniej powitania takie często były dziełem Ukraińców.

20. Argumentacja nieco kuriozalna, bowiem od 1 IX 1939 r. Polska była w stanie wojny z Niemcami. Należałoby więc uznać, że zwycięstwo państwa, z którym Polska była w stanie wojny, leży w jej interesie i należy wspomagać Niemcy, z którymi byliśmy w stanie wojny. Zachodzi zresztą od razu pytanie szersze, choć retoryczne: czy w takim razie współpraca z niemieckimi instytucjami, pracującymi dla zwycięstwa III Rzeszy (np. Gestapo), nie leżała w interesie Polski?

o Wilno (s. 210-211), pisząc o potężnych siłach niemieckich i sowieckich oraz niewielkich w porównaniu z nimi oddziałach polskich. Udział więc u boku Niemiec w stawianiu oporu nacierającym wojskom sowieckim nie miałby większego znaczenia militarnego i politycznego; mógłby dodatkowo spowodować katastrofę polityczną. Warto bowiem przypomnieć fakt, że na konferencji w Teheranie Stalin prezentował Churchillowi i Rooseveltowi ulotkę, na której była głowa z dwoma obliczami: profilem Hitlera i profilem Stalina²¹. Nie mam wątpliwości, że w przypadku znalezienia między trupami niemieckich obrońców Wilna zwłok żołnierzy z akowską opaską, Stalin wykorzystałby to w maksymalny sposób, ściągając na miejsce zachodnich dyplomatów i dziennikarzy, żądając nie tylko zerwania stosunków z polskimi władzami emigracyjnymi, ale wręcz zastosowania wobec nich represji jako sprzymierzeńców III Rzeszy. Postawiłby w ten sposób swoich zachodnich sojuszników w trudnej sytuacji, zarzucając im tolerowanie prohitlerowskich ugrupowań. Jednocześnie zaprezentowałby komunistów polskich, twórców PKWN i innych podporządkowanych mu instytucji, jako jedynych Polaków walczących z Niemcami. Puszczając dalej wodze fantazji, trudno wyobrazić sobie żołnierzy polskich walczących ramię w ramię z Niemcami w Wilnie i w tym samym czasie Polaków walczących z Niemcami we Francji i we Włoszech, przy czym i jedni i drudzy podporządkowani byłiby jednemu ośrodkowi politycznemu w Londynie.

Moje konkluzje są więc o wiele bardziej pesymistyczne. „Burza”, w ramach której walczone o szereg miejscowości, w tym też o Wilno, była poważnym wystąpieniem wojskowym. W jej rezultacie zadano Niemcom poważne straty w ludziach i sprzęcie. Ale walki te stanowiły tylko epizod na wielkich frontach II wojny światowej i ani Sowietom, ani USA i Wielka Brytania nie były zainteresowane propagowaniem sukcesów tych niewygodnych dla nich „sojuszników”. Wszystko to nie miało większego znaczenia politycznego, kwestia państwowej przynależności Kresów została już bowiem przesądzona.

21. W. T. Kowalski, *Wielka koalicja 1941-1945*, t. I, W-wa 1973, s. 706-707.

Uznając Polskę za teren operacyjny Armii Czerwonej, USA i Wielka Brytania dały J. Stalinowi wolną rękę w kształtowaniu politycznego i terytorialnego kształtu Polski i krajów sąsiednich. Dla kierownictwa polskiego w Londynie i dowództwa AK w kraju nie ulegało wątpliwości, że działania wojenne doprowadzą do wkroczenia Armii Czerwonej do Polski i rozciągnięcia nad nią wpływów politycznych ZSSR. „Burza” była wyrazem daremnego protestu przeciw temu. W depeszy gen. Komorowskiego do Naczelnego Wodza z 19 IV 1944 r. czytamy: „Stosunek Sowietów do nas oceniam z całym realizmem. Niczego dobrego z tamtej strony nie oczekujemy, nie łudzimy się też możliwą ich lojalnością współpracy z niepodległymi czynnikami polskimi. (...) Zmuszeni okolicznościami do demonstrowania swej postawy wobec wkraczających Sowietów, uważamy za konieczne, by każdy nasz krok stał pod znakiem suwerennych praw Rzeczypospolitej i zwierzchności jej Władz Naczelnych nad nami²²”. W ówczesnej sytuacji nie było dobrego wyjścia politycznego i – według mnie – nie było żadnych szans na zapobieżenie podporządkowaniu Polski ZSSR. Nie oznacza to jednak, że należy uważać walkę z Niemcami za błąd; wiele krajów, ich przywódcy i znaczące kręgi opiniotwórcze, uważało to za ważny kapitał polityczny i wyolbrzymiało swoje osiągnięcia w niej w sposób wręcz nieprawdopodobny. Sądzę, że – niezależnie od wszelkich zagrożeń płynących ze Wschodu – związanie się z nimi w 1943 czy 1944 r. byłoby błędem jeszcze większym.

Grzegorz MAZUR

22. AK, III, s. 412.

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWA WERSJA „KRONIKI ŻYCIA” PIŁSUDSKIEGO

Ukazanie się w 1977 r. dwutomowej *Kroniki Życia Józefa Piłsudskiego* w opracowaniu Wacława Jędrzejewicza stanowiło swojego rodzaju sensację. Nie tylko bowiem otrzymaliśmy po raz pierwszy tego typu dzieło, nieocenione dla historyka Polski najnowszej, ale autorem jego był już wówczas osiemdziesięcioparoletni żołnierz, dyplomata i historyk Drugiej Rzeczypospolitej. W recenzji ogłoszonej w czterdziestym szóstym numerze *Zeszytów Historycznych* nazwałem ten „owoc długoletniej i żmudnej pracy” ukoronowaniem „działalności wybitnego badacza a zarazem koronnego świadka opisywanych wydarzeń”. Licząca ponad tysiąc pięćdziesiąt stron tekstu *Kronika* nie mogła oczywiście objąć i zarejestrować *wszystkich* wydarzeń w życiu Marszałka, choćby ze względu na ograniczony podówczas dostęp do archiwów i materiałów krajowych. Sam autor zdawał sobie z tego doskonale sprawę i po wydaniu *Kroniki* skrzętnie notował wszelkie możliwe uzupełnienia. W 1986 r. zdołał jeszcze wydać blisko dziewięćdziesięciostronicowy tomik pt. *Kronika Życia... Uzupełnienia do tomów I i II*.

Rozszerzeniem *Kroniki* w oparciu o możliwie wszechstronną kwerendę w archiwach polskich z uwzględnieniem nowych źródeł, wspomnień czy opracowań jakie ukazały się

ostatnio w Polsce zajął się młody historyk krakowski mieszkający stale w USA i pełniący od kilku lat funkcję dyrektora Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku: dr Janusz Cisek. Wynikiem jego prac jest wydane przez Ossolineum w roku bieżącym trzytomowe dzieło pt. *Kalendarium Życia Józefa Piłsudskiego* – jako autorzy figurują: Jędrzejewicz i Cisek. Przedmowę napisał Zbigniew Brzeziński.

Kalendarium jest obszerniejsze od *Kroniki* i zawiera to wszystko – z małymi zmianami i opuszczeniami – co znajdowało się w pierwotnej publikacji (i uzupełnieniach) rozszerzone o nowy materiał. Zmiany i skreślenia są na ogół nieistotne i odnotowuję tu kilka jedynie z obowiązku recenzenta. Zauważyłem na przykład, że znikły trzy zdania Jędrzejewicza (pierwotna wersja, I, 484) w których pisał, iż w okresie kwiecień–październik 1920 Piłsudski przeprowadzał codziennie tyle rozmów sztabowych, iż dane, jakie posiadamy, stanowią „tylko drobny ułamek całości”. Nieco zmieniony jest ustęp dotyczący różnych danych liczbowych zabitych w maju 1926 r. Opuszczony został zapis z 1 października 1926 r. o nominacji Składkowskiego oparty na *Strzępach meldunków* tegoż ostatniego z komentarzem Jędrzejewicza. Z dodanych przez Jędrzejewicza w uzupełnieniu (s. 43) nazwisk o synach chrzestnych Marszałka zostały skreślone słowa: „obecnie żonę Jerzego Turowicza”. W niektórych wypadkach Cisek skorygował uprzednio podane daty, jak na przykład rozmowy Piłsudskiego z Franciszkiem Hodurem, która miała miejsce w 1913 a nie 1912 r.

Kalendarium, jak już wspomniałem, zostało wzbogacone o nowe materiały. Są to zarówno pozycje drukowane, które ukazały się w takich periodykach jak *Niepodległość*, *Studia Historyczne* (m.in. Ciska, Biegańskiego, Suchcitz) w latach osiemdziesiątych i późniejszych, jak też i starsze, przedwojenne do których Jędrzejewicz nie miał dostępu. Wśród nazwisk autorów drukowanych lub nie drukowanych wspomnień czy diariuszy mamy Kazimierza Świtalskiego (częściowo mógł je wykorzystać Jędrzejewicz), Juliusza Zdanowskiego, M. Romera, Z. Zarembę, St. Grabskiego, gen. Rozwadowskiego, Leona Wasilewskiego, Osmałowskiego i innych. W porównaniu z bardzo pokazną listą źródeł archiwalnych w *Kronice* i uzupełnieniu, liczba i rozpiętość zespołów archiwalnych w *Kalendarium* jest wręcz imponująca. Obejmuje ona, jeśli chodzi o archiwa krajowe: Archiwum Akt Nowych, Archiwum Archidiecezji War-

szawskiej, Archiwum Główne Akt Dawnych, Archiwum PAN, Bibliotekę Narodową, Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego, Centralne Archiwum Wojskowe, Archiwum Państwowe w Krakowie, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Bibliotekę Jagiellońską, Bibliotekę Ossolineum i Archiwum Państwowe w Lublinie. W swej ogromnej kwerendzie Cisek sięgnął również do Biblioteki Litewskiej Akademii Nauk, archiwum ruchu socjalistycznego w Amsterdamie itp. Lista czasopism obejmuje dwie strony. Bibliografia druków zwartych, artykułów, esejów itd. zajmująca 23 strony w *Kronice* i uzupełnieniach wzrosła do 38 stron. Są to niewątpliwie wielkie osiągnięcia współautora *Kalendarium*, z których może on być dumny.

Studiując *Kalendarium* zauważamy nowe dane, rozszerzone dane i rozbudowaną bazę źródłową, poczynając od r. 1892. Oczywiście zależnie od okresów uzupełnienia są różnego charakteru i znaczenia. W ostatnich latach XIX stulecia i pierwszych XX nie wnoszą one zbyt wiele nowego, ale uściślają istniejące zapisy. W 1907 mamy interesujący list Piłsudskiego do Jodki, w 1914 pewnym *novum* jest informacja o przyjęciu Piłsudskiego przez cesarza Franciszka Józefa. Waga zapisków politycznych z okresu pierwszej wojny jak i ich częstotliwość wybitnie wzrasta, a okres od listopada 1918 (na którym zaczyna się drugi tom) do grudnia 1920 zawiera wiele ciekawego i nieznanego materiału. Przykładowo można tu wspomnieć rozmowę Piłsudskiego z Petlurą z 9 grudnia 1919 – z powołaniem się na uprzednio nie wykorzystany: A. Docenko, *Litopis Ukrainської Rewolucji* – jak i list Piłsudskiego z 8 maja 1920, w którym pisze „byłem parę godzin w Kijowie zaraz po wzięciu”. Jak dotąd sądzono na ogół, że Piłsudskiego w Kijowie nie było, na co zresztą mógł wskazywać wzmiankowany w *Kronice* (I, 488) list do Skulskiego.

Wypadki majowe zajmują w *Kalendarium*, dzięki rozszerzonej bazie źródłowej, więcej miejsca niż w *Kronice*. Interesujące są nowe dane dotyczące na przykład postawy gen. Szeptyckiego. Z okresu późniejszego na uwagę zasługuje notatka o zebraniu w Belwederze 14 lipca 1928 r. oparta o *Zapiski Świtalskiego*. Przykładów takich można by mnożyć, a uważna lektura *Kalendarium* raz jeszcze wskazuje na ogrom pracy dokonanej przez Ciska. Nie wątpię, iż Wacław Jędrzejewicz, gdyby żył, byłby szczęśliwy, że dzieło, któremu

poświęcił z dziesięć lat swego życia, zostało tak znacznie rozwinięte i uzupełnione. Odnosi się to też do fotografii, których wiele przybyło – Jędrzejewicz dysponował głównie zbiorem fotograficznym z Instytutu Piłsudskiego.

Obowiązkiem recenzenta jest nie tylko oddanie sprawiedliwości osiągnięciom autora, ale również zwrócenie uwagi na drobne nawet usterki w opracowaniu. W ogromnych trzech tomach jest ich zadziwiająco mało. W tomie I, s. 281, Rudolf Starzewski figuruje jako Straszewski i błąd ten jest powtórzony w bibliografii, t. III, s. 369. Z dostrzeżonych literówek mamy Faunt-le-Roy zamiast Fauntleroy i w dwóch wypadkach Niessel bez e. Noulens był ambasadorem nie posłem, a Lord Kitchener marszałkiem a nie generałem (błąd w *Kronice* powtórzony tutaj). W przypisie odnośnie książki I. Lewina (t. II, s. 24) jest opuszczone słowo „History”.

Wobec tak obszernej i wyczerpującej bibliografii zgłaszanie dodatkowych dezyderatów może się wydać pedanterią jeśli nie przysłowiowym szukaniem dziury w całym. Sądzę jednak, że dokument dotyczący wizyty Barthou w Warszawie opublikowany przeze mnie w *Niepodległości* winien był znaleźć się wśród źródeł drukowanych w bibliografii. Mógł się tam też znaleźć niewielki tomik *Kronika Rodu Piłsudskich* (Londyn, 1988) w opracowaniu Rowmunda Piłsudskiego, zawierający trochę danych o rodzinie. Ponieważ jednak był on wydany nakładem autora łatwo można go było przeoczyć. Czy słusznym było opuszczenie (również w *Kronice*) tomu Adolfa Nowaczyńskiego: *Dokumenty Historyczne z wojny europejskiej* (Warszawa, 1922). Oczywiście jest to publikacja tendencyjna, ale skoro mamy w tomie Arskiego, mógłby być i Nowaczyński.

Kwestia selekcji jest zawsze w jakimś stopniu dyskusyjna, uważam jednak, że należało rozszerzyć zapis o wypowiedziach Marszałka na radzie ministrów 18 sierpnia 1926 r. (t. III, s. 44) powołując się bądź na protokół zebrania, bądź to na Ryszarda Torzeckiego, *Kwestia ukraińska w Polsce w latach 1923-1929* (Kraków, 1989), s.153-154, który zamieszcza dokładne cytaty. Stosunek Piłsudskiego do tematyki ukraińskiej był istotny i warty przypomnienia. Nie wiem też dlaczego Cisek, który odnotowując skrupulatnie daty rozmów Piłsudskiego z ministrem spraw zagranicznych Augustem Zaleskim, uwypukla częstotliwość tych kontaktów, pomija wywody Marszałka na temat polityki zagranicznej zapisane w nie opublikowanych wspomnieniach Zaleskiego a cytowane

przeze mnie w opracowaniu o Zaleskim. Zapewne, Zaleski nie podaje konkretnej daty, ale wyraźnie chodzi tu o rok 1926. Uwagi Marszałka na temat dwóch kanonów – sojuszu i równowagi – są dość ważne i zasługiwały na przytoczenie. Podobnie, dziwnym się wydaje, podawanie jako źródła do rozmowy Piłsudskiego z Zaleskim rumuńskich zapisków Becka w opracowaniu Anny Cieniały zamiast tekstu sporządzonego przez szefa gabinetu ministra Mariana Szumłakowskiego. Podaję go *in extenso* w mym *August Zaleski... w świetle wspomnień i dokumentów*, pozycji figurującej zresztą w bibliografii *Kalendarium*.

Cóż jeszcze można dodać na zakończenie poza podkreśleniem raz jeszcze walorów *Kalendarium*. Pragnąc uzupełnić i rozszerzyć *Kronikę*, przy pełnej aprobachie żyjącego jeszcze wówczas jej autora, Janusz Cisek nie tylko osiągnął swój pierwotny cel, ale zrealizował go w sposób budzący podziw dla jego żmudnej, iście benedyktyńskiej pracy i wytrwałości. Trudno sobie wyobrazić lepszy wynik i cenniejsze opracowanie. Wydawnictwu Ossolineum należą się słowa uznania za tak staranną i graficznie atrakcyjną edycję. Zresztą innej nie spodziewaliśmy się od tego zastrzeżonego wydawnictwa. *Kalendarium* Jędrzejewicza i Ciska ma zapewnioną i trwałą pozycję w naszym dziejopisarstwie dwudziestego wieku.

Piotr WANDYCZ

P.S. Już po wysłaniu recenzji zwrócono mi uwagę na pewien dziwolak wydawniczy w *Kalendarium*, którego nie zauważyłem. Otóż znikła przedmowa Wacława Jędrzejewicza, w którą zaopatrzył on pierwotnie swe dzieło i która wyjaśniała jego podejście i warsztat. Niewątpliwie przedmowa ta powinna była zostać w tym wydaniu wraz ze słowem wstępnym Ciska do obecnej wersji. Zamiast tego otrzymaliśmy przedmowę pióra Zbigniewa Brzezińskiego, który pisząc ją zapewne zakładał, że jakiś merytoryczny wstęp już istnieje i ograniczył się do ogólnych uwag na temat postaci Marszałka. Wszystko to jest bardzo mylące dla nieorientowanego czytelnika.

P.W.

WOJNA 1920 ROKU Z PERSPEKTYWY LAT

Różne były powody tego, że wojna polsko-rosyjska w zaranu wskrzeszonego państwa polskiego bądź obrastała legendą zwycięstwa Piłsudskiego, bądź też była przemilczana przez prawie pół wieku w okresie komunistycznej okupacji. Tu i ówdzie o niej pisano, ale chodziło przeważnie o publikacje fragmentaryczne, opracowane tendencyjnie stosownie do politycznej orientacji środowiska, z jakiego wywodził się autor. Główne problemy, w ich globalnym ujęciu, związane z tą wojną i nieodzowne dla poznania jej motywacji i przebiegu nie znalazły dotychczas bezstronnego autora, który opracowałby ten temat w oparciu o źródła, bez osobistych uprzedzeń lub politycznego zaangażowania, ale z gruntowną znajomością przedmiotu. Zadania tego podjął się i cel swój osiągnął Mieczysław Pruszyński, autor wydanej ostatnio wartościowej książki¹.

Zanim przejdę do jej omówienia, kilka słów o Autorze. Mieczysław Pruszyński (brat Ksawerego), pisarz i publicysta, maturę zdał w Korpusie Kadetów we Lwowie w 1929 r. i już wtedy, mając 17 lat napisał artykuł pt. „Wyprawa kijowska”. Z powodu słabego zdrowia nie zostaje przyjęty do stałej służby wojskowej, kończy wydział Prawa i Szkoły Nauk Politycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim i robi doktorat z ekonomii. Współpracuje z redagowanym przez Jerzego Giedroycia dwutygodnikiem *Bunt Młodych*. W 1939 r. zmobilizowany jako podporucznik rezerwy walczy pod Kockiem, następnie – wraz z bratem Ksawerym – przedostaje się do Wojska Polskiego we Francji, dowodzi plutonem pod Narvikiem, baterią pod Tobrukiem i – po wyzdrowieniu z ran pod Ghazalą – służy w lotnictwie sił sprzymierzonych jako nawigator Dywizjonu 305. Major w stanie spoczynku, odznaczony orderem „Virtuti Militari” i czterokrotnie Krzyżem Walecznych. Po wojnie wraca do kraju, pracuje w

1. Mieczysław Pruszyński, „Dramat Piłsudskiego. Wojna 1920”. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1994 r., str. 297 oraz liczne fotografie.

handlu zagranicznym i publikuje kilka książek.

Przytoczyłem te dane biograficzne, żeby zwrócić uwagę na to, że Autor jest nie tylko pisarzem, ale również oficerem frontowym o pięknej karcie żołnierskiej, i co też czuje się przy lekturze jego książki, napisanej rzeczowo, z fachowym podejściem do wydarzeń, a jednocześnie z myślą o doli i niedoli żołnierza, tak dobrze mu znanych z własnych przeżyć i bogatych doświadczeń.

We wstępie Pruszyński wyjaśnia, że książka „nie jest podręcznikiem historii wojny 1920 roku. Natomiast ujawnia istotne, rzeczywiste przyczyny tej wojny, przez dziesiątki lat ukrywane przed narodem”. Punktem wyjścia Autora jest to, że nie Rosjanie a Polacy wznowili wojnę w 1920 r. Przyczyny tego wywodziły się z konsekwentnie realizowanej koncepcji federacyjnej Piłsudskiego, polegającej jak wiadomo na zamiarze udzielenia pomocy Ukraińcom, Litwinom, Łotyszom, i Białorusinom w ich dążeniach do utworzenia własnych państw, połączonych następnie z Polską w ramach federacji lub układów sojuszniczych. Najbliżej urzeczywistnienia wydawała się być federacja Polski z Ukrainą. Piłsudski nie miał złudzeń co do tego, że Niemcy i Rosja odzyskają utraconą potęgę i wówczas Polska znajdzie się znowu między dwoma wrogimi jej mocarstwami, które wcześniej czy później dokonałyby kolejnego rozbioru Polski. Marszałek zdawał sobie dobrze z tego sprawę i wiedząc – o czym przypomina Autor – że na sytuację Niemiec, uregulowaną w Wersalu, nie mógł wywierać żadnego wpływu w przeciwieństwie do sytuacji na Wschodzie, gdzie skutek rewolucji i wojny domowej miał właściwie wolne ręce, stąd jego przekonanie o potrzebie i możliwości realizowania programu federacji.

Piłsudski był przekonany, że przeciwko Niemcom, gdyby groziło z ich strony niebezpieczeństwo, znajdzie pomoc na Zachodzie, a przeciwko Rosji carskiej, w podobnym wypadku, nigdzie. Trzeba bowiem pamiętać, o czym również przypomina Pruszyński, że „w 1919 r. rządy krajów Ententy² stale podporządkowywały interesy Polski interesom przyszłego imperium rosyjskiego, oby z carem na czele” (str. 59). Dlatego też rządy Francji i Wielkiej Brytanii z jednej strony obawiały się, że zajmowane przez wojsko polskie ziemie na wschodzie uszczuplą terytorium dawnego alianta – Rosji carskiej, z dru-

2. Ententa – nazwą tą określano trójporozumienie zawarte między Francją, Wielką Brytanią i Rosją przed pierwszą wojną światową.

giej natomiast strony zdawały sobie sprawę, że postępy oddziałów polskich na wschodzie pośrednio pomagały wojskom „białym”, które oni popierali w ich walce z bolszewikami.

Wypadki szybko następowały po sobie i w drugiej połowie 1919 r. w wyniku wojny domowej między bolszewikami a Armią Ochotniczą gen. Denikina, uzbrojoną przez Wielką Brytanię i Francję, armia ta, największa z wojsk „białych”, po zdobyciu Charkowa i Kijowa, znalazła się zaledwie 100 kilometrów od Moskwy. Jak pisze Pruszyński „klęska bolszewików i upadek rewolucji komunistycznej wy-dawały się nieuniknione. Wystarczyło, aby wojska polskie, które doszły w międzyczasie do Berezyny i Dźwiny uderzyły z zachodu w kierunku Moskwy” (str. 59).

Wcześniej już Denikin nawiązał kontakt z dowództwem polskim, ale do porozumienia nie doszło, gdyż według oficjalnej wersji Denikin nie chciał uznać nie tylko prawa Polski do kresów wschodnich, lecz w ogóle jej pełnej suwerenności. W rzeczywistości Piłsudski nie był zainteresowany dojściem do porozumienia z Denikinem. Wychodził bowiem z założenia, co szczegółowo omawia Pruszyński, że zwycięstwo Denikina położyłoby kres planom utworzenia sprzymierzonej z Polską Ukrainy. Oznaczałoby „pogrzebanie nadziei na osłabienie Rosji i uwolnienie Polski raz na zawsze od jej przemocy” (str.60), mając ciągle na uwadze to, że w razie wojny z bolszewikami Europa Zachodnia Polskę wspomógł a w wojnie z Rosją carską zwróci się przeciwko nam.

Piłsudski zdecydował przeto wstrzymać na kilka tygodni działania bojowe przeciwko bolszewikom i w ten sposób dopuścić do klęski Denikina, stąd zarzuty stawiane później Piłsudskiemu, że zajęтым stanowiskiem ocalił rewolucję bolszewicką i państwo sowieckie. Takiego też zdania jest Autor omawianej książki, pisząc nadto, że Piłsudski pomny powstań, Sybiru i okrucieństw Murawjowych „zapewne z przyjemnością pomógł wykończyć ostatnie pozostałości znienawidzonego caratu Romanowych” (str.60). Piłsudski prowadził już tajne rokowania z Leninem w jesieni 1919 r. za pośrednictwem ze strony rosyjskiej komunisty polskiego pochodzenia Juliana Marchlewskiego i ze strony polskiej Ignacego Boernera, który zapewniał Lenina, że „wspomaganie Denikina w jego walce z bolszewikami nie jest zgodne z polską racją stanu” (str. 61).

W grudniu 1919 r. bolszewicy zdobyli Kijów i wkrótce nastąpił całkowity upadek Denikina a szczątki jego armii

schroniły się na Krymie, gdzie ich organizacją zajął się generał Wrangel, wspomagany przez Francję. Dnia 22 tego samego miesiąca, po klęsce Denikina, Rosja zwróciła się do Polski z propozycjami pokojowymi, do których Piłsudski ustosunkował się negatywnie, biorąc je za manewr ze strony Rosji, żeby zyskać na czasie.

Wśród historyków polskich panuje na ogół opinia, że propozycje rosyjskie nie mogły być szczere i miały jedynie na celu uśpienie czujności Polaków. Natomiast zdaniem Pruszyńskiego propozycje te były szczere, gdyż Rosja tonąca w chaosie rewolucji, wojny domowej, nędzy i anarchii, potrzebowała pokoju, aby utrwalić swą władzę. Dlatego na przełomie 1919-1920 bolszewicy zaproponowali Polsce podpisanie traktatu pokojowego z wyznaczeniem linii granicznej znacznie korzystniejszej dla Polski, aniżeli uzyskana rok później w traktacie ryskim.

Propozycje rosyjskie zyskiwały w Polsce zwolenników wśród zmęczonego wojną społeczeństwa, w czym nie miała rolę odgrywała propaganda komunistyczna. Odrzucając te propozycje Piłsudski zawarł w kwietniu 1920 r. umowę polsko-ukraińską, w której Polska uznała rząd republiki ukraińskiej z atamanem Semenem Petlurą na czele. Piłsudski postanowił utworzyć niepodległą Ukrainę sprzymierzoną z Polską a tworzył ją, jak pisze Pruszyński, „z uporem Litwina i przebiegłością Metternicha wbrew większości własnego narodu i wbrew wszechmocnym wówczas rządom Ententy – która chciała odrodzoną Polskę zamknąć w granicach etnograficznych od Warty do linii Curzona. Opierając się tylko na własnej intuicji i głębokim przekonaniu, że bez wolnej Ukrainy nie przetrwa długo niepodległa Polska” (str. 74).

Wynikiem tej koncepcji i sojuszu z Petlurą była rozpoczęta przez Piłsudskiego 25 kwietnia 1920 r. ofensywa na Ukrainę, znana pod nazwą „wyprawy kijowskiej”. Plan tej ofensywy został opracowany pod osobistym kierownictwem Piłsudskiego przez płk. Juliana Stachewicza i dwu adiutantów: Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego i Stanisława Radziwiłła. Wyprawie kijowskiej – z jej złudnym początkowo wrażeniem zwycięstwa i rzeczywistej następnie klęsce – Pruszyński poświęcił sporo stron, tak wspomnieniom jej uczestników, jak i własnym dociekaniom. Dnia 8 maja wojska polskie wkraczą do Kijowa, stolicy Ukrainy, gdzie nazajutrz gen. Śmigły-Rydz a nie Piłsudski, co Autor wyjaśnia, przyjmuje ich defiladę. Marszałek powraca do

triumfalnie go witającej Warszawy. Triumf nie trwał długo. Jak wiadomo wojska rosyjskie wycofały się z Kijowa, ale nie zostały pobite. Bolszewicy rozpoczęli ofensywę i dnia 11 czerwca zajęli Kijów, opuszczony dzień wcześniej przez wojska polskie, które zmuszone zostały do odwrotu.

Wówczas to na froncie ukraińskim pojawiła się w ostatnich dniach maja konna armia Budionnego, która odegrała doniosłą rolę w wojnie 1920 roku. Pruszyński przytacza urywki wspomnień świadków okrucieństw tej armii, o której następnie pisze: „Dwie zasadnicze cechy charakteryzowały zarówno dowódców, jak i szeregowych: zamiłowanie do rabunku i azjatyckie okrucieństwo, zapewne odziedziczone po mongolskich przodkach... Armia ta wzorem średniowiecznych mongolskich najeźdźców mordowała bezbronnych jeńców. Paliła wojskowe szpitale wraz z rannymi i obsługą, rabowała ludność i kościoły, gwałciła kobiety” (str. 114 i 252).

Autor dowodzi, że klęskę na Ukrainie wojsko polskie poniosło z dwu głównych przyczyn: „nasi żołnierze nie umieli strzelać, a generałowie dowodzić na szczeblu powyżej dywizji” (str. 292). Nie było czasu i warunków na przygotowanie żołnierzy do walki i niewyszkolonych szeregowców wysyłano na front. Piłsudski oceniał, że z ogólnej liczby powołanych pod broń ich stan bojowy nie przekraczał nigdy 12-15 procent. Władze wojskowe składały się z wyższych oficerów armii rosyjskiej i austriackiej. Generałowie byli często skłócenii, nie znano się nawzajem, pochodzili z różnych armii, a autorytet ich osłabiała niejednokrotnie niewystarczająca znajomość języka polskiego. Według Autora sukcesy armii Budionnego, które doprowadziły do naszej klęski na Ukrainie, były w pierwszym rzędzie wynikiem braku wykształcenia strzeleckiego polskich żołnierzy, przypominając równocześnie, że „utworzenie w ciągu kilkunastu miesięcy milionowej (prawie) armii – granoczyło z cudem” (str. 32).

Jeden z rozdziałów książki Pruszyńskiego poświęcony jest stosunkowi innych krajów do wojny polsko-rosyjskiej. Autor pisze tam o obojętności Łotwy, pomocy Litwinów, jaką okazywali bolszewikom w zdobywaniu Wilna, tradycyjnej postawie prorosyjskiej Czechów, no i oczywiście najwięcej miejsca poświęca Francji i Wielkiej Brytanii, których rządy wysłały do Warszawy misję francusko-brytyjską, gdzie Francję reprezentował amb. Jusserand i gen. Weygand, szef sztabu marszałka Focha, a Wielką Brytanię amb. lord d'Abernon i gen. Radcliffe.

Oficjalnym zadaniem misji miała być pomoc w rokowaniach rozejmowych z Rosją, gdyż było to już po konferencji międzysojuszniczej w Spa, gdzie dnia 10 lipca 1920 r. narzucono premierowi Władysławowi Grabskiemu (głównie pod naciskiem Lloyd George'a, premiera brytyjskiego) podpisanie bardzo niekorzystnych warunków umowy, w tym odnośnie do tzw. linii Curzona³. Warunki te były tym bardziej niegodziwe, że w zamian za ich przyjęcie koalicja nie zobowiązała się konkretnie do zbrojnej pomocy Polsce i jedynie była mgliście mowa o doradczej pomocy w zawarciu rozejmu, do którego miała się przyczynić misja. W rzeczywistości jednak, jak podkreśla Pruszyński, właściwym zadaniem misji „było zastąpić ówczesny rząd polski osobistościami bardziej skłonnymi do uwzględnienia interesów aliantów a przede wszystkim odsunąć Piłsudskiego od władzy” (str. 167), do czego nie doszło, ale nastąpiły zmiany na najwyższym szczeblu dowodzenia.

Autor zwraca uwagę na ogromną improwizację tych zmian, dokonanych w wyniku interwencji aliantów, dla których było oczywistym absurdem to, że Piłsudski, Naczelnik Państwa, a jednocześnie jako Naczelnny Wódz dowodził wojskami na froncie i sądzili, iż na czele wojsk polskich należy postawić jeżeli nie marszałka Focha, to gen. Weyganda. Pomimo usilnych starań brytyjskiego premiera, Piłsudski utrzymał się na obu stanowiskach, lecz poszedł na ustępstwa i na wniosek marsz. Focha mianował szefem sztabu generalnego gen. Rozwadowskiego, na wniosek gen. Weyganda dowódcami frontów generałów J. Hallera i Dowbora-Muśnickiego, a dowódcą nowo utworzonej 5 Armii gen. Sikorskiego, co uczynił niechętnie, ponieważ chodziło o generałów zaliczanych do jego przeciwników politycznych.

Można doszukać się pewnej analogii, na co zwraca również uwagę Pruszyński, między próbą narzucenia Polsce przez Lloyd George'a kapitulacyjnych warunków rozejmu z Moskwą a polityką brytyjską wobec Polski w czasie drugiej wojny światowej, z tą zasadniczą jednak różnicą, że podczas tej ostatniej nie mieliśmy męża stanu na miarę Piłsudskiego. Wówczas, w dużo bardziej krytycznej sytuacji, Piłsudski z wielkim trudem, zręcznością i wytrwałością „prowadził wojnę i realizował swą politykę, często sprzeczną z wolą aliantów,

3. Nazwa tej linii demarkacyjnej pochodzi od nazwiska ówczesnego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych lorda Curzona.

będąc całkowicie uzależniony od ich dostaw broni” (str. 170). Wielka Brytania nie przyszła Polsce z pomocą, nie chciała nawet zapewnić tranzytu przez Gdańsk broni i amunicji rządu francuskiego, który mimo różnych wahań wspierał Polskę dostawami sprzętu wojennego i liczną misją wojskową, mając ciągle na myśli możliwość odbudowy carskiej Rosji, czego przykładem, że w przeddzień bitwy warszawskiej uznał rząd gen. Wrangla.

Oryginalne są dociekania Pruszyńskiego na temat bitwy warszawskiej – kto i dlaczego ją wygrał? Przede wszystkim Autor uzasadnia to, że gdyby rozegrano bitwę według pierwotnego zamiaru Piłsudskiego bitwa ta zakończyłaby się zapewne dla Polski klęską, podobnie jak stoczona zgodnie z radami Focha. W sumie po zmodyfikowaniu, w wyniku ożywionych dyskusji, pierwotnej koncepcji Marszałka, plan bitwy ujęty w rozkazach z 6 i 10 sierpnia „był niewątpliwie wspólnym dziełem Piłsudskiego, Rozwadowskiego, Sosnkowskiego i Weyganda”. Ten ostatni „bardzo się przyczynił do zwycięstwa w bitwie warszawskiej, jednak nie odegrał w niej głównej, decydującej roli” (str. 195, 200).

Teza Pruszyńskiego obala pogląd lansowany przez zwolenników Marszałka, że „genialnemu planowi Piłsudskiego zawdzięczaliśmy zwycięstwo w bitwie warszawskiej”. Ale – i to Autor podkreśla z całym naciskiem – „Piłsudski odegrał zasadniczą, kluczową rolę w bitwie warszawskiej”. Podjął bowiem decyzję ryzykowną, ale słuszną, decyzję historyczną stoczenia bitwy nad Wisłą, od której zależał byt państwa polskiego. „Bez Piłsudskiego nie doszłoby do bitwy warszawskiej. Żaden inny polski generał nie podjąłby decyzji sprzecznej z radą Focha i misji alianckiej, a gdyby podjął, napotkałby taki opór innych generałów, że nie mógłby jej zrealizować. Dlatego Piłsudskiemu zawdzięczamy zwycięską bitwę warszawską” (str. 200, 201, 203, 294).

Autor zwraca również uwagę na fakt, że do zwycięstwa przyczyniły się w dużym stopniu błędy rosyjskiego dowództwa. Kardynalnym błędem było dopuszczenie do rozproszenia wojsk od Lwowa aż pod Toruń, a więc na froncie o przestrzeni 700 kilometrów. Tuchaczewski, zaledwie 27-letni dowódca frontu na północy, pędził swe wojsko do przodu, nie troszcząc się o zapewnienie im materialnego zaopatrzenia, wskutek czego nad Wisłą zabrakło Rosjanom wszystkiego, zwłaszcza amunicji, ciężkiej artylerii i uzupełnień w ludziach. Jednocześnie Pruszyński podkreśla, że ujemnym dla Polski skutkiem zwy-

ciężstwa w 1920 roku było uśpienie czujności polskich generałów, którzy dumni z triumfu, jakiego Polacy nie odnieśli od 300 lat, od czasów Chocimia, zaniedbali unowocześnienie naszej armii z widoczną tego konsekwencją w 1939 r.

Nazajutrz po zwycięskiej bitwie warszawskiej dywizje polskie rozpoczęły kontrofensywę. Pościg zakończył się 25 sierpnia, gdy większość osłabionych wojsk rosyjskich schroniła się w Prusach i nad Niemnem. Później była bitwa pod Komarowem, która „przeszła do historii wojskowości jako ostatnia wielka bitwa kawalerii”, klęska Budionnego, bitwy nad Niemnem, o Grodno i po bitwie pod Lidą w nocy z 28 na 29 września i ostatecznej tam klęsce wojsk rosyjskich, droga do Moskwy i Kijowa stała otworem. Piłsudski zamierzał wojnę toczyć nadal, żeby doprowadzić do utworzenia sprzymierzonej z Polską Ukrainy Petlury. Naród polski zmęczony wojną nie brał jednak w ogóle pod uwagę możliwości nowej wyprawy na Kijów.

Podczas gdy Piłsudski nie rezygnował ze swojej polityki wschodniej, doszło w Rydze do rokowań polsko-rosyjskich w wyniku których zawarto 12 października 1920 r. rozejm i 18 tego miesiąca została podpisana umowa rozejmowa, po czym nastąpiło zawieszenie broni na całym froncie, a pięć miesięcy później, dnia 18 marca 1921 r. podpisano traktat pokojowy, zwany traktatem ryskim. Piłsudski nie dawał za wygraną i przed wejściem w życie warunków rozejmu wysłał w październiku 1920 r. na tyły wojsk sowieckich wyprawę 12 pułków ułanów i szwoleżerów pod dowództwem gen. Juliusza Rómmla, które poza linią frontu miały wspomóc na Ukrainie sprzymierzone oddziały Petlury i Bałachowicza, uprzednio wyposażone przez dowództwo polskie w broń i amunicję. Wszystko to spełzło na niczym, wywołało protesty delegacji rosyjskiej w Rydze i ostrą krytykę w naszym Sejmie.

Po klęsce wojsk Petlury i Bałachowicza te ich oddziały, które schroniły się w Polsce, zostały rozbrojone i umieszczone w obozach, przyjaźnie tam traktowane. W obozie w Szczypiornie – tym samym, gdzie przebywali nie tak dawno legioniści Piłsudskiego – internowano oficerów ukraińskich. Dnia 15 maja 1921 r. przyjechał do nich Piłsudski, zaszalutował wyprężonemu przed nim dwuszeregowi oficerów i oświadczył: „Panowie ja was przepraszam. Ja was bardzo przepraszam”. Jakże na czasie przypomina następnie Pruszyński, że „na taki gest wobec naszych żołnierzy na Zachodzie nie zdobył się Churchill w 1945 roku” (str. 284).

Autor nie szczędzi starań dla podkreślenia wysiłków Piłsudskiego, żeby nie dopuścić do zawarcia pokoju w Rydze, o czym historycy niechętnie, albo w ogóle nie piszą. Po ustaniu działań wojennych Piłsudski nie miał już tych uprawnień, jakie posiadał na stanowisku Naczelnego Wodza. Traktat ryski, ratyfikowany jednogłośnie przez Sejm, oznaczał rezygnację Polski z planów Piłsudskiego, których osią było utworzenie niezawisłego i sprzymierzonego z Polską państwa ukraińskiego. Piłsudski „wygrał wojnę – ale przegrał pokój” i jak powiedział w rozmowie z gen. Głuchowskim zimą 1924-25: „Wy tej Polski nie utrzymacie. Ta burza, która nadciąga jest zbyt wielka. Obecna Polska zdolna jest do życia tylko w jakimś szczęśliwym, złotym okresie dziejów... Ja przegrałem swoje życie. Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć” (str. 295). W tym tkwi – pisze Pruszyński – dramat ostatnich lat jego życia.

Na kilku zaledwie stronach, jakie liczy ostatni rozdział – a zwięzłość jest jedną jeszcze więcej zaletą książki Pruszyńskiego – Autor daje wnikliwie ujętą charakterystykę Piłsudskiego i analizę jego polityki, bez popadania w żadną krańcowość, często spotykaną, gdy chodzi o postać tak złożoną jaką był Piłsudski. Obalając stereotypy utrwalone w świadomości kilku już pokoleń o wojnie 1920 roku, Pruszyński ukazuje w nowym świetle całokształt zagadnień związanych z tą wojną na tle epoki, dalekiej pod względem wypadków, lecz bliskiej co do konsekwencji, które należy wyciągnąć z popełnionych wówczas błędów, leżących u podstaw dramatu tak Piłsudskiego i Polski, jak całej Europy, szczególnie środkowo-wschodniej.

Książka Pruszyńskiego dobrze udokumentowana, gruntownie przemyślana i napisana bardzo przystępnie wywoła zapewne dyskusje wśród historyków, a powinna zainteresować też szersze grono czytelników, zwłaszcza młodzież, która znajdzie w niej nie tylko usystematyzowany przebieg przełomowych wydarzeń, lecz również atmosferę niepowtarzalnej epopei wojennej, bohaterskich szarż polskich ułanów, panikę nieprzygotowanych do walki oddziałów i górujący nad tym wszystkim entuzjazm, trud i ofiarność żołnierzy, którym nie zawsze dorównywały kwalifikacje poszczególnych dowódców. W sumie książka stanowi pożądaną do zalecenia lekturę szkolną.

Tadeusz WYRWA

ARMIA ZE SKAZĄ

Tadeusz Pióro, generał brygady w stanie spoczynku, znany publicysta zajmujący się od lat problematyką wojskowo-polityczną, miał niezwykle urozmaicone „wojskowe curriculum vitae”. W 1939 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, na wiosnę 1941 r. został powołany do Armii Czerwonej i pod koniec maja znalazł się na Kubaniu, jako rekrut zmotoryzowanego pułku piechoty, a po wybuchu wojny z Niemcami w batalionach roboczych. Latem 1943 roku znalazł się w Korpusie generała Berlinga i awansowany do stopnia podporucznika objął baterię sztabową I Brygady Armat. Jeszcze w czasie wojny skierowany został do Wyższej Szkoły Artylerii w Leningradzie, po ukończeniu jej objął różne stanowiska dowódcze, a w grudniu 1946 roku dowodził 34 pułkiem artylerii lekkiej w Szczecinie. Jego kariera wojskowa trwająca 17 lat rozpoczęła się po ukończeniu Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie (w latach 1948-1950). I tak potem trafił do Sztabu Generalnego na sześć lat, a w kwietniu 1956 roku wyjechał znowu do Moskwy w roli pierwszego przedstawiciela Sztabu Generalnego przy Zjednoczonym Dowództwie Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Po trzech latach wraca do kraju i obejmuje stanowisko szefa sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, a ostatnie cztery lata służby wojskowej, do momentu gdy w czerwcu 1967 podał się w wyniku intryg przeciwko niemu wymierzonych do dymisji, spędził jako zastępca komendanta Akademii Sztabu Generalnego do spraw naukowych.

Zajmowanie przez wiele lat tak poważnych stanowisk w Wojsku Polskim, przebywanie w sumie przez kilka lat w Moskwie, bezpośredni kontakt zarówno z najwyższymi rangą i stanowiskami i w Polsce i w ZSSR generałami i marszałkami oraz od czasu do czasu z przywódcami partii i rządu, zwłaszcza tych dwu państw, dało autorowi pracy możliwość ujawnienia wielu nieznanych dotąd informacji z życia postaci decydujących o obliczu ówczesnych sił zbrojnych oraz o

traktowaniu Polski, Wojska Polskiego i problemów Paktu Warszawskiego przez Moskwę, i to zarówno przed 1956 rokiem jak i potem*.

Wiele miejsca autor udzielił charakterystyce wojskowych zajmujących czołowe stanowiska w wojsku. Stosunek do każdej postaci – jak pisze sam autor (s. 405) – jest jego stosunkiem osobistym, a mnie jako recenzentowi trudno było w odniesieniu do oficerów sowieckich w Wojsku Polskim i ich charakterystyki zająć w bardzo wielu przypadkach stanowisko, ponieważ z wieloma nie miałem żadnego kontaktu i nigdy ich nie widziałem. Wydaje mi się, że charakterystyka takich jak generałowie Popławski, Korczyc czy Bordziłowski jest bardzo bliska prawdy, jeśli zaś chodzi o Bordziłowskiego to dodałbym jeszcze, że miał odwagę wypowiadać swoją opinię, nawet jeśli nie mieściła się w ogólnie przyjętych ramach politycznych. Byłem np. obecny na zebraniu Kolegium Redakcyjnego *Wojskowego Przeglądu Historycznego*, gdy Bordziłowski, przewodniczący Kolegium, a było to w czerwcu 1967, wyraził się: „my wojskowi nie możemy przyjąć oceny wojny na Bliskim Wschodzie danej przez polityków, ponieważ była to wojna prewencyjna ze strony Izraela, i gdybyśmy się kiedyś znaleźli w podobnej sytuacji, postąpilibyśmy podobnie jak Izrael”. Trudno orzec, czy była to wyłącznie opinia generała Bordziłowskiego, czy do wniosku tego doszło wojskowe kierownictwo sowieckie nazajutrz po zakończeniu 6-dniowej wojny. Autor ma rację, gdy pisze, że poza małymi bardzo wyjątkami, oficerowie sowieccy w Wojsku Polskim dobrze spełniali swe funkcje dowódcze, natomiast nawet ci, którzy w istocie rzeczy byli Polakami zamieszkałymi w ZSSR, tylko w nielicznych przypadkach ujawniali swoją polskość, bo wielu z nich pamiętało niedawny okres wielkiej czystki. Niektórzy nawet, jeśli mieli zaufanie do danej osoby, przyznawali się, że oni lub ich najbliżsi padli ofiarą stalinowskiego terroru. Z tych też powodów, w obawie – co będzie gdy odwołają ich do Moskwy, podkreślali, że są oficerami sowieckimi, a wielu Polaków wręcz błagało, aby w dokumentach wydanych w związku z ich odwołaniem w rubryce narodowość podawać rosyjska.

W pracy otrzymaliśmy dość obszerną charakterystykę trzech marszałków – Roli-Żymierskiego, Rokossowskiego,

* Tadeusz Pióro, *Armia ze Skazq. W Wojsku Polskim 1945-1968* (wspomnienia i refleksje), Czytelnik, Warszawa 1994, ss. 422.

Spychalskiego. Dobrze się stało, że autor nie pominął działalności generała Wojciecha Jaruzelskiego, który w latach 1960-1968 piastował stanowisko szefa Głównego Zarządu Politycznego a potem szefa Sztabu Generalnego i po Spychalskim objął tekę Ministra Obrony Narodowej. Wizerunek Roli-Żymierskiego jest nakreślony trafnie, *expressis verbis* mówi się o jego powiązaniach z wywiadem sowieckim od lat trzydziestych, a w ten sposób odrzuca się kategorycznie przeinaczanie faktów dokonywane przez długie lata, w szczególności zaś fałsze podane o Roli-Żymierskim w pracy wydanej stosunkowo niedawno przez Wojskowy Instytut Historyczny (1983), do której wstęp napisał Wojciech Jaruzelski. We wstępnej nocie pióra Jaruzelskiego czytamy: „Życie Marszałka, mocno osadzone w nurcie rewolucyjnych przeobrażeń, przebiega po głównym trakcie najnowszej historii narodu i państwa polskiego”.

Sylwetka Marszałka Rokossowskiego nakreślona jest trafnie. I od strony personalnej i dowódczej. *De facto* cieszył się autorytetem w Wojsku Polskim, chociaż dodam od siebie – widziano w nim zawsze człowieka Moskwy oderwanego w gruncie rzeczy od problemów nurtujących wtedy społeczeństwo. Do sylwetki późniejszego Ministra Obrony M. Spychalskiego niewiele mógłbym dodać. Był niewątpliwie postacią nieprzeciętną w wojsku, chociaż wciąż czuł się w nim obco i lata jakie przeżył w kazamatach Głównego Zarządu Informacji widoczne były w jego zachowaniu osobom, które miały z nim bliższy kontakt. Niewątpliwie – o czym pisze się w pracy – po objęciu stanowiska podjął wysiłki, aby zmienić cały system polityki personalnej w wojsku, zwiększyć samodzielność w zakresie stosunków z Moskwą dotyczących spraw wojskowych. Udało mu się to tylko w minimalnym stopniu, jeśli chodzi o to drugie zagadnienie. Lepiej było początkowo, jeśli chodzi o obsadę stanowisk kluczowych w wojsku. Pomógł też bardzo w zmianie zasadniczej zarówno w zakresie kierunku studiów (zerwanie z dotychczasowym dominującym systemem studiów w Wojskowej Akademii Politycznej, który był do 1956 r. kopią podobnych studiów w ZSSR) przekształcając uczelnię w Akademię humanistyczną i także od strony personalnej, czyniąc ją swoistą filią Uniwersytetu Warszawskiego. Kilkunastu profesorów z Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk przez lata wykładało na Akademii.

Uważam to za wielki plus, że T. Pióro wiele miejsca

poświęcił sylwetce generała Jaruzelskiego, w szczególności zaś stosunkowo mało znanej jego działalności w latach 1967-68. (Rozprawa z Żydami i nie-Żydami. Jaruzelski i rok 1968, zwłaszcza str. 375-399). W pełni podpisuję się pod tym co autor pisze o generale i roli jaką odegrał w tych latach. Autor ma rację, że dzięki powiązaniom z grupą partyzancką i zadzierzgniętej przyjaźni z M. Moczarem, który odgrywał w tych latach coraz większą rolę w życiu politycznym kraju, Jaruzelski, coraz skrupulatniej realizujący jako szef Głównego Zarządu Politycznego sugestie moczarskie zarówno w zakresie propagandy jak i sprawach personalnych, wysunął się na czołowe miejsce w wojsku, na długo przedtem nim został Ministrem Obrony Narodowej. Nie tylko aprobował posunięcia personalne zmierzające do usuwania z wojska tych oficerów zajmujących od Października kluczowe stanowiska, których jedynym „grzechem” było, że nie byli skłonni we wszystkich sprawach podporządkować się rozkazom Moskwy, ale z nadgorliwością usunął w 1964 r. swego zastępcę w GZP gen. B. Bednarza, znanego w wojsku z liberalnych poglądów, ze stanowiska, a potem jako szef sztabu uczynił to w stosunku do głównego inspektora techniki i planowania, zastępcy szefa Sztabu Generalnego, generała dywizji M. Graniewskiego, cieszącego się wielkim autorytetem w wojsku. W 1968 r. już jako minister, Jaruzelski obu ich usunął z wojska.

Jeśli chodzi o postawę Jaruzelskiego wobec kampanii antysyjonistycznej przebiegającej wyjątkowo brutalnie w wojsku, to Jaruzelski – jak pisze Pióro – aprobował dokonywane czystki, bezpośrednio i aktywnie w nich uczestniczył (s. 388). „Okazując chłodną obojętność wobec bliskich mu nawet ludzi, Jaruzelski niewątpliwie orientował się, że ma do czynienia z kłamstwem i bezprawiem – słuchał jednak bardziej Kufła (Szefa Głównego Zarządu Informacji) niż swego sumienia”.

Jako minister od kwietnia 1968 nadal podpisywał rozkazy o usunięciu oficerów pochodzenia żydowskiego. Wśród tych usuniętych nie brakło kolegów, którzy służyli z nim w czasie i po wojnie. Na domiar wszystkiego w 1972 r. już po wyjeździe wielu zdymisjonowanych oficerów z kraju – olbrzymi procent z nich obrał jako kraj emigracji nie Izrael, ale kraje skandynawskie – pozbawił ich wszystkich *bezprawnie* stopni oficerskich. Nawet szef gabinetu przewodniczącego Rady Państwa (W. Jaruzelskiego) płk Wiktor Mielczarek w piśmie adresowanym do mnie 20 maja 1989 z

naciskiem stwierdził, że osoby, które nie wyjechały do Izraela, nie zostały *pozbawione obywatelstwa*. Jak podaje T. Pióro degradacje nastąpiły w 1972 roku i rozgłos nie był tu wskazany. I właściwie dopiero pod koniec 1991 rozeszła się o tym pogłoska. W odpowiedzi na mój list do Ministra Obrony Narodowej z 15.I.1992, szef departamentu kadr MON Janusz Wojsz poinformował mnie, że rozkaz o pozbawieniu stopnia Minister Obrony Narodowej wydał rzeczywiście w 1972 r.

Recenzowana praca zawiera wiele materiału na temat stosunku Moskwy do spraw polskich, ze szczególnym uwzględnieniem spraw dotyczących wojska. Wszelkie próby podejmowane po Październiku przez stronę polską, aby uregulować niektóre zagadnienia, jak np. sprawę stacjonowania wojsk sowieckich w Polsce, z reguły kończyły się niepowodzeniem, a jeśli nawet pod naciskiem doszło do podpisania dokumentów, to w praktyce stały się one jedynie świstkiem papieru.

Wiele jest interesujących i pouczających spostrzeżeń dotyczących tego w jaki sposób Moskwa traktowała partnerów w Pakcie Warszawskim. Dominowała we wszystkich sprawach bezwzględna zależność od Moskwy.

Czytelnika zapewne zainteresują opisy wielkich manewrów organizowanych przez kierownictwo Paktu Warszawskiego. Manewry były właściwie często tylko pokazem z góry wyreżyserowanym a założenia właściwie niemożliwe w przypadku wojny do zrealizowania. (Gra wojenna w Wünsdorfie – „inwazja” na Europę). W pracy trafnie oceniane są zmiany personalne i organizacyjne przeprowadzane co kilka lat w Wojsku Polskim w wyniku zmian politycznych i wstrząsów dokonujących się w ZSSR i w Polsce. (Stalinizm, śmierć Stalina, Październik, wydarzenia lat 1967-68).

Oczywiście nie wszystkie szczegóły są podane dokładnie. Autor zresztą sam o tym pisze. Pragnąłbym wskazać na dwa momenty. Jeden dotyczy narady „aktywu partyjnego” z 27 października 1956. Relacja na której opiera się Pióro jest niedokładna. W spisie kierujących naradą zabrakło gen. Bordziłowskiego, który przez moment faktycznie był pierwszą osobą w wojsku. Do żadnej dyskusji o Katyniu nie doszło. Odprawa, prawie że natychmiast po dłuższym referacie Gomułki i jego relacji na temat jak określił dramatycznej rozmowy z Rokossowskim w związku z jego

wyjazdem z Polski, została ku zdziwieniu obecnych zamknięta. Gomułka zaapelował, aby oficerowie natychmiast wyjechali do jednostek i zatroszczyli się, aby w nich zapanował spokój. Jak dowiedzieliśmy się potem, powodem tego były wydarzenia w Budapeszcie, o czym Gomułka został poinformowany w czasie odprawy. Wydaje mi się też, że niektóre dane o oficerach powinny zostać zweryfikowane. Mam np. na myśli zbyt chyba jednostronną ocenę osoby generała Urbanowicza, który w 1956 r. pozostał jedynie w Polsce dzięki interwencji gen. I. Bluma i płk. F. Malczewskiego. W 1967/68 r. w rozmowach osobistych ubolewał nad szerzącym się antysemityzmem w wojsku. Charakter miał jednak słaby i we wszystkim podporządkowywał się rozkazom swego szefa.

Praca T. Pióry napisana z talentem, pełna także anegdotycznych epizodów, ujawniająca mnóstwo nieznanych informacji z życia Wojska Polskiego i Armii Sowieckiej, zainteresuje szeroki krąg czytelników i spoza wojska.

Emanuel HALICZ

Krzysztof A. KUCZYŃSKI

UCHODŹSTWO POLSKIE W RUMUNII 1939-1940

Ukazała się książka*, w której autorzy odśladają nieznane dotychczas fakty związane z pierwszym okresem pobytu na emigracji wojennej polityków polskich i osób z ich otoczenia. Bazując głównie na nie wykorzystanych dotychczas materiałach archiwalnych i pamiątnikarskich, autorzy podjęli trud przedstawienia nieobecnego dotychczas w polskiej histo-

* Tadeusz Dubicki, Stanisław Jan Rostworowski, *Sanatorzy kontra Sikorszczycy czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940*, Wyd. „Adiutor”, Warszawa 1993, s. 156.

riografii istotnego fragmentu dziejów wojennego uchodźstwa politycznego. Rozgrywał się on w specyficznej scenerii, która dla większości pierwszoplanowych polityków i działaczy państwowych II Rzeczypospolitej rozpoczęła się ich internowaniem w Rumunii. Ubezwłasnowolnieni tam, w okolicznościach do dziś nie do końca wyjaśnionych, podjęli walkę ze swoimi wcześniejszymi i aktualnymi przeciwnikami politycznymi, którzy dzięki sprzyjającej koniunkturze (głównie stanowisko Francji), przejęli ster rządów i kierownictwo spraw polskich na uchodźstwie.

Mając za zadanie ukazanie okoliczności i przebiegu zmagają, jakie rozgorzały między przeciwnymi obozami, które autorzy identyfikują jako „Sikorszczyków” i „Sanatorów”, sięgają oni do wątków wcześniejszych biografii osób najbardziej aktywnych na tym polu. Ten słuszny zabieg można było nawet bardziej rozwinąć, przedstawiając szerzej istotę poglądów np. „Naprawiaczy”, czy okoliczności wprowadzenia do wielkiej polityki ludzi z O. II., co przyczyniłoby się do poszerzenia tła i swoistego zaplecza toczących się w Rumunii wydarzeń.

Nim przejdziemy do bardziej szczegółowych kwestii podniesionych w książce, zauważmy, że wydarzenia te miały miejsce w Rumunii – kraju oficjalnie neutralnym wobec wojny niemiecko-polskiej, jednocześnie mocno penetrowanym i naciskanym w kwestiach polskich przez Niemcy i Związek Sowiecki. Trzeba też pamiętać, że w Rumunii, generalnie biorąc życzliwie nastawionej do Polaków, znalazło schronienie 50 tys. uchodźców, którzy w krótkim okresie czasu w zdecydowanej większości „przeniknęli” do Francji bądź na Bliski Wschód. Te fakty i okoliczności również składały się na ogólne tło i zaplecze obecności polskiej w Rumunii, tak jak też funkcjonowanie polskich instytucji opiekuńczych – Komitetu Obywatelskiego a zwłaszcza Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom, która działała tam do końca wojny.

Autorzy, co było nieuniknione przy takim sformułowaniu tematu, kwestiom ogólniejszym nie poświęcają zbyt wiele uwagi i cały swój wywód podporządkowują ujawnieniu rozgrywki politycznej, która toczy się między dwiema, wymienionymi już opcjami. Trzeba przy tym podkreślić, iż autorom udało się zebrać i ułożyć z licznych, rozproszonych faktów logiczną i spójną całość, także w odniesieniu do głównego wątku charakteryzującego postawy i zamierzenia

liderów obu ugrupowań. Charakterystyczna dla toku narracji jest jednocześnie widoczna powściągliwość w ferowaniu opinii czy ocen w sprawie postępowania obu stron. W opinii autorów: „metody postępowania obu stron były sobie równe. W przekonaniu stosujących je, uzasadnione były racjami najwyższymi tj. do obrony prezentowanych idei. Dziś w każdym razie nie wydaje się, aby inicjatywy, a także negatywne skutki tych zmagających leżały wyłącznie po jednej ze stron”.

Taka opinia, aczkolwiek prawdopodobnie merytorycznie słuszna, spowodowała, iż dążenie do pełnego obiektywizmu wymusiło pewne przesadne „oszczędzanie” zaplątanych w różne afery osób – np. sprawa oskarżeń wysuwanych wobec ministra Mirosława Arciszewskiego o uzyskiwanie materialnych korzyści z organizowanego wyjazdu na Cypr. Z drogi tej mieli skorzystać wyłącznie zagrożeni (ze strony Niemców) w wypadku wkroczenia ich do Rumunii, natomiast dzięki przychylności Arciszewskiego, oczywiście nie bezinteresownej, znalazły się tam też osoby majątne, które adwersarz Arciszewskiego, dr Karol Alexandrowicz identyfikował jako „bogatyh Żydów”. Można też było doszukać się mających miejsce w Rumunii związków niektórych polityków z takimi aferzystami jak Kutten, Stefanowski, czy choćby osławiony Mikiciński.

Konstatując powyższe widać, że autorzy zrezygnowali – najpewniej świadomie – z elementów bardziej sensacyjnych, które być może rozsadałyby ogólną koncepcję pracy. Opiera się bowiem ona na odstąpieniu nieznanymi dotychczas faktów i okoliczności towarzyszących obecności w Rumunii pierwszoplanowych do września 1939 r. polityków polskich. Marszałek Edward Rydz-Śmigły, ministrowie Józef Beck i Juliusz Poniatowski wraz ze swoimi współpracownikami podjęli kroki, aby „nie wypaść z gry” o władzę w przyszłej Polsce. Na szczególną uwagę zasługuje tutaj nieznaną dotychczas inicjatywa utworzenia przez min. Becka Ekspozytury MSZ na Bałkanach, czy próba wykorzystania przedwojennej organizacji „Komitet Siedmiu” („K-7”). Także sygnalizowana zaledwie przez Władysława Poboga Malinowskiego inicjatywa stworzenia przez płk. Tadeusza Schaetzla i Wiktora Tomira Drymmera „Organizacji Pracy na Kraj” znalazła tutaj swoje znaczące uzupełnienie, także w wątku współpracy z grupą min. Poniatowskiego.

Zwraca przy tym uwagę ówczesna aktywność Czesława

Bobrowskiego, o czym zmilczał w opublikowanych nie tak dawno wspomnieniach. Była też w Rumunii grupa marszałka Rydza-Śmigłego, mająca swoich zwolenników również na Węgrzech, co później zaowocowało udaną (w przeciwieństwie do min. Becka) ucieczką.

W opinii władz RP w Angers, działalność tych ugrupowań (które nawiązywały do tradycji POW), misja mjr. Galinata i kpt. Niezbrzyckiego stanowiły realne zagrożenie dla nowej ekipy rządowej. Wywoływało to przeciwdziałanie ze strony zwolenników generała Sikorskiego, których w Rumunii określano jako „kotowców”. Do grupy tej zaliczano m.in. radcę ambasady Alfreda Ponińskiego, prof. Adama Vetulaniego, dr. Karola Alexandrowicza, dr. Bronisława Kuśnierza, Józefa Gójskiego, Antoniego Koreywo.

Jak już wspomniano, działania obu stron były podobne, zwłaszcza te, w których oskarżano się nawzajem o najczęściej urojone przewiny. Szczególnie widoczne było to w działalności probeckowskiego ośrodka ulokowanego w Ploeshti (Dziadosz, Długosz, „Wojtek” – Malinowski), który propagował m.in. niewyjeżdżanie do Armii we Francji, „gdyż z Rumunii bliżej jest do Polski niż do Francji”. Mówiono nawet o nowym San Domingo. Epizod ośrodka w Ploeshti wart jest bliższego poznania i dalszego rozpracowania, także z uwagi na rolę, jaką odgrywał tam inż. Stanisław Starke – właściciel tamtejszych zakładów „Ferro-Email”, poprzednio „Białogonu” pod Kielcami. Jego wcześniejsze jeszcze powiązania z ekipą sanacyjną potwierdzało chociażby goszczenie prezydenta Mościckiego i min. Becka w trakcie ich oficjalnej wizyty w Rumunii w 1937 r. Na zmagania dwu przeciwstawnych sobie ugrupowań został nałożony niejako przez autorów wątek prac prowadzonych w Rumunii przez polską „dwójkę” (Ekspozytura „R”), a zwłaszcza Bazę Łączności Zagranicznej ZWZ „Bolek” kierowaną przez płk. dypl. Stanisława Rostworowskiego – „Prawdźica”. Stanowi to ważną oś konstrukcyjną książki, gdyż autorzy dysponując osobistymi zapiskami komendanta Bazy, wielokrotnie posiłkują się nimi. Tak pierwszorzędnny materiał, przynoszący relacje i oceny z „pierwszej ręki” od osoby biorącej bezpośredni udział w wydarzeniach, jest dużym walorem publikacji, choć trzeba też pamiętać, iż płk Rostworowski nie był osobą neutralną i generalnie biorąc działał na rzecz ekipy gen. Sikorskiego. Potwierdza to choćby jego decydujący udział w rozbiciu grupy Schaetzla – Drymmera. Właśnie on,

jako dawny, ale i obecny współpracownik czy nawet osoba zaufana gen. Sikorskiego, miał niewątpliwie duży wpływ na wyrobienie sądów i opinii o rumuńskim ośrodku sanacji w kręgach polskich władz emigracyjnych.

Książka Dubickiego i Rostworowskiego mogłaby też mieć tytuł bardziej „literacki”, np. „kocioł polski w Rumunii”, co oddawałoby istotę tamtejszych kłótni i swarów. Jednak, co najważniejsze, zwłaszcza dla prawdy historycznej – otrzymaliśmy źródłowe potwierdzenie istnienia, dotychczas raczej intuicyjnie wyczuwanych, podziałów przebiegających już w pierwszych tygodniach w środowiskach uchodźców.

Trzeba też stwierdzić, iż autorzy umiejętnie wykorzystali materiał, którym dysponowali, a można wręcz mówić o obfitości źródeł, zwłaszcza archiwalnych. Zwracają uwagę zbiory z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, Archiwum Akt Nowych w Warszawie i rumuńskiego Arhiv Ministerului Apararii Nationale (Obrony Narodowej). Wielce przydatne okazały się dotychczas mało wykorzystane materiały z archiwum prof. Stanisława Kota, przechowywane w Archiwum Historii Ruchu Ludowego. W tym miejscu miałbym jedną uwagę: czy nie warto byłoby pokusić się o dotarcie do jasnogórskich zbiorów przechowujących archiwum prezydenta Mościckiego. Zdaję sobie sprawę, że sugestia ta jest być może jeszcze na wyrost, niemniej na pewno warta podjęcia tego trudu.

W sumie otrzymaliśmy więc książkę, którą co ważne – dobrze się czyta, ale, co istotniejsze, która ułatwi kolejnym badaczom wniknięcie w genezę i istotę sporów prowadzonych wśród polskiej emigracji wojennej.

Krzysztof A. KUCZYŃSKI

HISTORIA POLSKI W FINLANDII

Zważywszy na stosunkowo niewielką odległość dzielącą Polskę i Finlandię, zaskakujący wydaje się fakt, iż w Finlandii prowadzono jedynie bardzo skromne badania nad historią Polski i vice versa. W 1935 r. pojawiło się tłumaczenie francuskojęzycznej monografii Oskara Haleckiego¹. Była to dotychczas jedyna pozycja, przez którą mogli Finowie we własnym języku zaznajomić się z ogólną historią Polski. Tym bardziej powitać należy z wielką radością *Historię Polski* prof. Kalervo Hoviego².

Autor jest profesorem na wydziale historii Uniwersytetu w Turku. Opublikował dotychczas ponad 100 prac naukowych, głównie na temat stosunków międzynarodowych, historii Francji, krajów środkowo-wschodniej Europy oraz krajów bałtyckich.

Spójrzmy więc najpierw na jego poprzednie prace. „Co Mannerheim zrobił w Warszawie jesienią 1919 r.?”³ jest bardzo ciekawą pozycją, która daje światło na mało znane fakty historyczne dotyczące stosunków między fińskim regentem C.G.E. Mannerheimem a J. Piłsudskim. To samo można powiedzieć o jego kolejnych pracach: „Finlandia w PPS-owskim planie antycarskim”⁴, „Przykładowe stosunki Polski i Finlandii”⁵. *Historia Polski* zawiera w zasadzie

1. Oskar Halecki, Puola vuosina 1963-1914. *Historiallisen synteetin koe*, przeł. Tyyni Tuulio, Porvoo 1935.

2. Kalervo Hovi, *Puolan historia*, Keuruu 1994.

3. Tenże, „Mitä Mannerheim teki Varsovassa syksyllä 1919?”, *Faravid*, 1979 nr 3.

4. Tenże, „Suomi Puolan Sosialistien (PPS) tsaarinhallituksen vastaisissa yhteistyökaavailussa”, [w:] *Tampereen yliopisto. Historiatieteen laitoksen julkaisuja 5. Venäjän vähemmistökansallisuudet tsarisminvastaisessa taistelussa 1800 – luvulta vuoden 1917 vallankumouksiin. Neuvostoliittolaisten, puolalaisten ja suomalaisten historian-tutkijoiden seminaari Tampereella 17-18 marraskuuta 1979*, Tampere 1981.

5. Tenże, „Puolan ja Suomen esimerkkisuhde”, *Historiallinen Arkisto*, 1983 nr 81.

wszystkie ważne fakty historyczne, nie tylko w dziedzinie polityki, lecz także dyplomacji, życia społecznego, kultury itd. Publikacja ta ma charakter popularnonaukowy. Niestety znajdujemy w niej sporo nieścisłości. Na przykład, wydaje się, że autor nie rozumie dobrze, na czym polega różnica między powstaniem powszechnym, akcją „Burza” a Powstaniem Warszawskim. Poza tym niemało jest błędów w pisowni, np.: Karasiewicz-Tokarszewski zamiast Karaszewicz-Tokarzewski. Uważam, że książka byłaby jeszcze ciekawsza, gdyby autor poświęcił więcej uwagi stosunkom polsko-fińskim. Warto tutaj zwrócić uwagę na pozycję Tadeusza Cieślaka⁶, która zawiera wiele informacji na ten temat. Nie zamierzam *Historii Polski* oceniać negatywnie. Wręcz przeciwnie, mimo iż zawiera pewne mankamenty, należy ją wysoko ocenić.

Podsumowując, jestem przekonany, że *Historia Polski* dostarczy podstawowych wiadomości szerokiemu kręgowi Finów.

Katsuyoshi WATANABE

6. Tadeusz Cieślak, *Historia Finlandii*, Wrocław 1983. Zob. także: Sulo Hatsonen, „Tadeusz Kościuszko Suomessa 1796-1797” (Tadeusz Kościuszko w Finlandii 1796-1797), *Historiallinen Aikakauskirja*, 1937, nr 4; T. Cieślak, *Polska-Skandynawia w XIX i XX wieku*, Warszawa 1973; Walentyna Najdus, „Suomi puolalaisessa edistyksellisessä ja sosialistisessä lehdistössä ennen ensimmäistä maailmansotaa” (Finlandia w polskiej prasie progresywnej i socjalistycznej przed I wojną światową), [w:] *Tampereen yliopisto. Historiatieteen laitoksen julkaisuja 5. Venäjän...*; Andrzej Suchcitz, „Polska a wojna fińsko-sowiecka 1939-1940”, *Niepodległość*, 1988, t. XXI; Jukka Nevakivi, „Sprawa udziału Polskich Sił Zbrojnych w wojnie fińskiej (1939-1940)”, *Studia Historyczne*, 1988, z. 4; oraz Henryk Batowski „Finnish Diplomacy and the Polish Problem” *East European Quarterly*, 1991, nr 3.

OKRUCHY HISTORII

Adam W. Kulik

SUPRAŚL A SPRAWA POLSKA

Pisząc o prawosławnym monasterze w Supraślu nie mogę pominąć milczeniem jednego z najgłupszych królów w historii naszej państwowości – Zygmunta III Wazy. W swoim zadufaniu popełnił tyle błędów, że chyba więcej niepodobna, za niektóre płacimy do dziś. Niewątpliwie Kościół w Polsce ma mu bardzo wiele do zawdzięczenia, stworzono mu takie prerogatywy, że jego pozycja hegemonu po czterech stuleciach jest wciąż niezachwiana. Pół biedy, gdyby korzystał z niej rozsądnie – i tu dochodzimy do Ławry Supraskiej, jednego z dwu (!) czynnych w Rzeczypospolitej prawosławnych klasztorów męskich, który nie wiezieć czemu przeszkadza hegemonowi.

Prawosławny klasztor ufundował roku 1489 w Gródku Aleksander Chodkiewicz, syn Iwana Iwanowicza Chodkiewicza, hetmana wielkiego i marszałka Wielkiego Księstwa Litewskiego. W 1500 przenosi go do Supraśla, gdzie rok potem staje drewniana cerkiew św. Jana Teologa. Lata 1503-10 to czas budowy unikatowej na naszych ziemiach, gotyckiej cerkwi prawosławnej Zwiastowania Najświętszej Marii Panny. Po wysadzeniu jej przez Niemców w 1944, w

Polsce pozostały tylko dwa podobne obiekty: w Kodniu i Posadzie Rybotyckiej.

Cerkiew w Supraślu współzakładał metropolita Kijowa i Wszechrusi Józef Sołtan, który przywiózł do niej w 1503 r. kopię cudownej ikony Matki Boskiej Smoleńskiej, i którego prawosławność – jeśli wolno tak powiedzieć – jest niepodważalna. W 1505 roku fundację klasztoru potwierdza specjalnym *tomosem* patriarcha Konstantynopola (nie papież). W 1582 do Ławry Supraskiej zjeżdża prawosławny patriarcha Serbii i Bułgarii, Gabriel, i nadaje archimandrycie (przełożonemu klasztoru) mitrę, w 1589 zjawia się w jego progach sam patriarcha Konstantynopola, Jeremiasz II, i podporządkowuje archimandrytę bezpośrednio swej władzy. Pamiętajmy, że czas był gorący – za siedem lat w pobliskim Brześciu część prawosławnych biskupów Rzeczypospolitej podpisze akt unii z Rzymem. W 1596 archimandryta supraskiego monasteru, Hilarion Massalski, w tym samym Brześciu weźmie udział w kontrunijnym (!) soborze, który „biskupów zdrajców” pozbawi wszelkich godności prawosławnej Cerkwi.

Konia z rzędem temu, kto odpowie na pytanie dlaczego hierarchowie Kościoła łacińskiego w Polsce, zwłaszcza abp Białegostoku, Stanisław Szymecki, upierają się wbrew źródłowym przekazom historycznym przy unickich korzeniach ławry.

Pisanie o tej sprawie nie należy do przyjemności: muszę mówić o kłamstwach (patrz: artykuł ks. Tadeusza Krahela w *Gościu Niedzielnym* nr 32 z 15.08.93, wspomnienia ks. Wacława Dorabiały w monograficznym, Supraślowi poświęconym numerze pisma *Białostoczczyzna* nr 2/34/1994). I o kłamstwach tzw. uczonych (prof. Stanisław Stanicki – artykuł o unickich początkach ławry w *Słowie*, dr. Józef Maroszek – Kalendarium zamieszczone w *Białostoczczyźnie* 2/34/94).

Na ogół łacinnicy powołują się na *Kronikę Ławry Supraskiej* – Mikołaja Ratkiewicza, unickiego mnicha z połowy XVIII stulecia. Bieda w tym, że powstała ona kilka wieków po założeniu klasztoru i w zasadzie kroniką nie jest, a raczej zbiorem różnorodnych dokumentów z przypiskami autora. Kościół ma zbyt wielu dobrych historyków, by nie

wiedzieć, iż prawosławne korzenie Supraśla są niepodważalne. Poświadczają to nawet polichromie w centralnej cerkwi będące kopią fresków nowogrodzkiej cerkwi św. Zofii z 1109 r., stanowiące element polemiki z łacinnikami czy unitami. A kto przy zdrowych zmysłach umiałby wyobrazić sobie oficjalną wizytę patriarchy Konstantynopola czy Bułgarii w polskim klasztorze unickim.

W jednym z numerów *Przeglądu Prawosławnego* prawosławni zastanawiają się, czy Kościół nie prowadzi w tym konkretnym przypadku podwójnej gry – Jan Maria Rokita podpisując we wrześniu 1993 r. dokument przekazujący wszystkie obiekty klasztorne Cerkwi miał przecież zgodę papieża. Otóż nie sędzę. Jan Paweł II jest człowiekiem zbyt mądrym i dalekowzrocznym by antagonizować z byle jakiego powodu trzy wyznania (łacinnicy, prawosławni, unicy), i trzy nacje. Sprawą Supraśla na równi z Polakami interesują się Białorusini (patrz: rozmowa b. prezydenta Białorusi Stanisława Szuszkiewicza z Lechem Wałęsą) i Ukraińcy. Gra idzie naprawdę o pietruszkę: prawosławni prawnie posiadają centralną cerkiew Zwiastowania NMP, cerkiew św. Jana Teologa z przylegającym do niej budynkiem, Kościół rości pretensje do pałacu archimandryty i południowo-zachodniego skrzydła z dzwonnica.

W okresie międzywojennym „w tym samym temacie” bawiono się równie radośnie, włącznie z dokonaniem zajazdu przez wileńskiego abpa Jałbrzykowskiego 4 X 1927 roku.

Supraśl to drugi karmel w Przemyślu, czyli kolejny wykwit polskiego nacjonalizmu z katolicyzmem w tle (tutaj ukłon w stronę Zygmunta III). Rozumiem, że kiedy się otrzymało 400 lat temu monopol, trudno jest się dziś pogodzić z faktem, że tuż obok chce żyć ktoś odrobinę inny.

Adam W. KULIK

PAMIĘĆ HISTORYCZNA PRZYRODNIKÓW

Pokój Ryski przekreślił plany Marszałka Piłsudskiego budowy Federacji Narodów wchodzących w skład Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Odrodzona Polska pogodziła się z utratą znacznej części ziem będących niegdyś jej częścią. Idea Polski Jagiellońskiej, która przecież towarzyszyła Polakom w okresie zaborów, a także pamięć znaczenia jakie niegdyś posiadała Rzeczypospolita pozostała jednak żywa wśród znacznej części społeczeństwa. Tradycje okresu świetności polsko-litewsko-ukraińskiego państwa odcisnęły także silne piętno na polskich badaniach przyrodniczych. Polscy przyrodnicy w ogromnej swej większości należeli przecież do patriotycznej elity społeczeństwa, w rezultacie działalności niepodległościowej wielu z nich trafiło na zesłanie lub emigrację, nieomal wszyscy aktywnie włączyli się w odbudowę państwa polskiego. Wpływ świadomości historycznej Polaków na badania przyrodoznawcze jest niestety zagadnieniem praktycznie nieznanym historykom nauki.

Jakże charakterystyczne jest na przykład zainteresowanie polskich zoologów zwierzętami wchodzącymi w skład fauny pierwszej Rzeczypospolitej, a nieobecnymi w Polsce międzywojennej. W wyniku zmiany granic, a także presji gospodarczej człowieka z terytorium państwa polskiego zniknęły takie gatunki jak suseł moręgowany, tchórz stepowy, suhak (jedyne europejski gatunek antylopy), rosomak, zajęć bielak, łasica sarmacka. Roman Kuntze w opublikowanym w 1924 roku w *Kosmosie* „Obecnym stanie wiadomości o faunie ssaków i ptaków wschodniego Podola” z dumą podkreśla, że wkład Polaków dla poznania podolskiej przyrody jest znaczniejszy niż udział rosyjski i omawia aktualne rozmieszczenie gatunków będących niegdyś częścią fauny polskiej. W pracach polskich zoologów, podobnie jak w rozlicznych studiach botanicznych, widoczny jest silny wpływ poezji

romantycznej. Stąd zainteresowanie rosomakiem wymienianym w „Panu Tadeuszu” wśród zwierząt mieszkańców litewskich borów. W czasach Mickiewicza rosomak już na Litwie nie występował, ostatnie znane okazy na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej zastrzelono pod Okruczem na Podolu w 1875 roku. Z tym większym zainteresowaniem przyjęto w Polsce informacje Stacji Badawczej Instytutu dla Badania Podola w Winnicy o zastrzeleniu rosomaka w 1924 roku w okolicach Jarmolińca.

Lwowscy profesorowie Rehman i Wołoszczak zainicjowali w 1893 roku wydawanie *Zielnika Flory Polskiej* i w ten sposób podjęli próbę objęcia badaniami florystycznymi całości ziem dawnej Rzeczypospolitej. Pragnęli oni także zmanifestować obecność jedności polskiej nauki na arenie międzynarodowej. W realizacji *Flora Poloniae exsiccata* szczególnie ważną rolę odegrał Władysław Dybowski, brat Benedykta, pracujący na rodzinnej Nowogródczyźnie. Jak podkreśla Bolesław Hryniewiecki realizacja lwowskiej inicjatywy była możliwa dzięki ofiarnej pracy kobiet kresowych gromadzących pod kierunkiem Dybowskiego zielniki. Kresowi przyrodnicy zdawali sobie sprawę z trudnej sytuacji polskiej nauki w zaborze pruskim i podarowali część swoich zbiorów Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

W granicach niepodległej Polski znalazła się Puszcza Białowieska. Pozbawiona już niestety swojego największego mieszkańca, żubra. Pomimo natychmiastowego podjęcia akcji ochronnej przez nową polską administrację (odnośne decyzje podjęto już w lipcu 1919 roku) ostatni żubr zginął z ręki kłusowników w 1919 roku. Gatunek nie zdołał przeżyć wojennego głodu, kłusownictwa miejscowej ludności i rosyjskiej partyzantki, wraz z upadkiem niemieckiej władzy okupacyjnej (która przywiązywała duże znaczenie do ochrony tego zwierzęcia) przestała działać jakakolwiek administracyjna kontrola nad lasami Białowieży. Polscy przyrodnicy bardzo szybko zdecydowali się na próbę rekonstrukcji gatunku poprzez sprowadzenie i rozmnożenie zwierząt znajdujących się w ogrodach i parkach zoologicznych. Była to zresztą jedyna możliwa droga rekonstrukcji tego zwierzęcia, ostatnie dziko żyjące na Kaukazie żubry zostały bowiem wybite (przy

użyciu karabinów maszynowych) przez Armię Czerwoną. Rewolucyjne zamieszki w Rosji i w Niemczech utrudniały prace rekonstrukcyjne. Zbuntowane oddziały armii niemieckiej zniszczyły część populacji w Pszczynie (największego niegdyś stada żubrów w niewoli), a znakomicie pracujący park aklimatyzacyjny zwierząt w posiadłościach Potockich w Piławinie został zdewastowany i zlikwidowany przez miejscowy Komitet Rewolucyjny. Dzięki umiędzynarodowieniu polskich wysiłków rekonstrukcyjnych i wykorzystaniu doświadczeń amerykańskich nad akcją ratowania bizona zdołano odbudować białowieską populację. W pracach zoologów ratujących żubra, a zwłaszcza Jana Sztolcmana, widoczna jest duma z osiągniętego rezultatu, z uratowania „króla puszczy”, z sukcesu unikalnego eksperymentu (rekonstrukcja dzikiego gatunku z niewielkiej żyjącej wyłącznie w niewoli populacji wyjściowej). W publikacjach z Międzywojennego Dwudziestolecia często odnaleźć można refleksję, że akcja rekonstrukcyjna jest kontynuacją tradycji ochrony żubra zapoczątkowanej przez królów polskich i książąt litewskich, że ocalono pomnik przyrody, świadka pradawnej historii Polski i Litwy, i zadowolenie, że żubr nie podzielił losu тура, którego ostatni znany okaz zabito w posiadłości Zamoyskich w Puszczy Jaktorowskiej w 1627 roku.

Znaczna część badań naukowych była możliwa dzięki istnieniu kolekcji przyrodniczych. Oprócz fundamentalnego znaczenia dla rozwoju badań przyrodniczych kolekcje były podstawowym elementem dydaktyki naukowej. Posiadają one także często wartość jako pamiątki związane z historią danego kraju. Nie wiem czy istnieje jeszcze w zbiorach zoologicznych Uniwersytetu Warszawskiego ów wypchany suhak, we wnętrzu którego Benedykt Dybowski i Stanisław Wysocki ukryli album z kopiami nominacji, rozporządzeń i odezów (z oryginalnymi pieczęciami) Rządu Narodowego i stara czapla skrywająca pieczęć powstańczego sekretariatu Litwy. Kolekcje przyrodnicze posiadają także bardzo konkretną wartość materialną, wystarczy wspomnieć „róg jednorożca” sprzedany niedawno na londyńskiej giełdzie za kilkaset tysięcy dolarów.

Polska nie ma szczęścia do kolekcji przyrodniczych. Nikt

zresztą jak dotychczas nie sporządził wojennej księgi strat polskich kolekcji przyrodniczych, nikt też niestety nie zabiega o ich odzyskanie lub choćby o ich przywrócenie polskiej pamięci historycznej. Polscy przyrodnicy od dawna byli świadomi zagrożeń politycznych dla zbiorów naturalistycznych. Wiele kolekcji utraciliśmy już dawno. W trakcie zniszczenia zbiorów Radziwiłłowskich w osiemnastym wieku przepadł zielnik Anny Wazówny i zielnik Bernhardiego de Bernitza. Nieznany jest los geologicznej kolekcji Filipa Carosiego. Zbiory gdańskiego przyrodnika Krzysztofa Gottwalda zakupił car Piotr I. Bogate zbiory księżnej Jabłonowskiej zakupił od jej spadkobierców Aleksander I (pojedyncze okazy zielnikowe zebrane i opisane przez jednego z najważniejszych twórców nowoczesnego polskiego przyrodoznawstwa księdza Kluka znajdują się nadal w zbiorach Akademii Nauk w Petersburgu). Zbiory Galiego z Żytomierza podarowane Wszechnicy Krakowskiej uległy rozproszeniu już w drodze do Krakowa. Zbiory irańskie Aleksandra Młokosiewicza zostały skonfiskowane (i zginęły) w momencie aresztowania powracającego z wyprawy przyrodnika na granicy rosyjskiej w związku z podejrzeniem o wspieranie ruchów niepodległościowych narodów kaukaskich.

Taczanowski, jeden z najznamienitszych polskich zoologów dziewiętnastego wieku, obawiał się, że coraz większe i coraz bardziej interesujące zbiory warszawskie zostaną zrabowane przez administrację rosyjską i skłonił Konstantego Branickiego do założenia prywatnego muzeum wierząc, że statut prywatnej fundacji lepiej będzie chronił zbiory przed zakusami carskich urzędników. Obawy Taczanowskiego okazały się jak najbardziej uzasadnione. Jeszcze w 1927 roku władze polskie bezskutecznie zabiegały o zwrot części kolekcji (m.in. 112 ptaków typów opisowych dla nowych gatunków głównie z Ameryki Południowej) „ewakuowanej” do Rostowa nad Donem. Braniccy traktowali kolekcję przyrodniczą jako depozyt dóbr narodowych i przewidywali ofiarowanie jej społeczeństwu w momencie odzyskania niepodległości. 15 października 1919 roku połączono Muzeum Branickich z Muzeum Uniwersyteckim (założonym o sto lat wcześniej w 1819 roku przez profesora Jarockiego w wyniku zakupu

zbiorów śląskiego przyrodnika barona von Minkwiza). Kolekcja należała pod wieloma względami do najciekawszych w Europie Środkowej. Składały się na nią m.in.: kolekcja jaj ptasich z Ekwadoru (zebrana przez Jana Sztolcmana), kolekcja ptaków z okolic Władywostoku (zebrana przez Michała Jankowskiego), kolekcja ptaków Syberii i Korei (zebranych przez Jana Kalinowskiego), kolekcja muszli (jedna z najbogatszych i najlepiej opisanych podarowanych wraz z biblioteką przez rodzinę Lubomirskich), kolekcja pajęczaków (zakupiona wraz z biblioteką od spadkobierców wybitnego arachnologa Kulczyńskiego), kolekcja fauny syberyjskiej (przysłanej przez Benedykta Dybowskiego), kolekcja muchówek (zebrana i podarowana przez Henryka Dziedzickiego), kolekcja zebrana przez polską ekspedycję zoologiczną do Parany w 1921 roku (zebrana przez Chrostowskiego, Jaczewskiego i Boreckiego liczyła m.in. 1200 ptaków, 20 tysięcy owadów, 300 mięczaków, została wraz z kolekcją Czackiego, 10 tysięcy motyli, 12 tysięcy innych owadów, 300 skorupiaków i 200 mięczaków przywieziona do Polski przez statek szkolny „Lwów”), kolekcja południowoamerykańska zebrana przez Jelskiego i Branickiego w Peru. Samych tylko ptasich okazów, na podstawie których opisano nowe gatunki, znajdowało się w Warszawie (dane z 1927 roku) przeszło trzysta. Znaczna część kolekcji pomimo ofiarności pracowników muzeum uległa zniszczeniu w czasie wojny, m.in. kolekcja owadów Czackiego, kolekcja i prace Henryka Dziedzickiego, w 1944 roku spłonęła w Politechnice Warszawskiej kolekcja mineralogiczna Tytusa Chałubińskiego. W czasie wojny zaginął bogaty zbiór zielnikowy Wojciecha Grzegorzeka zdeponowany w Muzeum w Bochni. Druga z trzech największych (obok warszawskiej i krakowskiej) kolekcja przyrodnicza Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie została skradziona przez Sowiecką Akademię Nauk.

Piotr Kohler opublikował w *Kwartalniku Historii Nauki i Techniki* (1/1994) interesującą pracę dotyczącą losów zielników botaników wileńskich m.in. Giliberta, Jundziłła, Wolfganga, Witzela, Eichwalda i Górskiego (w większości przekazanych przez władze carskie w 1840 roku do Kijowa, obecnie stanowią one część kolekcji Zielnika Instytutu Botaniki im.

Chołodnego Ukraińskiej Akademii Nauk). W Kijowie znalazły się także zbiory Liceum Krzemienieckiego (przekazane po jego rozwiązaniu), m.in. część zbiorów W. Bessera. Autor podaje także informacje dotyczące zielników wileńskich znajdujących się w Krakowie i Wilnie. Nieznane są natomiast losy zielnika Wolfganga (a zatem i zielnika Adama Bielkiewicza przekazanego Wolfgangowi, interesujące byłoby także odszukanie informacji na temat ornitologicznej kolekcji Bielkiewicza liczącej kilka tysięcy egzemplarzy ptaków, jaj i gniazd), być może zielnik ten stanowił część zbiorów подарowanych przez Marię Twardowską poznańskiemu TPN-owi. Publikacja Piotra Kohlera jest szczególnie cenna dla polskiej nauki. Jest to chyba jedyna próba odnalezienia i opisanie części zbiorów zielnikowych dawnej Rzeczypospolitej. Zgodzić się także należy z konkluzją autora o konieczności opracowania monograficznego historii zielnika Uniwersytetu Wileńskiego. Być może część zbiorów wileńskich znajduje się także w kolekcji petersburskiej posiadającej przecież pamiątki związane z Forsterami, zielniki syberyjskie Tomasza Augustynowicza (autora Flory Sachalina, pierwszego badacza glonów Zatoki Tatarskiej), który podarował swoje zielniki litewskie Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Wilnie. W Petersburgu znajduje się także nieznaczną część niegdyś imponującej (dwadzieścia tysięcy chrząszczy palearktycznych, większa część kolekcji uległa zniszczeniu w 1914 roku) kolekcji Henryka Logickiego, założyciela i przewodniczącego Towarzystwa Entomologicznego w Kijowie. W Muzeum Wołyńskim w Łucku znajdują się zbiory zielnikowe przyrodnika i żołnierza Legionów Stefana Maćko. W Kijowie znajduje się (lub przynajmniej znajdowała w czasach pracy profesora Paczoskiego) część kolekcji florystycznej zebranej na początku dziewiętnastego wieku w Kurlandii przez wybitnego znawcę turzyc Józefa Fedorowicza. Nie ma chyba na terenie byłego ZSSR większej kolekcji przyrodniczej, w której nie można by odszukać zbiorów polskich przyrodników. Owoce pracy polskich uczonych są zresztą rozproszone w całej Europie. Zielniki syberyjskie Ferdynanda Karo (przeszło osiemdziesiąt tysięcy okazów) znajdują się w Kijowie, Petersburgu, Wiedniu, Londynie, Lozannie i Florencji. Może należałoby opracować spis zebranych przez Polaków kolekcji

znajdujących się poza granicami naszego kraju.

Pamięć historyczna przyrodników manifestuje się także w nazwach nadawanych nowo opisywanym gatunkom. Stanowią zresztą one cenne i słabo wykorzystane źródło wiedzy historyczno-przyrodniczej. Ślady pracy Polaków odnajdujemy głównie we florze i faunie Syberii i Dalekiego Wschodu (sam Benedykt Dybowski opisał kilkadziesiąt nowych gatunków) i Ameryki Południowej (dzięki wyprawom polskich podróżników), choć nie brak ich także w przyrodzie krajowej by wspomnieć choćby bruzdnicę, opisaną przez Wołoszyńską, *Chalubinska tatrica*. Jakże często przeglądając prace florystyczne i faunistyczne natrafić można na takie nazwy jak *Lubomirska baicaliensis* (gąbka z jeziora Bajkał nazwana przez Dybowskiego na cześć przyrodnika i patrioty Aleksandra Lubomirskiego), *Phoxinus lagowskii* i *Gammarus lagowskii* (ryba i kielż nazwane na cześć Łagowskiego, badacza Syberii, współpracownika Dybowskiego), *Lyrurus mlokosiewiczii* i *Paeonia mlokosiewiczii*, *Tetrargo mlokosiewiczii* (Taczanowski uczcił pamięć Aleksandra Młokosiewicza), *Eulimnogammarius parvesi* (na cześć Alfonsa Parveza, Szwajcara, uczestnika Powstania Styczniowego, towarzysza zesłania i preparatora Benedykta Dybowskiego). Braniccy hojnie wspierający badania przyrodnicze zyskali sobie szczególną wdzięczność polskich uczonych stąd kilkanaście (lub może kilkadziesiąt?) gatunków im poświęconych. Długo można by mnożyć listę poloników w taksonomii roślin i zwierząt (jestem w posiadaniu około trzystu nazw gatunków opisanych przez Polaków lub Polakom poświęconych). Wiele jest form trwania świadomości historycznej w pracach przyrodniczych. Do najbardziej wzruszającej należy z pewnością walka estońskich ornitologów z Tartu o zachowanie nazwy wolnej Estonii na obrączkach zakładanych ptakom. Przez cały okres okupacji krajów bałtyckich ptaki obrączkowane w Tartu przносиły informację nie tylko o miejscu i czasie zaobrączkowania, ale także o trwaniu niezależnej myśli przyrodniczej i o aspiracjach wolnościowych Estonii. Zagadnienie pamięci historycznej przyrodników i los kolekcji środkowoeuropejskich zasługuje z pewnością na większe zainteresowanie.

Piotr DASZKIEWICZ

KARDYNAŁ SAPIEHA A TZW.
„POROZUMIENIE KWIETNIOWE” Z 1950 R.
MIĘDZY EPISKOPATEM A RZĄDEM

Pragnę przedstawić kilka nowych faktów, w związku z artykułem pana Tomasza Mianowicza „Kardynał Sapieha a *modus vivendi* z 1950 r.” (*Zeszyty Historyczne* nr 108, 1994, s. 231-236). Przez kilka ostatnich miesięcy wgłębiałem się – dzięki uprzejmości osób prowadzących Archiwum Sekretariatu Episkopatu Polski (dalej ASEP) – w lekturę dokumentów: oficjalnych, szkiców, listów, notatek i korespondencji między biskupami, a powstałych w latach 1945-1950. Wśród wielu dokumentów, znajdują się i takie, które mogą przybliżyć odpowiedź na pytanie: jaki był stosunek kardynała Adama Sapiehy do rozmów prowadzonych w Komisji Mieszanej (państwo-Kościół) i do tzw. „porozumienia” z 14 kwietnia 1950 r.

Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie jest niemożliwa bez wiedzy na temat udziału kardynała w samych rozmowach z rządem komunistycznym. Prowadziła je, jak wiadomo, trójka biskupów – Zygmunt Choromański, sufragan warszawski, sekretarz Episkopatu od września 1946 r. i główny negocjator w rozmowach, Tadeusz Zakrzewski, ordynariusz diecezji płockiej oraz Michał Klepacz, biskup łódzki, o którym w raportach UB donoszono, że „jest prawą ręką [prymasa] Wyszyńskiego, który nic nie zrobi bez uzgodnienia z nim” (Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (CA MSW), raport WUBP w Łodzi za miesiąc luty 1951 r., sygn. 17/IX/10/3, s. 12-13). Kardynał Adam Stefan Sapieha był informowany o przebiegu spotkań w Komisji, które toczyły się w atmosferze frontalnej walki wymierzonej w obecność Kościoła w życiu publicznym. W ciągu 5 miesięcy – od sierpnia do grudnia 1949 r. – komuniści wprowadzili nowe przepisy prawne, m.in.: zabraniając katolikom mani-

festowania swych uczuć religijnych – np. w formie pielgrzymki czy też procesji, poddając działalność stowarzyszeń katolickich ścisłej kontroli administracyjnej (a faktycznie Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego – WUBP), czy też rekwirując szpitale prowadzone przez zakony. Jednocześnie – metodami pozaprawnymi (w warunkach końca lat 40-tych tak prawne jak i bezprawne metody były dalekie – jak wiadomo – od poszanowania prawa naturalnego) – władze partyjno-rządowe „wspomagały” swoich reprezentantów w Komisji Mieszanej (członkami Komisji z ramienia rządu, a faktycznie Biura Politycznego KC PZPR, byli: Władysław Wolski, minister administracji publicznej, znany – również na terenie Kremla – działacz komunistyczny Franciszek Mazur, zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR oraz Edward Ochab, wówczas wiceminister obrony narodowej) przez mnożenie argumentów siłowych; m.in. funkcjonariusze UB wkroczyli (pod pozorem kontroli NIK) do oddziału „Caritas” we Wrocławiu i konfiskując zmagazynowany towar (dary z zagranicy) rozpoczęli akcję (akcja „c”) przejęcia tej wielce zasłużonej, kościelnej organizacji, zakończoną ostatecznie 23 stycznia 1950 r. Atmosfera rozmów w Komisji Mieszanej – prowadzonych od 5 sierpnia do 19 grudnia 1949 r. – była więc napięta; widoczne i czytelne były intencje władz. Biskupi byli świadomi szantażu, który wymuszał konieczność prowadzenia rozmów. Władze zdawały się mówić: „podpiszcie układ a skończą się nasze ataki”.

Nie inaczej oceniał sytuację kardynał Sapieha, który wielokrotnie dawał do zrozumienia, że należy - najpierw podjąć, a następnie kontynuować rozmowy z komunistami. Po raz pierwszy, jeszcze za życia prymasa Augusta Hlonda, w lutym 1948 r. Wtedy to, obaj kardynałowie spotkali się w Krakowie i – zdaniem informatora UB – dyskutowali na temat możliwości podpisania – nawet – konkordatu: „Pełnomocnictwa do prowadzenia rozmów z Rządem w sprawie konkordatu otrzymał Hlond [prymas wrócił właśnie z Rzymu – J.Ż.], lecz tak Hlond jak i cała kapituła z Sapiehą na czele są zdania, że do umowy nie dojdzie” (CA MSW, WUBP w Krakowie, raport miesięczny za luty 1948., syg.

17/IX/7/2, s. 88). Po raz wtóry kardynał Sapieha ustosunkował się do kwestii rozmów z komunistami, w marcu 1949 r., gdy w prasie codziennej ukazało się oświadczenie rządu będące zapisem kłamliwych kalumnii, skierowanych pod adresem Kościoła – bodaj po raz pierwszy – przeciwko konkretnym biskupom (w oświadczeniu wymieniono biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka i katowickiego Stanisława Adamskiego). Dokument ten, podpisany przez Wolskiego, trafił kilka dni wcześniej do rąk biskupa Choromańskiego z zapewnieniem, że nie ujrzy on światła dziennego zanim Episkopat nie udzieli nań swej odpowiedzi. Po opublikowaniu oświadczenia rządowego w prasie, biskup Choromański, oburzony postępowaniem ministra Wolskiego, wystosował ostry sprzeciw pisząc m.in.: „Boleję nad tym, że takie postępowanie Rządu nie tylko nie przyczyni się do uregulowania stosunków między Państwem i Kościołem, ale wręcz je czyni niemożliwe” (list bpa Z. Choromańskiego do ministra W. Wolskiego z 23 III 1949 r., Archiwum Akt Nowych (AAN), BP KC PZPR, syg. 237/V, s. 68). Biuro Polityczne KC PZPR wyraźnie zdeprymowane tak jednoznaczłą odpowiedzią sekretarza Episkopatu Polski wysłało do Krakowa mediatora, który miał spotkać się z kardynałem. Według jego relacji, złożonej już 27 III 1949 r., kardynał Sapieha „podkreślił, że list Choromańskiego to jak najbardziej prywatna korespondencja, że nie może ona wiązać Kościoła” (AAN, BP KC PZPR, syg. 237/V-166, s. 18). Od tej pory arcybiskup krakowski był traktowany przez władze partyjno-rządowe – aż do stycznia 1950 r. – jako główny zwolennik podpisania swoistego *modus vivendi* między państwem a Kościołem.

Tak więc, na długo przed rozpoczęciem rozmów w Komisji Mieszanej przez przedstawicieli Episkopatu, kardynał Adam Stefan Sapieha reprezentował stanowisko, że należy rozmawiać z władzami. Co to jednak w praktyce oznaczało? W połowie września 1949 r., a więc po drugim spotkaniu reprezentantów obu stron, kardynał Sapieha, dziękując sekretarzowi Episkopatu za przesłanie projektu „ugodowej deklaracji”, pisał: „Jest to akt niezmiernie ważny, choćby nawet nie został przyjęty przez obie strony. Dlatego uważam,

że jest konieczne bardzo się nad tymi postulatami zastanowić, bo w każdym razie będzie on publicznie znany i mógłby Episkopat fatalnie [się] skompromitować, gdyby tam były jakieś niewłaściwe określenia. Załączam więc pewne uwagi co do poszczególnych paragrafów. *Tak jak jest dziś zredagowany nie może być przez nas Biskupów zatwierdzony podpisami* [podkreślenie: J.Ż.]” (z listu kardynała A. Sapiehy do bpa Z. Choromańskiego z 12 IX 1949 r. ASEP, zespół nie uporządkowany; brak paginacji stron). Wśród punktów, które uznał kardynał za zbyt ugodowe, znalazły się m.in. sformułowanie o papieżu, sugerujące że „Episkopat dotychczas nie kierował się [do czasu podpisania dokumentu – J.Ż.] względem na dobro narodu” (cyt. z kolejnego listu kardynała A. Sapiehy do bpa Z. Choromańskiego z 29 XI 1949 r., ASEP); także „uderzenie w katolików niemieckich, którzy nie są głównymi przeciwnikami granicy na Odrze, ale cały naród niemiecki”; „przy prasie trzeba wystąpić przeciw niewłaściwej cenzurze i dać możliwość sprostowań [na] napaści na Kościół”; „Dalej, jeżeli nauka religii ma mieć swe warunki to też nie można dopuścić, by w poszczególnych innych przedmiotach były rzeczy wprost antyreligijne” (cyt. z listu kardynała A. Sapiehy do bpa Z. Choromańskiego z 12 września 1949 r., ASEP). Metropolita krakowski – sądząc z treści listu – nie wróżył rokowaniom przyszłości, twierdził jednak – i w ten sposób oddzielał problem konieczności prowadzenia rozmów od problemu podpisywania wspólnego dokumentu – że na biskupach ciąży odpowiedzialność za Kościół a tym samym, nie wolno ani zbyt pochopnie podpisywać kompromitujących sformułowań, ani zrywać układów, mimo stałych prowokacji ze strony nielojalnego partnera: „Współczuję z niewdzięczną [tak w tekście – J.Ż.] misją XX. Biskupów należących do Komisji Mieszanej, ale nie ma rady” (ibidem, ASEP).

Rozmowy w Komisji Mieszanej toczyły się dalej, gdy nagle – w połowie listopada 1949 r. – przedstawiciele władz przynieśli nowy projekt deklaracji, pomijający tak uzgodnione wcześniej punkty, jak i te wniesione m.in. pod wpływem propozycji kardynała Sapiehy. Wolski jednoznacznie określił, że jedynie jego nowa wersja może stanowić podstawę do

dalszych rozmów i zagroził, że jeśli Kościół nie podpisze szybko dokumentu spadną nań nowe ciosy. Biskupi powoli zaczęli zdawać sobie sprawę (a dotyczyło to konkretnie Choromańskiego i Klepacza), że dalsze cyzelowanie tekstu może stanowić śmiertelne zagrożenie dla Kościoła (m.in. władze wzmogły nacisk w kwestii opodatkowania duchownych, ze wszystkich sum – a więc i kościelnych – które przechodziły przez ich ręce, tzw. księga podatkowa nr 11; nadal nie rozwiązana była kwestia zależności zgromadzeń zakonnych od prawa państwowego itd.). Kardynał Sapieha, nie biorący bezpośrednio udziału w negocjacjach – wolny od stałych nacisków – nadal proponował dialog merytoryczny. Efektem tego dialogu stała się kolejna wersja gotowa do przedstawienia przez biskupów w dniu 19 grudnia 1949 r. Kardynał Sapieha otrzymał projekt tej wersji już pod koniec listopada, podczas spotkania z biskupem kieleckim Czesławem Kaczmarkiem: „Dostojny starzec był rozpromieniony naszą redakcją i przekonany, że jej nie przyjmą” – relacjonował z Kielc treść rozmowy sekretarzowi Episkopatu. „Dodał z naciskiem: ‘Pertraktacje koniecznie prowadzić należy, nie czynię żadnych zarzutów Komisji Mieszanej, cenię pracę i pilność ks. Biskupa Choromańskiego’ ” (list bpa Cz. Kaczmarka do bpa Z. Choromańskiego z 2 XII 1949 r., ASEP).

Dnia 19 grudnia 1949 r. przedstawiciele władz – po niemal miesięcznej przerwie i unikaniu kontaktu z bpem Choromańskim – po raz ostatni zasiedli do wspólnego stołu z trójką biskupów. Rozmowa była krótka. Władze – jak relacjonował to miesiąc później minister Wolski – nie przyjęły do wiadomości, że istnieje inny wariant deklaracji niż ten, który władze nagle przedstawiły w dniu 15 listopada. Według strony kościelnej zaś, władze zgodziły się by oba projekty stanowiły – jak zapisał w swoich notatkach bp Choromański – podstawę do dalszych negocjacji. Zawsze czujny kardynał Sapieha tak komentował przebieg rozmów zrelacjonowanych przez sekretarza Episkopatu: „Dziękuję też za wiadomości z konferencji mieszanej. Czy jest tak źle skoro ci panowie najpierw straszą potem milkną i zgadzają się na naszą [propozycję]” (list kardynała Sapiehy do bpa Choro-

mańskiego z 27 XII 1949 r. Kwestia niezgodności relacji ministra Wolskiego, podanej w prasie oficjalnej w kontekście „akcji Caritas”, i relacji biskupa Choromańskiego, zachowanej w prywatnych notatkach, nie może być rozwiązana gdyż – wbrew ustaleniom z sierpnia 1949 r. – strona rządowa nie przedstawiła protokołów rozmów w Komisji Mieszanej).

Jest to ostatni dokument ujawniający stanowisko metropolity krakowskiego w stosunku do treści i sensu podpisywania *modus vivendi* z władzami. Wkrótce, w styczniu 1950 r. rząd (a raczej partia) przeprowadził zabór „Caritasu”, następnie powołał do życia Główną Komisję Księży, zaaresztował (rękami funkcjonariuszy UBP) opornych księży za to, że czytali w kościołach list pasterski biskupów, w którym potępiono likwidację „Caritasu”, w końcu dokonał – w majestacie prawa – zaboru wszelkiej własności kościelnej (tzw. dóbr martwej ręki). W marcu 1950 r. atmosfera była tak napięta, że kardynał Sapieha bardziej niż o „porozumieniu” myślał o ewentualnym aresztowaniu go przez funkcjonariuszy UB (metropolita krakowski stał na czele Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, a więc i kościelnego „Caritasu”): „Oświadczenie. W razie gdybym był aresztowany stanowczo niniejszym ogłaszam, że wszelkie moje tam złożone wypowiedzi, prośby i przyznania się są nieprawdziwe. Nawet, gdy one byłyby wygłaszane wobec świadków, podpisane, nie są one wolne i nie przyjmuję je za swoje. Kraków, 6 marca 1950 r. Kard. Adam Sapieha” (cyt. za: ks. J. Wolny, Ostatnie lata działalności kościelnej Adama Stefana Sapiehy, „Księga Sapieżyńska”, t. II, Kraków, 1986, s. 554).

W tym samym miesiącu – w marcu 1950 r. – doszło jednak do przełamania pierwszych lodów. Mediacji podjął się Bolesław Piasecki. Przeprowadzono pierwsze, sondażowe rozmowy, m.in. między biskupem Klepaczem a dyrektorem V Departamentu MBP płk Luną Brystygierową (notatka z rozmowy w ASEP). Wznowiono rozmowy, choć już nigdy nie doszło do spotkania całej szóstki z Komisji Mieszanej. Na początku kwietnia 1950 r. podczas konferencji Episkopatu, biskupi – jak można wnosić po zachowanych notatkach biskupa Choromańskiego – ustąpili – o czym wiedział kardynał Sapieha przed swym wyjazdem do Rzymu. Na czym

polegało to ustępstwo? Episkopat zgodził się (1 biskup był przeciwny, a jeden wstrzymał się od głosu), by w dalszych rozmowach strona kościelna przyjęła wersję rządową z 15 listopada 1949 r. jako jedyną podstawę do dalszych negocjacji. Nie było na niej żadnej z poprawek (cytowanych wyżej), a zakreślonych ręką kardynała Adama Sapiehy. Metropolita krakowski wyjeżdżając do Rzymu był świadom, że rozmowy wznowiono, a sam ten fakt był już wystarczającym kompromisem. Nie wiedział zapewne, kiedy – i czy w ogóle – powstanie wspólny dokument sygnowany przez stronę kościelną i partyjno-rządową.

Treścią najbliższych rozmów – poprzedzających ukazanie się tzw. porozumienia kwietniowego między państwem a Kościołem w prasie – prowadzonych pomiędzy biskupem Choromańskim a ministrem Wolskim był sposób załatwienia kwestii spornych, powstałych po grudniu 1949 r. (m.in. kwestii „Caritasu”), tak by obie strony zachowały „twarz”. Efektem tych – ostatnich już rozmów – był załącznik, który znalazł się na końcu dokumentu z 14 kwietnia 1950 r. (w dokumencie z 14 kwietnia 1950 r. zaczyna się on od słów: „Protokół wspólnej komisji Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Episkopatu Polski w związku z zawartym porozumieniem” i dotyczy m.in. kwestii „Caritasu” oraz powstania Funduszu Kościelnego, po wejściu w życie „ustawy o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki”). Dalszych badań wymaga m.in. kwestia stosunku poszczególnych biskupów do prowadzonych rozmów z komunistami, skuteczność mediacji Bolesława Piaseckiego – o której pozytywnie wspominają przedstawiciele środowiska PAX, a negatywnie biskup Choromański (relacja ustna J. Hagmajera z 1989 r.; notatki odręczne biskupa w ASEP), i w końcu – reakcja Stolicy Apostolskiej.

Jan ŻARYN

NIEZNANY FRAGMENT II WOJNY ŚWIATOWEJ

II wojna światowa została w Europie oficjalnie zakończona podpisaniem aktu kapitulacji III Rzeszy w dniu 8 V 1945 r. Nie był to jednak całkowity koniec działań wojennych. Nie skapitulowało jeszcze szereg ośrodków oporu niemieckiego. Walki toczyły się w: Austrii, Chorwacji i Czechosłowacji. Mniej znanym faktem jest przetrwanie garnizonów na 3 wyspach brytyjskich położonych na kanale La Manche: Alderney, Guernsey i Jersey. Przed wojną należały one do Wielkiej Brytanii. Wojska angielskie opuściły je w czasie kampanii francuskiej, słusznie oceniając, że nie da się ich obronić w razie inwazji niemieckiej. Niemcy zajęli wyspy 30 VI 1940 r. obsadzając je swoimi garnizonami. Na jednej z nich, Alderney, umieszczono obóz karny dla oficerów niemieckich.

W dniu oficjalnego zakończenia wojny Anglicy wysłali do wysp 2 niszczyciele, by przyjąć kapitulację niemieckich garnizonów. Jednakże spotkali się z odmową. Skłoniło ich to do przeprowadzenia operacji wojskowej o kryptonimie „Nestegg”¹. Wzięli w niej udział lotnicy z jedyne polskiego dywizjonu nocnych myśliwców nr 307. Jednostkę tę nazywano „Lwowskimi Puchaczami”. Była ona wyposażona w świetny sprzęt, myśliwce De Havilland Mosquito NF MARK XXX z najnowocześniejszymi urządzeniami radiolokacyjnymi.

Przed akcją odczytano lotnikom depeszę z Ministerstwa Lotnictwa, której treść była następująca: „W tej godzinie zwycięstwa nad przebiegłym, mściwym i barbarzyńskim wrogiem, Rada Lotnicza śle pozdrowienia i gratulacje do wszystkich żołnierzy Polskich Sił Powietrznych. Nie zapomni, że jako pierwsi przeciwstawiliście się wrogowi. Nie zapomnimy, że przyszliście nam z pomocą wtedy, kiedy naj-

1. Operację „Nestegg” opisał Andrzej R. Janczak w maszynopisie pod takimże tytułem.

bardziej jej potrzebowaliśmy. Wasze mężne dywizjony walczyły ramię w ramię z naszymi dywizjonami na czele bitwy o Brytanię, zmieniając losy wojny. W czasach dobrych i złych staliście przy nas jako część Royal Air Force”.

W operacji przeprowadzonej 9 V 1945 r. Polakom wyznaczono funkcję naprowadzających. Po wystartowaniu z bazy, 6 polskich myśliwców przeleciało nad flotyllą angielskich okrętów wojennych zbliżających się do wysp i zniżyło lot w celu dokonania ataku bojowego. Na ten widok Niemcy wywiesili białe flagi sygnalizując tym samym wolę poddania się. Nasze myśliwce po odbyciu kilku przelotów nad wyspami powróciły do swojej bazy.

W operacji „Nestegg” brał udział obecnie znany działacz polonijny z Toronto, Stanisław Sadowski. Wówczas pełnił on funkcję *radar navigator* w stopniu *flight lieutenant*. W czasie całej wojny odbył rekordową liczbę 148 lotów bojowych i został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* oraz 3-krotnie Krzyżem Walecznych.

W tym roku władze wyzwolonych wysp przystąpiły do organizowania uroczystości jubileuszowych upamiętniających odzyskanie wolności spod okupacji niemieckiej. W 50-tą rocznicę wyzwolenia, w dniu 9 V 1995 r. uczestnicy operacji „Nestegg” zostaną udekorowani medalami.

Edward SOŁTYS

JERZY STEMPOWSKI O MASONERII (LIST DO J. GIEDROYCIA)

Kochany Panie Jerzy,

Pojutrze Osm. ma wracać do kraju. Nie wiem czy go zobaczę, bo wyleci zapewne z Cointrin. Otrzymałem od Pana dla przesłania do kraju: Miłosza dwa tomy (*Światło dzienne* i *Zn. umysł*), Straszewicza, Korbońskiego i Orwella. Chciał-

bym do tego, dodać ostatni nr *Kultury*. Poślę więc mój egzemplarz w nadziei, że dostanę inny.

Rozstając się z nim przejrzałem go raz jeszcze. Miłosza wspomnienie o Czechowiczu zasługuje na szczególną uwagę. Jest to jedna z najlepszych publikacji Miłosza i najlepsza bodaj rzecz syntetyczna o wewnętrznej historii drugiej połowy dwudziestolecia. Taka rozprawka – przez samą swą *tenue intellectuelle* – będzie miała w kraju większe znaczenie i wpływ niż całe fury innych publikacji.

Relacja Korowicza jest dobrze napisana, ale jest to raczej sensacja na wynos, bo dla czytelników krajowych nie ma w tym nic nowego: jest to tylko echo ich własnego strachu. Z relacji tej mam wrażenie, że autor musi być człowiekiem nieużyтым i raczej przykrym w dotknięciu.

Są w tym numerze i słabsze pozycje. W recenzji Sokolnickiego np. uderza mnie zaściankowość. Na stronie 188 np. jest cały passus poświęcony masonerii i mogący uchodzić za szkolny wzór ignorancji i braku poczucia proporcji. Nie wiem czy wszystko to jest istotne u Saint-Aulaire'a, ale nawet gdyby tak było, nie wszystkie głupstwa zasługują na namaszczone powtarzanie.

Za wierutne głupstwo np. uważam wszystkie głębokie aluzje do wpływu masonerii na stosunki polsko-francuskie. Być może, że Saint-Aulaire miał jakieś porachunki z lożami francuskimi, które przeszkodziły mianowaniu go na posła w Warszawie, ale to jest szczegół bez znaczenia. Jak powszechnie wiadomo, masoneria polska była obediencji szkockiej i już z tego powodu nie utrzymywała stosunków z francuskim Grand Orient, lecz tylko z lożami szkockimi, organizacją nie mającą żadnych wpływów politycznych we Francji i nie interesującą się w najmniejszym stopniu nawet sprawami polskimi. Będąc przez prawie 18 lat członkiem loży warszawskiej centralizującej stosunki z zagranicą i będąc przez długie lata afiliowany do loż paryskich szkockich, mogę stwierdzić, że nigdy nie widziałem żadnego masona francuskiego w lożach polskich, ani nie słyszałem o żadnych kontaktach francusko-polskich przechodzących przez loże. Nieliczne kontakty łączyły nas tylko z Włochami i USA. Wszystko to są rzeczy znane.

Kto w latach 1920-1935 bywał w lożach Europy zachodniej musi ryczeć ze śmiechu nad wiadomościami o intrygach i wpływach masonskich w polityce międzynarodowej. Gorzej jest, że bajki spłodzone w celu odwrócenia uwagi od ważniejszych wypadków i utrzymywania Polaków w ich pipidowskiej ignorancji świata powtarzane są przez historyków, którzy z przyzwyczajenia powinni badać wiarygodność dokumentów i którzy nawet w Stambule mogą mieć dostęp do lepszych źródeł niż *Merkuriusz*. Tak pisana historia nie ma na pewno żadnej wartości. Nawet w najskromniejszym zakresie historia nie może być medytacją nad omletem w Pipidówce, lecz wymaga pewnej znajomości świata.

Brak proporcji widać np. ze znaczenia jakie Sokolnicki zdaje się przypisywać wzmiance Saint-Aulaire'a, że w czasie konferencji genueńskiej loże brytyjskie pracowały nad zbliżeniem Anglii i Francji z Niemcami. Aby taką wzmiankę ocenić, trzeba brać pod uwagę 1) że szefem masonerii angielskiej jest sam król posiadający w ręku lepsze instrumenty polityczne niż loże, 2) że loże brytyjskie są organizacją zamkniętą, nie życzącą sobie utrzymywać stosunków z lożami innych krajów, w szczególności zaś z Grand Orient, od którego dzieli je od półtora wieku zasadnicza różnica doktryny, 3) że w tym czasie prasa i koła gospodarcze angielskie były zmobilizowane na rzecz zbliżenia z Niemcami i odwrócenia aliansów, 4) że do tego celu zaprzężone zostały najwybitniejsze osobistości i najlepsze głowy angielskie — jak J.M. Keynes, 5) że w tym samym roku zaczął się między Anglią i Francją rodzaj zimnej wojny, w trakcie której Anglia wyężyła wszystkie siły dla zrujnowania ekonomicznego a zwłaszcza finansowego Francji, 6) że dla osłabienia wojskowego Francji powstał w tym czasie w Londynie pierwszy projekt rozbioru Czechosłowacji, którego szczegóły opowiadał mi w 1922 hr. Ledebour, przedstawiciel Niemców sudeckich w czeskim senacie, 7) że pierwszymi ofiarami tej nowej polityki miały być oczywiście Polska i Czechosłowacja, i 8) że wszystko to było dyskutowane jawnie w ówczesnych gazetach i parlamentach, w bankach i przedsięwzięciach transportowych całej Europy zachodniej. Jakie znaczenie

mogły mieć w tych przesunięciach politycznych łożę brytyjskie? Były co najwyżej jednym z instrumentów wewnętrznej propagandy, przy pomocy której rząd angielski starał się stworzyć dla swej nowej polityki przychylną opinię wewnątrz kraju. Zbliżenie do Niemiec było wówczas głównym tematem wszystkich rozmów w Anglii i znalazło poparcie ogromnej większości społeczeństwa. Łoże – jeżeli istotnie wzięły jakiś udział w tej nowej orientacji politycznej — były tylko echem ogólnej opinii i wykazały z tej okazji co najwyżej nicość swej własnej myśli, co zresztą nie było dla nikogo tajemnicą.

Wypadki 1922 — zbliżenie angielsko-niemieckie — przesądziły los traktatu wersalskiego, a także los nowych państw Europy wschodniej, czekających odtąd biernie na wzrost sił militarnych Niemiec i Rosji. Rathenau wiosną 1922 pośpieszył w Rapallo nawiązać stosunki z Moskwą. Jesienią tegoż roku gen. Mangin, przerażony sytuacją w okupowanej Ruhrze, wezwał z Moskwy Karola Radka i tylko dzięki jego pomocy zdołał opanować opór robotniczej ludności zagłębia. Pertraktacje Mangin-Radek ściągnęły do Düsseldorfu pewną ilość dziennikarzy, którzy nie ukrywali swych wiadomości. Były to ponure i tragiczne dni dla wszystkich Polaków, którzy mogli wówczas ocenić całą niepewność sytuacji swego kraju i kruchość aliansu francuskiego. W Düsseldorfie posłyszałem z ust dziennikarza angielskiego: los Polski jest już przesądzony. Tak rozumiano te wypadki również na Wilhelmstrasse, jeżeli zaś tamtejsi tępacy nie zrozumieli tego od razu, pośpieszył im to wytłumaczyć lord d'Abernon. Tak je rozumiał Beneš i zaczął — jak Rathenau — szukać przyszłości w Moskwie. Sens tych wypadków był równie widoczny wówczas jak dziś. Wydaje mi się, że historyk polski, mówiąc o tych tragicznych dla swego kraju wypadkach, mógłby znaleźć do opowiedzenia coś ważniejszego od bajeczek o intrygach masonów i anegdotek dobrych dla Saint-Aulairów i innego drobiu dyplomatycznego.

Miłosz też nie we wszystkim ma zmysł proporcji. Przecenia np. znaczenie i wpływy Zawodzińskiego, który był rodzajem oryginała i którego recenzje czytali zapewne tylko

recenzowani poeci. Tak muzycy szaleją na widok nieopatrzego słowa recenzenta muzycznego, na którego publiczność nie zwraca najmniejszej uwagi. Miłosz jednak znalazł subtelne i życzliwe wyrazy, aby mówić o rzeczach minionych, które wagi więcej nie posiadają. Wydaje mi się, że jego proza i wiersze są w tej chwili najlepszą literaturą emigracyjną.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

Bern, 17 lipca 1954

J.S.

LISTY DO REDAKCJI

Kopenhaga, 6.12.1994

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Zdzisława A. Siemaszki o wileńskim AK zamieszczony w *Wolnej Trybunie* w ostatnim numerze *Zeszytów Historycznych* zrobił na mnie wielkie wrażenie. Mam nadzieję, że w związku z tym artykułem wypowiedzą się merytorycznie osoby lepiej ode mnie zorientowane w sprawach wileńskiej AK (podobnie jak J.Z. Szyleyko w tym samym numerze *Zeszytów Historycznych* zabrał głos w związku z poprzednią wypowiedzią Z.A. Siemaszki).

Moje uwagi ograniczą się do spraw najogólniejszych.

Oblicza polityczne a przede wszystkim moralne Niemiec cesarskich i hitlerowskich różniły się od siebie bardzo zasadniczo. Nie da się więc stawiać znaku równości między współpracą z Niemcami w czasie pierwszej i drugiej wojny.

Układy polityczne i strategiczne w czasie tych wojen były też radykalnie odmienne. Niestęchanie mało prawdopodobna jest hipoteza o możliwości powtórzenia się scenariusza: wewnętrzne załamanie Niemiec i klęska na Zachodzie zaraz po zwycięstwie na Wschodzie.

Po ewentualnym zwycięstwie na Wschodzie panowanie Niemiec hitlerowskich w Europie trwałoby najpewniej bardzo długo. Plany Hitlera nie przewidywały odbudowy państwa polskiego nawet w postaci faszystowskiej, wasalnej i zamkniętej w granicach GG (tj. bez Pomorza, Poznania, Katowic, Łodzi, Białegostoku itd.) a tym bardziej w jakiegokolwiek innej. Państwo polskie miało zniknąć z mapy, a elity narodowe ulec zagładzie.

„Polacy – mówił Hitler – będą mieli jednego pana – Niemców. Dwaj panowie obok siebie nie mogą i nie powinni istnieć. Dlatego wszystkich przedstawicieli polskiej inteligencji należy zgładzić. To również brzmi okrutnie, ale takie jest prawo życia”.

Reszta społeczeństwa miała być zamieniona w niewykwa-

lifikowaną i niewykształconą siłę roboczą pracującą niewolniczo dla Niemców tam gdzie by im to było potrzebne. Oddają znów głos Hitlerowi:

„Polacy, w całkowitym przeciwieństwie do naszych niemieckich robotników, są jakby umyślnie stworzeni do ciężkiej pracy. Niemieckim robotnikom musimy dać każdą możliwość rozwoju; co do Polaków to dla nich nie ma mowy o żadnej poprawie. Przeciwnie: stopa życiowa w Polsce musi być utrzymana na możliwie najniższym poziomie i nie można pozwolić na jej podniesienie... Zadaniem księdza będzie utrzymywać Polaków w głupocie, pokorze i tępcie. To leży całkowicie w naszym interesie. Jeżeli Polacy podniosą się na wyższy stopień rozwoju, przestaną być tą siłą roboczą, której potrzebujemy...”¹

Że przyszłość po zwycięstwie hitlerowskim tak by właśnie wyglądała wiemy nie tylko z wypowiedzi Hitlera, Himmlera, czy Bormanna. Plany te były już w praktyce realizowane w okupowanej Polsce. O mordowaniu i pracy niewolniczej wiedzą jeszcze w Polsce prawie wszyscy. Zdaje się, że mniej znany dziś jest np. fakt, że nauka na poziomie wyższym a nawet gimnazjalnym była surowo zakazana i mogła odbywać się tylko w konspiracji.

(Nawiasem mówiąc, mimo sympatii proniemieckich u wielu nacjonalistów ukraińskich i mimo SS Galizien plany Hitlera co do przyszłości narodu ukraińskiego nie były bardziej przyjazne).

Warto chyba też pamiętać, że nieuchronną i natychmiastową konsekwencją zwycięstwa Hitlera na Wschodzie byłoby objęcie Holocaustem dalszych milionów Żydów a także wielkie nieszczęścia licznych innych narodów. Może to mieć znaczenie dla tych co nie zwykli pytać „komu bije dzwon”.

Wszystko to jest moim zdaniem niezmiernie istotne dla oceny tezy p. Siemaszki w myśl której „zwycięstwo Niemiec na Wschodzie leżało w interesie Polski” i wniosków, jakie ten autor ze swej tezy wyciąga co do współpracy z hitlerowskimi Niemcami.

Istnieje też jeszcze bardziej ogólny i zasadniczy aspekt zagadnienia. Jeśli nasz mijający wiek zostawia po sobie jakieś cenne lekcje, to przede wszystkim tę, że moralny sens działań ludzkich zależy bardziej od stosowanych środków niż od celów, którym te środki w zamierzeniu miałyby służyć.

Łączę wyrazy szczerego i głębokiego szacunku

Gustaw KERSZMAN

1. Cytaty wg książki Alana Bullocka „Hitler – studium tyranii”, Czytelnik 1969.

Warszawa, 31 stycznia 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Przedmiotem prowokacji komunistycznej policji politycznej byłem co najmniej od roku 1965 (kiedy złożono na mnie donos do brytyjskiego kontrwywiadu, pomawiając o szpiegostwo na rzecz PRL) do grudnia 1989 (kiedy gen. Czesław Kiszczak namawiał mnie do nieoficjalnego powrotu do Polski „pod dowolnym nazwiskiem”). Celem prowokacji jest zawsze i oczywiście to, żeby uwierzyli w nią inni, zwłaszcza nieświadomi i łatwowierni. Odmowa ujawnienia akt MSW umożliwia dalsze krążenie kalumnii na temat mojej rzekomej współpracy z SB, których przykładem jest artykuł „Archiwa, media, postkomunizm”, zamieszczony w 110 numerze *Zeszytów Historycznych*.

Proszę o zamieszczenie tego listu na łamach *Zeszytów*.

Z poważaniem

Zdzisław NAJDER

Szanowny Panie Redaktorze !

Pragnę sprostować i uzupełnić niektóre informacje o Białorusi-
nach wspomnianych w publikacji dokumentów KGB (Z.H. 108).

Podano, iż P. Ponomarenko był od „czerwca 1941 r. sekretarzem KC KP(b) Białorusi”. Był nim od 1938 r. do 1947 r. W latach 1932-36 służył w Armii Czerwonej, a od 1938 r. pracował w aparacie KC WKP(b) w Moskwie.

Wymieniony w przypisie 7 Iwan Klimow (s. 191) do 15 września 1939 r. był pracownikiem aparatu KC KP(b) Białorusi, przed wkroczeniem Sowietów do Polski został pełnomocnikiem NKWD d/s kontaktów z białoruskimi działaczami w Polsce. Po 17.IX. został kierownikiem Wydz. Oświaty w Wilnie, na jego polecenie w październiku 1939 r. z Wilna wywieziono cenne zbiory z biblioteki im. Wróblewskich. W 1940 r. był pierwszym sekretarzem komitetu obwodowego partii w Wilejce, w l. 1942-44 sekretarzem mińskiego obwodowego komitetu partii i jednocześnie I sekretarzem komitetu obwodowego w Wilejce.

Napisano, że: „Manochin był dowódcą Brygady im. Gastello. Miał widocznie powiązania służbowe z NKWD” (s. 193). Wiktor Manochin (1911-72) od 1932 r. służył w organach OGPU i NKWD ZSSR. Od września 1943 r. był dowódcą brygady im. N.F. Gastello.

Wspomniany na s. 197 Ganienko to Iwan Ganienko (ur. w 1903 r.), od 1924 r. pracownik aparatu komсомolskiego i partyjnego. W 1941 r. był sekretarzem KC KP(b) Białorusi; od 1942 r. zastępcą naczelnika Białoruskiego Sztabu Partyzanckiego.

dr Zenowiusz PONARSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 109 *Zeszytów Historycznych* pan T. Wyrwa omawia polityczne i wojskowe aspekty akcji Armii Krajowej opatrzonej kryptonimem „Burza”. Autor koncentruje się na omówieniu zagadnienia z punktu widzenia rządu polskiego i sztabów. Ale akcję „Burza” musiały wykonać terenowe jednostki AK, które rzadko rozporządzały odpowiednimi środkami. Do jeszcze większego zamieszania przyczyniła się zmiana planów, o czym mimochodem wspomina autor artykułu. W moim posiadaniu jest szereg dokumentów z tego czasu, które obrazują wiedzę oraz trudności dowódców terenowych AK. Dokumenty odnoszą się do obwodu AK Kozienice, który wystawił I batalion 72 pp. w czasie „Burzy”.

Kryptonim „Burza” nie pojawia się w żadnym z posiadanych dokumentów. Natomiast użyty jest kryptonim „deszcz” (tak jest w dokumencie). Jednak najbardziej znanym terminem tej akcji na terenie Okręgu AK Radomsko-Kieleckiego jest „koncentracja”. Tak ta akcja była znana wśród żołnierzy. O „Burzy” dowiedziałem się wiele lat po wojnie.

Dokument datowany 31 maja 1944 r. zatytułowany *Wytyczne społeczno-polityczne na okres powstania* (L.1/0364) omawia to co jest w tytule, a więc powszechne powstanie. Jest to bardzo obszerny dokument – liczący 3081 słów – w którym Znicz analizuje przypuszczalny przebieg wypadków podczas powstania oraz środki zaradcze. A więc jeszcze na początku czerwca okręg radomsko-kielecki przygotowywał się do powstania.

Następny dokument, datowany 26 lipca 1944 r. (syg. L.144/2674), to *Rozkaz operacyjny nr 1/44*, gdzie po raz pierwszy pojawia się kryptonim „deszcz”, który jest użyty 3-krotnie w dokumencie, a więc „przejęzyczenie” nie wchodzi w grę. Rozkaz zmienia dosyć radykalnie zadania bojowe dla inspektoratu radomskiego. Należy przypuszczać, że podobne zmiany zadań miały miejsce także w innych inspektoratach.

Rozkaz szczególny nr 2 do rozk. op. Nr 1/44 i 2/44 (syg. Zo-Hur L.412/3074), datowany 30 lipca 1944 r., wprowadza dalsze zmiany w zadaniach bojowych oraz ostrzega, że „W związku ze zmieniającą się z dnia na dzień sytuacją oraz stałą dążnością doskonalenia naszego O. de B. należy być przygotowanym na rozkazy, które będą anulowały poprzednie, lub nawet stały z nimi w sprzeczności” (Rozkazy podpisał mjr Kostur, Zygmunt Zywocki, Inspektor Inspektoratu Radom).

W rozkazach sporo miejsca mjr Kostur poświęcił stosunkowi AK do armii sowieckiej. Należy pamiętać, że w tym czasie armia sowiecka dotarła do Wisły i obwód znalazł się w strefie frontowej i przyfrontowej. Rozkazy nakazują pomoc wojskom sowieckim w forsowaniu Wisły, ale jednocześnie zalecają ostrożność w kontaktach. Jedną z takich akcji, na przykładzie magnuszewskim,

skończyła się niezbyt fortunnie dla żołnierzy AK. Szeregowcy i podoficerowie zostali wcieleni do Armii Berlinga, a oficerowie aresztowani. Udało im się zbiec w czasie niemieckiego nalotu na sztab sowieckiej dywizji.

Sytuacja jednak nie była tak prosta. Temat ten wymaga szerszego omówienia, na co nie pozwalają ogólnie przyjęte ramy „Listów do Redakcji”.

Zgodnie z ostrzeżeniem Kostura sytuacja i rozkazy (przeważnie ustne) zmieniały się z dnia na dzień. Zachował się raport komendanta obwodu AK Kozienice kpt. Brzozy (J. Pawlak), w którym szczegółowo podaje przebieg wydarzeń związanych z przygotowaniami do wymarszu na pomoc Warszawie, aby później pomaszerować na „koncentrację”. Tak powszechnie była znana ta akcja wśród żołnierzy, która teraz znana jest jako „Burza”.

Łączę pozdrowienia

K. STYŚ

●
Cremorne, Australia, 22 grudnia 1994

Szanowny Panie Redaktorze,

Zastanowiło mnie opublikowanie artykułu Z.T.Wierzbickiego: „Gdańsk – dużo więcej!” (*Zeszyty Historyczne*, nr 110). Może warto na marginesie stwierdzenia, że Niemcy hitlerowskie chciały wojny, zanotować za H. Kissingerem („Diplomacy” str. 346), że jeszcze 11 sierpnia 1939 Hitler miał powiedzieć Wysokiemu Komisarzowi Gdańska: „Cokolwiek podejmuję jest skierowane przeciw Rosji. Jeżeli Zachód jest zbyt głupi i ślepy żeby to pojąć, będę zmuszony dojść do porozumienia z Rosjanami, pobić Zachód, a po pobiciu go zwrócić się przeciw Związkowi Sowieckiemu moimi zespolonymi siłami”.

A więc zapewne Polska była tylko po drodze – może zbyt wyboistej.

Gra na zwłokę, czy gdańskie manewry uległości w klimacie wytworzonym od lat przez rząd polski były politycznie dla rządu niemożliwe.

Pamiętamy wspaniałe ale bez pokrycia przemówienia Becka z maja 1939. Pamiętamy przez lata promowaną Ligę Morską i Kolonialną. Dziś to brzmi dość komicznie, ale tak było.

Manewry takie, wymuszonej przez przyjaciół uległości, były możliwe w Czechach, oszczędzających swej krwi. Ale kiedy w 1939 r. ich Hacha upokorzył się i wziął za Czechy jarzmo Hitlera, w Warszawie, w czasie meczu o Puchar Davisa, każdy nieliczny błąd najlepszego ich gracza Hechta stołeczna nasza publiczność kwitowała chórem Ha! Cha!

Z tą gwarancją brytyjską też duży, według Kissingera, kłopot.

Twierdzi on, zapewne słusznie, że Stalin nie miał wątpliwości, że Hitler Sowiety zaatakuje (inni, jak Suworow chyba, też to potwierdzają). To też jest przekonywające, że im bardziej pewna była gwarancja angielska, tym większą swobodę manewru miał Stalin. Ta gwarancja po prostu dawała Stalinowi pewność, że zanim Hitler zaatakuje Sowiety, będzie w wyniku tej gwarancji w wojnie z Anglią. No i zimny realista Stalin nie dopuszczał możliwości by Hitler zdecydował się na wojnę na dwa fronty! Stąd jego pomoc dla Niemiec do ostatniej chwili była rozsądna, bo niech się biją! Zaś układ Ribbentrop-Mołotow zapewniał Stalinowi jeszcze paręset kilometrów cudzego kraju na pobojuwisko. Tylko nie przewidział błyskawicznego upadku Francji.

Natomiast sędzę, że poza Piłsudskim w okresie Dwudziestolecia nie byliśmy tak ubodzy w mężów stanu i polityków, jak to się okazało porównawczo w czasie Drugiej Wojny. Wystarczy poza Dmowskim zanotować W. Korfanteo, który przecież w obronie Śląska zdawał świetnie egzamin już przed parlamentem Rzeszy Niemieckiej, który też był komisarzem jedyne go, zwycięskiego powstania wielkopolskiego, jak i przywódcą powstań śląskich, czy choćby ogromnie zdolnego i uznanego na Zachodzie Wachowiaka. Byli przecież i inni tędzy parlamentarzyści. To były jednak czasy kiedy miejsca „na górze” były okupowane i jak słusznie p.

Wierzbicki wspomina, brak było chęci porozumienia z opozycją. Osobiście nie mam wątpliwości, że Polska wyszła z wojny najgorzej jak mogła; nie tylko zniszczenie materialne ale i moralne spustoszenie, aż niezrozumiałe w swych ostatnich objawach.

Z głębokim szacunkiem

E. J. TOMASZEWSKI

SPIS TREŚCI

Andrzej Paczkowski: „Wielki historyczny eksperyment” czyli koniec realnego socjalizmu (w Polsce) . . .	3
Andrzej Grzywacz, Grzegorz Mazur: <i>Raport o pracach Oddziału II Sztabu Głównego w zakresie dyploma-</i> <i>macji wojskowej</i>	17
Władysław Zajewski: <i>Tradycja i współczesność w sporach o model ustrojowy</i>	29

WSPOMNIENIA

Jerzy Paweł Horzelski: <i>Notatki z 1939 r.</i>	36
---	----

POLEMIKI

Janusz Rakowski: <i>Kulawa analogia i zaniedbane do-</i> <i>świadczenia</i>	155
Grzegorz Mazur: <i>O wileńskiej Armii Krajowej. Na marginesie artykułu Zdzisława A. Siemaszki</i> . . .	169

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowa wersja „Kroniki Życia” Piłsud-</i> <i>skiego</i>	182
Tadeusz Wyrwa: <i>Wojna 1920 roku z perspektywy lat</i>	187
Emanuel Halicz: <i>Armia ze skazą.</i>	196
Krzysztof A. Kuczyński: <i>Uchodźstwo polskie w Ru-</i> <i>munii 1939-1940</i>	201
Katsuyoshi Watanabe: <i>Historia Polski w Finlandii</i> . .	206

OKRUCHY HISTORII

Adam W. Kulik: <i>Supraśl a sprawa polska</i>	208
Piotr Daszkiewicz: <i>Pamięć historyczna przyrodników</i>	211
Jan Żaryn: <i>Kardynał Sapieha a tzw. „porozumienie kwietniowe” z 1950 r. między Episkopatem a rządem</i>	218
Edward Sołtys: <i>Nieznany fragment II wojny światowej</i>	225
Jerzy Stempowski o masonerii (list do Jerzego Giedroycia).	226

LISTY DO REDAKCJI

Gustaw Kerszman: <i>Uwagi krytyczne do artykułu Zdzisława A. Siemaszki „Wileńska AK a Niemcy” (Zeszyty Historyczne Nr 110)</i>	231
Zdzisław Najder: <i>Protest w związku z artykułem Tomasza Mianowicza „Archiwa, media, postkomunizm” (Zeszyty Historyczne Nr 110).</i>	233
Zenowiusz Ponarski: <i>Uzupełnienia informacji o Białorusinach wspomnianych w publikacji „Dokumenty KGB” (Zeszyty Historyczne Nr 108)</i>	233
K. Styś: <i>Uwagi o akcji „Burza” na podstawie dokumentów obwodu AK Kozienice (na marginesie artykułu T. Wyrwy „Powstańcza ‘Burza’ i jej skutki”, Zeszyty Historyczne Nr 109)</i>	234
E. J. Tomaszewski: <i>Polemika z artykułem Z.T. Wierzbickiego „Gdańsk – dużo więcej!” (Zeszyty Historyczne Nr 110)</i>	235

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 17 FÉVRIER 1995
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 1^{er} trim. 1995
N° d'imprimeur : 3840



